

Piotr Antoni Świtalski

Globalny dryf

*„Narody nie mają żadnego
interesu gubić się nawzajem: dzień
upadku despotów będzie pierwszym
dniem zgody i pokoju narodów”*

Adam Mickiewicz

(„Projekt odezwy do Rosjan”)

Wstęp

„Just for the record, Mr. Chairman. Let me say it just for the record...” – ileż to razy przychodziło mi w dyplomatycznych negocjacjach rozpoczynać wystąpienie od tych słów. Fraza ta ma na rokowaniach wielostronnych, na forach instytucji międzynarodowych swoje zwyczajowe przesłanie. Wygłasza się ją wtedy, kiedy jedynym zamysłem przemówienia pozostaje już tylko próba (częstokroć rozpaczliwa) odnotowania naszego zdania w pamięci negocjatorów, w czynionych przez nich notatkach i zapisach. A wypowiada się ją także wtedy, kiedy żadnego zapisu, verbatim, protokołu, stenogramu, compte-rendu oficjalnie się nie prowadzi. Wygłasza się ją, kiedy nadziei na przekonanie do naszych racji już wielkich nie mamy, liczyć możemy jedynie, że artykułując z emfazą nasze stanowisko kogoś obudzimy, kogoś do refleksji zainspirujemy. Ale nawet sami w to nie bardzo wierzymy. I czynimy ten gest dla spokoju sumienia, że jednak próbowaliśmy. Wygłaszamy tę frazę, żeby wszystkim uświadomić, co mamy na sercu. Żeby nie mówili, że nie wiedzieli. Artykułuje się nasz pogląd także wtedy, żeby posiać niepewność, czy aby nie powrócimy kiedyś do naszych myśli z wyrzutem wobec partnerów: „Tylko nie mówcie, że nikt tego wam wcześniej nie powiedział”.

Taki właśnie tytuł „Just for the record” wybrałem dla refleksji publikowanych na moim blogu w 2024 r. Były to zapisy moich publicznych wykładów i prezentacji już wcześniej wygłoszonych. W latach 2011-2014 takich akademickich wystąpień miałem

po kilkanaście w roku. Poświęcone były przede wszystkim tematyce europejskiej. Wykorzystałem myśli w nich zawarte w mojej publikacji „Europe and the spectre of post-growth society” z 2014 r. Trafiła zresztą ona według WorldCat do ponad 600 bibliotek naukowych, głównie uniwersyteckich, na całym świecie, a wersja elektroniczna nadal jest w sprzedaży. Zestarzał się tamten tekst nieco, ale nadal mogę go polecić. W latach 2015-2023 intensywność mojej działalności odczytowej była mniejsza (bo obowiązki dyplomatyczne w UE, a potem COVID), ale kiedy mogłem, z zaproszeń korzystałem. Jeden z cykli wykładów dla Szkoły Edukacji Obywatelskiej w Rydze wyszedł nawet w wersji książkowej po rosyjsku, a na moim blogu można go po angielsku (bo taki był język oryginału) pobrać bezkosztowo („Citizen and the World Politics”).

Zorientowałem się wszakże, że sporo moich wykładów zapisu nie ma żadnego. Przygotowując się do nich z reguły sporządzałem krótkie notatki, kreśliłem plan, wypisywałem słowa - klucze, hasła, równoważniki zdań. Nigdy pełnych zdań na piśmie nie komponowałem. Bo zawsze wolałem wygłaszanej treści nadawać formę spontanicznie. Co oczywiście generowało stres, zwłaszcza że mówiłem w języku obcym, spowalniało tempo wypowiedzi, bo musiałem czasem zastanowić się nad słów selekcją, ale miało jedną ważną zaletę: powodowało, że z ust moich, częstokroć dla mnie całkiem niespodzianie, wychodziły zdania zaskakujące, niebanalne, nieoczekiwane, których siedząc w domu przy stoliku i szykując tam mój wykład, nigdy bym nie wymyślił. Może ktoś je nawet notował. Bo mnie siłą rzeczy musiały się z pamięci ulotnić. Może nie wszystkie.

Słuchacz mógł nawet po latach do mnie podejść i dopytywać, co miałem na myśli, kiedy mówiłem, że A ja z trudem próbowałbym odtworzyć, co też ja takiego mogłem powiedzieć. Takie to koszta improwizacji.

Postanowiłem jednak przejrzeć moje notatki z minionych prezentacji i spróbować nadać im ponownie kształt rozwinięty i zrozumiały już na piśmie, i to po polsku. Ale z powodów wyłuszczonych powyżej nie ręczę, że wiernie oddają wersję wcześniej wygłoszoną.

Prezentacje dotyczą przede wszystkim zagadnień polityki globalnej, opisują politykę międzynarodową często z perspektywy odległej, wręcz stratosferycznej. Niektóre wygłaszane były już dawno, przed dekadą prawie. Trochę spróbowałem je podciągnąć pod moment bieżący, ale sensu ich raczej nie zmieniałem. Wydawał mi się nadal aktualny. Inne są całkiem świeże.

Miałem wtedy wrażenie, że moje tezy trafiały do przekonania publiczności (mocno obcokrajowej, międzynarodowej, bo do żadnej prezentacji w Polsce nigdy mnie zaproszono, a pisząc to szpilki najmniejszej nikomu wbijać nie chcę, fakt obiektywny po prostu beznamiętnie odnotowuję). Często miałem po nich sympatyczny odzew. Więc może i Państwo, czyli tzw. szersze audytorium, przeczytają je z zainteresowaniem. Nawet jeśli dziś zapisuję je jedynie dla porządku. For the record. Dla czystości sumienia. Że coś próbowałem od siebie powiedzieć, do czegoś przekonać.

Teraz te blogowe wpisy scalam w jeden tekst, choć zachowuję ich kolejność. Nowy nadaję tytuł. Niewątpliwie polityka światowa po objęciu przez Donalda Trumpa urzędu Prezydenta USA uległa znacznemu przyspieszeniu. Jeśli świat dryfuje, to prędkość dryfu zwiększyła się mocno. To już spływ rwącą górską rzeką. Bez wiosł i steru. Oby tylko nie ku twardej skale lub przepaści wodospadowej.

Nowy styl uprawiania polityki, nowa, jakże transakcyjna, narracja, pobudziły rzesze analityków do odrąbienia głębokich zmian. Pojawiły się tezy o końcu liberalnego porządku światowego, końcu Pax Americana, definitywnym rozpadzie Zachodu, totalnym spragmatyzowaniu relacji międzynarodowych, powrocie do polityki opartej na sile. Tezy to jeszcze na wyrost. Choć może z tego koncepcyjnego zamieszania urodzi się całkiem niechcący nowy dobry pomysł na ułożenie świata. Będzie na to niewątpliwie zapotrzebowanie.

I. Nowy uniwersalizm i polityka światowa

Oksana Zabuzko po agresji rosyjskiej na Ukrainę z wyrzutem skrytykowała zachodnich intelektualistów, że źle lektury podsuwali jej do czytania. Nie tylko jej podsuwali. Rzeczywiście, rekomendowali nam Hararię, Pinkera, Friedmana, Fergusona, Fukuyamę. A trzeba było odkurzyć sobie i poczytać Carla Schmitta, Thomasa Hobbesa. Bo wielu uwierzyło w „bajki”, że świat się spłaszcza, że globalizacja łagodzi obyczaje. A tu znów przemoc i narodowe egoizmy.

Trybalizm mimo wszystko górą? Jego piewcy mają niewątpliwie powód do zadowolenia. Patrzcie: globalizacja hamuje, odbudowywane są mury protekcjonizmu, zbałkanizował się nieodwołalnie Internet, uszczelniane są fizyczne granice między państwami, nacjonalistyczny populizm jest przepustką do władzy. Każdy sobie narodową rzepkę skrobie. I rozplenia się przemoc. A to Putin, a to Hamas, a to

Utopia nirwanicznego końca historii upadła zresztą nie dzisiaj. Zamiast powszechnego zwycięstwa liberalnych wartości, świat się znów rozłupał na obóz demokracji i obóz autorytaryzmu. Okay, ktoś mógłby powiedzieć: i co z tego, po prostu – jeden świat, dwa systemy.

W wymiarze politycznym Zachód w ostatniej dekadzie musiał się ponownie przestroić na logikę geopolitycznej konfrontacji. Tym razem konfrontacji z Rosją (wojskowo-politycznie) i z Chinami (gospodarczo-politycznie). A neutralistyczne nastawienie wielu państw Trzeciego Świata wobec tej konfrontacji, obudziło demony perspektywy sprzysiężenia się przeciw Zachodowi całego niemalże świata (The West versus the Rest).

Zachodni intelektualiści i teoretycy polityki międzynarodowej szansę w przewycięzeniu sprzeczności widzą w odrodzeniu uniwersalizmu w myśleniu o świecie i działaniu politycznym.

Musimy jednakowoż przyjąć do wiadomości prawdę oczywistą: ów stary uniwersalizm, jaki Zachód uprawiał przez ponad dwa wieki, jest już historią, pozbawionym sił witalnych truchłem.

Problem z nim polegał nie tylko na tym, że naznaczony on był piętnem zachodniego suprematyzmu, a „brzemieniem białego człowieka” w szczególności. Wymyślono go na oświeceniowym Zachodzie z przekonaniem, że człowiek zachodni jest najbardziej uświadomionym rodzajem człowieka, że wszyscy ludzie zamieszkujący najbardziej nawet oddalone zakątki świata nieuchronnie będą poddawać się procesowi stawania się człowiekiem zachodnim. Człowiek zachodni uważał, że prawdy rządzące życiem poznał przed wszystkimi. Uznał, że przynależą one wszystkim, a jego rolą jest pomagać wszystkim je przyjąć jako własne i powielać zachodnie wzorce życia społecznego i instytucji politycznych. Jak pisał Jean-Marc Ferry: „w XVIII wieku Europa była postrzegana (przez Europejczyków) jako kontynent który przekazuje swoje prawa światu”, a cywilizacja europejska mobilizowała się do działania melanżem kosmopolityzmu z eurocentryzmem.

Stary uniwersalizm został jednak śmiertelnie porażony przez polityczną emancypację „Trzeciego Świata”, a ideologicznie rozmontowany przez post-modernizm. Polityczna emancypacja zakwestionowała paradygmat zachodniego przywództwa w świecie. Post-modernizm zastąpił zaś ideę westernizacji świata hipotezą jego kulturowej „kreolizacji”, nowej konwergencji cywilizacyjnej.

Dobiło stary uniwersalizm narastające na Zachodzie poczucie winy. Bo stary uniwersalizm podwiązano kiedyś pod ekspansję kolonialną, używano go, by uszlachetniać imperializm. A kolonialne ekscesy w postaci rasizmu, apartheidu, niewolnictwa, obozów koncentracyjnych też poszły na jego konto, choć niesprawiedliwie, bo to nie uniwersalizm sam w sobie był im winien.

Poczucie winy (samokrytycyzm) jest tak bardzo nieusuwalną częścią tożsamości Zachodu, jak sam uniwersalizm. Samokrytycyzmu szczerym, prostolinijnym wyrazicielem stał się w listopadzie 2022 r. Prezydent FIFA Gianni Infantino, który na stawiane FIFA zarzuty milczenia wobec stanu praw człowieka w Katarze, stwierdził emfaticznie: „My, Europejczycy, wyrządziliśmy przez ostatnie 3000 lat tyle krzywd, że powinniśmy za nie przeproszać przez kolejne 3000 lat, zanim zaczniemy prawić komukolwiek moralne kazania.”

To poczucie winy, ten moralny masochizm ubezwłasnowolnia Zachód w podejmowaniu prób intelektualnego i politycznego przywództwa. I zamyka mu usta, kiedy elity polityczne w wielu krajach afrykańskich czy azjatyckich jeżdżą na Zachodzie jak na łysej kobyle, obwiniają Zachód za wszystkie nieszczęścia świata, chcą na Zachód przerzucić odpowiedzialność za ich własną, owych elit, nieudolność w zarządzaniu, a czasem wręcz w skrajnym wydaniu ich bandytyzm w okradaniu własnych społeczeństw.

Zachód pozbawiony został politycznego i moralnego przywileju wyznaczania uniwersalnych reguł organizacji społeczeństw i państw, a także reguł współżycia

międzynarodowego. Ale luki po nim nikt nie jest w stanie wypełnić. Ani Rosja, ani Chiny, ani Indie lepszej, alternatywnej wizji dla świata nie mają. Choć się starają.

Ale problem ze starym uniwersalizmem jest poważniejszy. Polega on na tym, że został już na samym wstępie przed dwustu laty pożeniony z paradygmatem narodu. Problemy świata miały być rozwiązywane przez samoorganizację i harmonijne współżycie narodów. Szlachetne połączenie uniwersalizmu z narodem przyjęło postać internacjonalizmu.

Ów związek tak pięknie wyraził przecież Giuseppe Mazzini: „Dopóki jesteś gotowy umrzeć za ludzkość, żywot twojego kraju jest nieśmiertelny”.

Bo centralnym dla urządzenia świata był przez ponad dwa wieki instytut państwa narodowego.

Był on w wielu wymiarach jedynie możliwym i na swój czas skutecznym. Okazał się jednak wielce ograniczony przy podejmowaniu współczesnych wyzwań.

Dobra wiadomość dla świata jest taka, że rodzi się i krzepnie nowy uniwersalizm.

Stary uniwersalizm wywodził się ze wspólnoty pochodzenia, wspólnoty korzeni, wieszcząc, że wszyscy jesteśmy dziećmi tego samego Boga, równi w prawach i godności. Nowy uniwersalizm opiera się zaś na wspólnocie przeznaczenia, twierdząc, że wszyscy zmierzamy ku wspólnej przyszłości, płyniemy we wspólnej łodzi, dzielimy wspólny los w obliczu wyzwań dla świata.

Nowy uniwersalizm przyjął dziś postać pangeizmu i innych mu podobnych haseł. W politycznym sensie odzwierciedla się on w koncepcji „jednego świata” („one world philosophy”). Zgodnie z nią wspólne globalne wyzwania, które winny być wspólnie podejmowane, wymagają działania, które jest czymś więcej niż tylko sumą wysiłków narodowych. Aby wszakże koncepcja ta mogła być czymś więcej niż pobożnym życzeniem, musielibyśmy odnaleźć w sobie i uczynić motorem napędowym działania naszą globalną tożsamość jako jednostek ludzkich, jak zauważył kiedyś słusznie profesor Christopher Coker z LSE.

Szkopuł w tym, że koncepcja „jednego świata” krąży w dyskursie publicznym bardziej w kręgach społeczeństwa obywatelskiego niż decydentów politycznych. Jeśli pojawia się w rozmowach polityków to jako intelektualny ozdobnik w Davos i na innych tego typu spotkaniach. Nie widać jej w narodowych doktrynach polityki zagranicznej, a już tym bardziej w praktycznym działaniu. Polityka międzynarodowa na szczeblu globalnym podąża kolejnymi starymi i sprawdzonymi paradygmatów – racji stanu, interesów narodowych, wzajemnie korzystnej współpracy. A społeczeństwo obywatelskie w ujęciu globalnym nie ma istotnego wpływu na działalność światowych organizacji międzynarodowych. Nie ma tak odciętej od głosu obywateli organizacji jak ONZ i jej agendy wyspecjalizowane. Bez zapewnienia silniejszego wpływu obywateli i organizacji pozarządowych na działalność instytucji globalnych do zmiany tych paradygmatów szybko nie dojdzie. Okazjonalne występy w Nowym Jorku Greta Thunberg niczego w tym nie zmieniają.

A co jeszcze poważniejszym problemem się wydaje, to fakt, że koncepcje „jednego świata” i pokrewne ograniczają swój obieg w zasadzie do świata zachodniego. W „Trzecim Świecie” ich atrakcyjność jest nadal słaba (mimo wielkich starań takich postaci, jak Kishore Mahbubani i inni). Nie poruszają one wyobraźni tamtejszych społeczeństw. Trudno sobie z wiadomych poglądów wyobrazić, aby Strajk dla Ziemi objął masowym udziałem Chiny, ale nawet jeśli spojrzeć na te państwa Afryki i Azji, gdzie swoboda słowa i zgromadzeń jest na względnie dobrym poziomie, to tego typu akcje nie dzieją się albo wcale, albo mają symboliczny zasięg. Oni mają swoją wizję priorytetów. I jest to wizja daleka od wizji Zachodu.

Wydawałoby się, że kryzys wywołany rosyjską agresją na Ukrainę może doprowadzić do przesilenia, stać się swoistym katharsis, który uświadomi potrzebę zmiany sposobu zarządzania światem. Bo kryzys ten unaoczniał zasadniczą naturę sporu o przyszłość stosunków międzynarodowych. Rosja (i Chiny) chcą nas zawrócić z budowy nowych paradygmatów, chcą odrzucić świat w czasie do końca XIX i początku XX wieku, odrodzić świat podzielony na strefy wpływów, świat rządzony argumentem siły, świat absolutnej suwerenności polityk wewnętrznych polegającej na nieograniczonym prawie do represjonowania własnego społeczeństwa. Kryzys spowodowany wojną na Ukrainie powinien też być uświadomić, że bez rozstrzygnięcia tej konfrontacji nie uda się skutecznie podjąć systemowych wyzwań globalnych, że wojna na Ukrainie jest wojną światową, bo pokazuje, co odwraca uwagę, siły i środki od podejmowania wyzwań globalnych.

O ile strategiczne znaczenie wojny na Ukrainie szybko przyswoiły sobie społeczeństwa zachodnie, to w „Trzecim Świecie”, czyli jako dziś właściwiej jest mówić – Globalnym Południu, wojna ta wyobraźni nie poruszyła. Dla większości tamtejszych elit jest to wojna w obrębie bogatego świata, od której świat biedny powinien trzymać się z daleka. A już na pewno nie powinien za nią płacić. O ile zdecydowana większość państw rozwijających się poparła rezolucje Zgromadzenia Ogólnego ONZ potępiające działania Rosji, to zdecydowana większość z nich odmówiła przyłączenia się do zachodnich sankcji.

W 2022 r. minister spraw zagranicznych Indii S. Jaishankar stwierdził ni mniej ni więcej, że zachodni porządek światowy musi być zastąpiony przez świat „multisojuszniczy” („multialignment”), w którym państwa będą swobodnie wybierać swoje polityki, preferencje i interesy. Zupełnie, jakby zachodni porządek znaczył co innego. Paradoksalnie wojna na Ukrainie doprowadziła, jak napisał Roger Cohen, do zmniejszenia zaufania co do potęgi Zachodu, jego możliwości przebudowy świata w oparciu o zasady („rules-based-order”). „Trzeci Świat” uznał, że trzeba się na wszelki wypadek (czyli na wypadek porażki Zachodu) zabezpieczyć łagodnym potraktowaniem polityki Chin i Rosji. I rzekł Jaishankar: „When people start pressing you in the name of a rules-based-order to give up, to compromise on what are very deep interests, at that stage I’m afraid it’s important to contest that and, if necessary, call it out.”

Zachodnie tezy o dychotomicznym charakterze podziału świata, o starciu demokracji z autokracjami (Rosja, Chiny) nie przemówiły do wyobraźni społeczeństw „Globalnego Południa” w ogóle. Jak wynikałoby z badań Instytutu Bennetta z

Uniwersytetu Cambridge, o ile bogate społeczeństwa Zachodu w ostatnich latach stawały się coraz bardziej liberalne pod względem wartości (laicyzacja życia, prawa kobiet i LGBT, rozwody, aborcje, eutanazja, wolności osobiste), to „Globalne Południe” bynajmniej pozostawało na pozycjach konserwatywnych, patriarchalnych, religijnych. Okazało się, co najgorsze, że autorytaryzm znajduje całkiem solidne rezerwy poparcia społecznego w wielu państwach rozwijających się.

Ten postępujący rozróż w sferze wartości wykorzystują w swojej polityce propagandowej Rosja i Chiny, wzmacniając go polityką bezwarunkowej pomocy rozwojowej, a nawet bezwarunkowej pomocy wojskowej (dostawy broni, Grupa Wagnera w Afryce).

Prowadzi to do tezy, że kontynuowanie przez USA w szczególności polityki prodemokratycznej krucjaty przyniesie więcej strat niż korzyści. Jak stwierdził Ross Douthat w „New York Times” w kwietniu 2023 r. : „You cannot simply build alliances required to contain China or Russia if you can't work with countries that don't embrace Anglo-American liberalism or European proceduralism”.

I nowa administracja amerykańska w 2025 r. zdaje się w te głosy się wsłuchiwała. A wiele państw Globalnego Południa głośnym głosem przyklasnęło potrzebie pragmatyzowania polityki. „We need partners and not preachers” wybrzmiało na Południu.

A jednak wartości w swojej polityce Zachód wyrzekać się nie powinien. Nie powinien strategicznego kursu rozmięknąć na taktyczne względy.

Co więc Zachód czynić powinien?

Zacznijmy od najbardziej kierunkowych, strategicznych, oczywistych aspektów.

Po pierwsze, winien konsolidować się, dbać o własną spójność. Szkodnictwem było rozbijanie Unii Europejskiej i portretowanie jej jako Ameryki przeciwnika. Niedawno zaś posługując się tezami o „moralnej słuszności” wyjścia Polski z Unii Europejskiej podążył podobnym śladem Kaczyński. Ale szkodził wspólnocie też tak proeuropejski Macron swoimi wypowiedziami o dystansowaniu się Europy od USA w polityce wobec Chin.

Wbijanie klina między USA i Europą jest strategiczną głupotą. Inicjatywy w rodzaju „Wspólnoty Demokracji”/ Szczytu na rzecz Demokracji przy wszystkich ich wadach miały tę zaletę, że konsolidacji Zachodu sprzyjały. Choć zbyt ograniczoną miały podstawę polityczną. Brakowało w nich zdecydowanie komponentu bezpieczeństwa. Globalnego NATO stworzyć się prawdopodobnie nie da. Stany Zjednoczone pozostaną jedynym zwornikiem powiązań Zachodu w tej dziedzinie. Ale można sobie wyobrazić stworzenie bardziej organicznej sieci powiązań państw szeroko pojmowanego Zachodu w oparciu o wspólny system wartości. Nawet jeśli obecny czas temu nie sprzyja.

Zachód powinien wystrzegać się wszelkich działań, które prowadziłyby do posądzeń, że próbuje wartości narzucać. Wszystko o co powinien dbać, to o utrzymywanie swobodnych kanałów przepływu idei. Powinien jeszcze bardziej zdecydowanie występować jako obrońca wolności Internetu.

Nie powinien innych pouczać. Nie powinien prowadzić kaznodziejskich kampanii. Nie powinien angażować się w ideologiczne debaty, wchodzić w rozważania o różnych kulturach praw człowieka, o wyższości indywidualizmu nad kolektywizmem, itd. Do niczego dobrego nie prowadzą. Legitymizują tylko autokratyczne pojmowanie roli państwa, ograniczenia praw obywatelskich praktykowane przez państwa niedemokratyczne. Piszę to jako osoba w takich sporach zaprawiona.

Powinien prowadzić dialog z resztą świata na gruncie prawa międzynarodowego. Rozwijać światowe standardy, stosować inteligentne metody ich uniwersalizacji i rozliczać partnerów z ich stosowania. Konsekwentnie. Także poprzez warunkowość pomocy rozwojowej i kontaktów politycznych, gospodarczych i edukacyjnych.

Żadnych krucjat ideologicznych. Jeśli krucjaty, to tylko prawnomiędzynarodowe. A w ich ramach powszechnie aplikować tzw. prawo Magnickiego, angażować Międzynarodowy Trybunał Karny, stosować sankcje osobiste, zamrażać środki finansowe. W stosunku do polityków, urzędników i oligarchów Rosji mógł i powinien to robić Zachód na długo przed agresją na Ukrainę w 2022 r.

Piękne postulaty, można rzec. A konkrety? Trochę ich dalej spróbuję podrzucić.

(Artykuł ten oparty jest na moim panelowym głosie na konferencji poświęconej nowemu uniwersalizmowi, w której uczestniczyłem w grudniu 2022 r. w Berlinie).

II. Czas globalnego przesilenia

W narastającym napięciu i nagromadzeniu problemów wiele mądrych głów widzi oznaki globalnego przesilenia.

Globalne przesilenie zaczęło się nie wczoraj. Niektórzy wiążą je nawet z widmem trzeciej wojny światowej. Ona też w niektórych diagnozach zaczęła się nie wczoraj. Co prawda jeszcze bez spektakularnego wybuchu, jakim byłby otwarty konflikt militarny USA z Rosją czy Chinami. Wszystko jednak ma ku temu zmierzać. I to pełne obawy, ale i fatalizmu, oczekiwanie na jakieś wielkie globalne tąpnięcie przesiąka do świadomości wielu ludzi, przynajmniej na Zachodzie. A jeszcze nakłada się na to przeświadczenie, że za dużo już problemów się nagromadziło, że świat się pod ich ciężarem przygniata, że to wszystko musi po prostu łupnąć.

Nie ulega wątpliwości, że dobrze potrafimy już zdefiniować wyzwania, którym świat jako całość musi stawiać czoła. Uczą o nich od małości. Przypomnijmy je dla porządku, nawet jeśli wiedza to banalna.

Po pierwsze, to groźba wojny nuklearnej. Pogrożki Putina o gotowości użycia broni nuklearnej w kontekście wojny na Ukrainie uświadomiły, że syndrom rozszerzonego samobójstwa, nawet jeśli w wydaniu rosyjskim był tylko blefem mającym na celu wystraszenie zachodnich społeczeństw przed dalszym wspieraniem Ukrainy, to czystą abstrakcją nie jest. Może ją zastosować choćby KRLD. A łańcuchowy w skutkach wzrost potencjałów nuklearnych nakręcany przez Chiny (łańcuchowo, bo mogą za Chinami pójść Indie, a za Indiami Pakistan) czyni ryzyko przypadkowego odpalenia ładunków nuklearnych znacznie większym. A jeszcze dochodzi do tego napięcie na Bliskim Wschodzie, które także może stać się detonatorem wojny nuklearnej.

Po drugie, to zmiany klimatu. Nikt już ich nie kwestionuje. Tylko marginalna część społeczeństwa nie chce widzieć działalności człowieka jako ich źródła. Ale sprawnego mechanizmu, który oparty byłby na powszechnym konsensusie, takim pod którym bezwarunkowo podpisałyby się i USA, i Chiny, i Rosja, i Indie, dotąd nie ma.

Po trzecie, to zużycie zasobów naturalnych. Z kurczeniem się zapasów węglowodorów damy sobie pewno radę. Gorzej z postępującym zmniejszaniem się powierzchni lasów, wyjałowieniem gleb, przetrzebieniem fauny oceanów, ograniczonym dostępem do pitnej wody. Globalnych mechanizmów regulacyjnych w tym zakresie nie ma żadnych. Przy nieklamanej satysfakcji z podpisania w 2023 r. konwencji o ochronie bioróżnorodności oceanów, to nadal ledwo akt symboliczny.

Po czwarte, to groźba globalnych pandemii. COVID-19 wystraszył społeczeństwa na całym globie. Nikt nie polemizuje z poglądem, że kolejne pandemie są nieuniknione. Nieznane są wszakże żadne rozwiązania prawno-instytucjonalne, które zostałyby przedłożone, a tym bardziej wdrożone, aby pandemiom zapobiegać, likwidować je w zarodku, rozwijać współpracę w ich zwalczaniu. W kwietniu 2025 r. uzgodniono projekt światowej konwencji o walce z pandemiemi. Ale czy stanie się ona realnym instrumentem?

Po piąte, to rosnące w świecie nierówności w ramach poszczególnych społeczeństw. Uprawnione są tezy, że liczba ludzi w świecie o statusie rzeczywistych niewolników przebija wszelkie rekordy. Inne są formy współczesnego niewolnictwa, lecz jego skutki dla losów jednostki ludzkiej wcale nie łagodniejsze niż w przypadku klasycznego niewolnictwa z minionych epok, zdelegalizowanego i moralnie potępionego. I co? Zakończyły się mistrzostwa w Katarze i temat z radarów opinii publicznej znikł, choć sposób traktowania gastarbajterów to tylko mały wycinek problemu.

Po szóste, to nieprzewidywalne konsekwencje postępu technologicznego, a zwłaszcza wpływ sztucznej inteligencji. Poważne autorytety naukowe przestrzegają przed jej odczuwającym skutkiem dla naszych zachowań, wieszczą nawet kres rodzaju ludzkiego, jakim go znamy. Pojawiają się sygnowane szacownymi imionami apele o wstrzymanie dalszych prac na zastosowaniu sztucznej inteligencji, o wprowadzenie

swoistego moratorium na dalszy jej rozwój. W wymiarze prawnomiędzynarodowym i instytucjonalnym nie widać wszakże żadnych poważniejszych inicjatyw w skali globalnej. Unia Europejska podjęła się chwalebnie pionierskiej roli opracowania zasad użycia sztucznej inteligencji, ale do stworzenia powszechnego reżimu jeszcze bardzo daleko. Konwencję opracowano w ramach Rady Europy. Ale słabe to jeszcze instrumenty.

Po siódme, pogłębia się strukturalny kryzys współczesnego społeczeństwa. Przejawia się on w załamaniu się zaufania do zorganizowanych religii, do istniejących instytucji politycznych, w postępującej niewydolności państwa. Mimo powszechnego charakteru tych zjawisk są one nadal traktowane jako wyzwania lokalne, „ból głowy” państw narodowych.

Wyzwania te są ewidentne i przyswajane w świadomości społecznej od przedszkolnego prawie wieku. Na tyle są poważne, aby mówić o czasie prawdziwego przesilenia. Na tyle powiązane ze sobą, że specjaliści mówią o „polikryzysie” i dowodzą, że skutecznie da się je podjąć tylko w całości, systemowo.

Lecz co miałyby pomyślnie przeprowadzić świat przez wzburzone kryzysowe wody? Kto? Jak?

Jared Diamond w książce „Kryzysy. Punkty zwrotne dla krajów w okresie przemian” starał się podać sprawdzone recepty na skuteczne przeprowadzenie transformacji o charakterze zasadniczym na podstawie doświadczeń kilku wybranych przez niego państw.

Spróbujmy przetransponować zaproponowane przez Diamonda czynniki powodzenia na płaszczyznę globalną. Spróbujmy ocenić, jakie czynniki mogą wpłynąć na skuteczne przeprowadzenie świata przez globalne wstrząsy („global upheaval”).

Pierwszym na liście czynnikiem jest konieczność uznania, iż świat jest w stanie kryzysowym. No bo jeśli w naszej świadomości kryzys nie funkcjonuje, to problemu nie ma. Nic nas do działania nie zmobilizuje. Atoli jesteśmy, jak się wydaje, jeszcze daleko od powszechnego zaakceptowania faktu kryzysu. Świat trwa w zaprzeczeniu. Zwłaszcza niezachodnia jego część. Tam nadal emocjami społecznymi rządzi nadzieja i optymizm rozwojowy. Nie przypadkiem chińska literatura science-fiction operuje masowo utopijnymi wizjami świata. Na Zachodzie w literaturze, ale i w politycznej i ekonomicznej prognoście naukowej, dominuje zaś dystopia. Zachodni przywódcy od czasu do czasu stosują w swoich przemówieniach dramatyczne zwroty retoryczne w opisie świata. W Azji (w Rosji i Chinach) i w Afryce ze stanem kryzysowym kojarzony jest Zachód. Dopóki świat nie wyzwoli się z negacji i nie przyjmie kryzysowej diagnozy, nie nastąpi niezbędna stymulacja do działania.

Kolejnym czynnikiem jest zaakceptowanie dzielenia odpowiedzialności za rozwiązanie kryzysu, stworzenie wspólnoty powinności. Teza, że wszystkie państwa ponoszą współodpowiedzialność za przyszłość globu, nie jest już kwestionowana. Problem polega wszakże na tym, że utrzymują się spory co do rozłożenia owej współodpowiedzialności. Wiele państw Globalnego Południa nie kryje tego, że

oczekuje, iż rozwiązanie problemów nastąpi siłami i na koszt Zachodu. Bo to Zachód, w ich mniemaniu, doprowadził świat do obecnego stanu. A prawda jest taka, że nikt w samotrzcę, nawet USA, rady sobie nie da. Więc znowu – bez powszechnej świadomości, że współodpowiedzialność jest powszechna i wymaga czynnego udziału w rozwiązywaniu problemów, sukces nie nastąpi.

Następny czynnik jest niemniej ważny. To rzetelna ocena rzeczywistości i uczciwa samoocena własnych postaw. Czytając dokumenty ONZ, rozlicznych szczytów w sprawach globalnych można odnieść wrażenie, że tzw. społeczność międzynarodowa jest generalnie zadowolona z podejmowanych przez siebie działań. Jakże rzęsiście pogratulowała sobie chociażby z powodu realizacji tzw. celów milenijnych, a przynajmniej niektórych z nich. Trudno w tych dokumentach znaleźć elementy krytyki skuteczności własnego działania, a krytyki bezradności instytucji międzynarodowych w szczególności. To instytucjonalne samozadowolenie tak czasami rozmija się z ocenami publicystów międzynarodowych, organizacji pozarządowych, że można odnieść wrażenie, że politycy i dyplomaci funkcjonują w swojej zamkniętej rzeczywistości, sztucznej rzeczywistości. Zrozumieć można psychologiczny opór przed samobiczowaniem na oczach opinii publicznej, przed podważaniem własnych kompetencji i zaangażowania. Ktoś wszakże musi mieć odwagę opór ten przełamywać.

Czynnik czwarty, też istotny: wspólna tożsamość. Postulat krzewienia wspólnej tożsamości globalnej (w oparciu o tożsamość nas wszystkich jako istot ludzkich) jest ze wszech miar szlachetny. Ta tożsamość globalna jest wszakże nadal mało odczuwalna. Dominuje i utrwalana jest tożsamość plemienna, narodowa. To ona stoi za rozpowszechnionym omamem politycznym, że da się wznieść narodowe bądź regionalne zapory przed rozlewaniem się zagrożeń globalnych. Pytaniem zasadniczym w kontekście krzepnięcia tożsamości globalnej pozostaje, czy uda się ją zbudować bez czynnika instytucjonalnego, czyli światowego rządu, globalnej instytucji. Tożsamość narodowa nie wyrosłaby do obecnych rozmiarów bez instytucji państwa narodowego, tożsamość religijna nie znaczyłaby wiele bez zorganizowanych kościołów. Czy brak silnej, ponadnarodowej instytucji globalnej nie okaże się decydującym balastem w rozwijaniu poczucia tożsamościowej wspólnoty?

Piąty faktor sukcesu: przywództwo. Z tym też problem jest niepośledni. Zachód jako całość cierpi na deficyt zaufania ze strony partnerów. Inicjatywy wychodzące od Zachodu traktowane są z podejrzliwością. W ramach Zachodu Stany Zjednoczone, bez których żadna inicjatywa naprawy świata udać się nie może, choć może być realizowana (jak np. inicjatywa powszechnego zakazu broni nuklearnej, inicjatywa światowego trybunału karnego, inicjatywa ograniczenia produkcji gazów cieplarnianych), zachowują się często jak przywódca kapryśny, wybiórczy, niezdecydowany. Unia Europejska nie potrafi wyzwolić się z narzuconych sobie samej samoograniczeń, przezwyciężyć kojarzenia jej kluczowych państw ze spuścizną kolonialną. A Chiny, Rosja proponują wizję przywództwa dziewiętnastowiecznego, cynicznie związanego zasadami globalnej równowagi wielkich mocarstw. I stref wpływów.

Kolejna, szósta już w naszej wyliczance, składowa to właściwa perspektywa czasowa. Trzeba nam nauczyć się patrzeć daleko w przyszłość. Przekonać do bardziej długookresowego spojrzenia polityków obozu demokratycznego można bez większej napinki. Ale mechanizm polityki w państwach demokratycznych wymusił u nich nawyk myślenia w kategoriach sukcesu wyborczego, co narzuciło krótkoterminowy horyzont czasowy i doprowadziło do pogrążenia dyskursu politycznego w „permanentnej teraźniejszości”. Ograniczeń tych nie doświadczają dyktatorzy i autokraci. Jednakże ich „longtermizm” nie polega na myśleniu o przyszłym pokoleniu, lecz na unieśmiertelnieniu własnej sławy i imienia. Postulat „longtermizmu” przebija się opornie. Pojawiły się propozycje, aby jego promowaniem zajęły się specjalne instytucje, w tym zahibernetyzowana obecnie Rada Powiernicza ONZ. Zawsze to jakaś zmiana, która może rodzić nadzieję, ale i jej nie widać.

Siódmy czynnik to idee. Pangeizm i jemu podobne, o których w poprzednim wpisie, są dla polityków zbyt wysublimowane i górnołotne. Mogą być katalizatorem globalnej tożsamości, ale nie są traktowane poważnie jako drogowskaz działania. Nie ma dziś wyrazistych ideologii politycznych i mało kto za nimi tęskni. Społeczeństwa powrotu do epoki wielkich ideologii nie chcą. Ich traumatyczne skutki odłożyły się na trwałe w pamięci społecznej, zwłaszcza Zachodu. Nie ma dziś filozofa, intelektualisty, który zainspirowałby świat ideą mobilizującą do globalnego działania. Globalnie czytani niektórzy są, choćby Harari. Ale do inspiracji jego tezami mało kto się przyzna. Niepoważny on taki, celebrycki. Jednym słowem zabawiacz, a nie mędrzec. A może po prostu z epoki mędrców też już wyrosliśmy

Zakończę naszą wyliczankę punktem ósmym, czyli koniecznością skonsolidowania świata wspólnymi globalnymi wartościami. Zachód przez dekady żył w iluzji, że świat zmierza ku powszechnej akceptacji liberalnego pojmowania wartości, prymatu praw człowieka, rządów prawa, demokracji, społecznej sprawiedliwości, gospodarki rynkowej. Dziś zaczął w to poważnie wątpić. Klęska transformacji w Afganistanie jest traktowana przez wielu jako dowód, że są i będą w świecie społeczeństwa, które zachodnich wartości nie będą chciały i mogły przyswajać. Oszalamiające tempo wzrostu gospodarczego Chin przyjęto za skuteczność alternatywnego, nieliberalnego modelu zarządzania społecznego, przewyższającą skuteczność modelu zachodniego. Świat homogenizować się pod względem wartości nie chce, a polityka Rosji i Chin doprowadziła do odnowienia stanu konfrontacji globalnej opartej już nie tylko na geopolityce, ale i na pojmowaniu wartości.

Czy możliwe jest skuteczne podejmowanie wyzwań globalnych w świecie głęboko podzielonym przez wartości? Historia zna takie przypadki. Ostatecznie w czasie II wojny światowej połączył aliantów wspólny cel powstrzymania faszyzmu mimo głębokich podziałów ideologicznych między Zachodem a ZSRR. A i w czasie zimnej wojny doktryna pokojowego współistnienia próbowała dowodzić, że dla rozwiązywania wyzwań „ogólnoludzkich” trzeba działać ponad podziałami ideologicznymi. Więc i dziś można sobie wyobrazić „taktyczne” sojusze między światem demokracji i obozem autokracji w imię celów ogólnoludzkich, np. ograniczenia tempa zmian klimatycznych. Ale to z założenia będą sojusze doraźne, nietrwałe. Moja odpowiedź na pytanie o skuteczność podejmowania takich wyzwań przy konflikcie wartości jest więc sceptyczna.

A czy jest wyobrażalne zbudowanie porządku opartego na wizji „jednego świata” abstrahując od kwestii moralnych? Bo przecież jednolitego kodeksu moralnego dziś w świecie nie ma. Nie ma jednej wielkiej i jedynej religii światowej (a tylko dwie otwarcie pretendujące do powszechnego zasięgu). Nie ma też jednolitego pozareligijnego zbioru prawd moralnych. Czy da się go w ogóle wyobrazić? Mahbubani przekonywał, że owszem. Punktem wyjścia byłaby zasada: „nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe”. A i Harari twierdził, że da się. Że można rozpocząć jego budowanie od najniższego wspólnego mianownika czyli zakazu wyrządzania innym cierpień. Problem polega na tym, że nadal w naszych kulturach mamy nie tylko różne pojmowanie cierpienia. Najgorsze to to, że w znaczących kulturach cierpienie uwznioślamy, nadajemy mu wysublimowaną postać, czynimy drogą do moralnego doskonalenia. Jednym słowem, nie widzę szans na wspólny kodeks moralny w skali świata w wyobrażalnej przyszłości.

Pozostaje zdawać się na wspólne, międzynarodowe kodeksy prawne. To jedyna droga zbudowania solidnej wspólnoty wartości w świecie.

Sumaryczny wniosek z analizy powyższych ośmiu czynników pomyślnego przeprowadzenia świata przez czas wstrząsów jest mało krzepiący. Daleko nam do stanu gotowości. Bardzo daleko. Pozostaje więc na razie działanie zaradcze o charakterze objawowym. Będziemy próbować radzić sobie ze skutkami kryzysu, odcinkowymi i specyficznymi, będziemy stawiać segmentowe tamy przed narastaniem zjawisk niebezpiecznych. Będziemy rozwiązywać konkretne i doraźne kryzysy. Do systemowego działania warunki jeszcze nie dojrzały.

Czego jednak oczekiwałbym od liderów świata, polityków, autorytetów moralnych, celebrytów politycznych i społecznych, to przejrzystego wyłożenia, do jakiego świata chcą dążyć, postawienia jasnych celów, sformułowania drogowskazu, zadeklarowania wartości, którymi się kierują. Dezyderat ten postawiłem ongiś w związku z przygotowaniami do kolejnego „przełomowego” szczytu ONZ planowanego na 2024 r. Nie oczekiwałem tam kolejnej deklaracji milenijnej. Nie oczekiwałem też kolejnej wzniosłej rezolucji Zgromadzenia Ogólnego ONZ, kolejnego komunikatu szczytu G-7 czy G-20, kolejnej deklaracji aliansu demokracji. Od tych szczytów nie oczekuję już wiele. I oczywiście nie mogę czuć się zawiedziony i tym razem.

Oczekuję Karty na rzecz Jednolitego Świata.

Niech krąg jej sygnatariuszy będzie na początku wąski, bo nie wszystkim będzie taka wizja w smak, jak Putinowi czy Xi, ale niech przyłączenie się do niej stanie się deklaracją politycznej przyzwoitości.

Nowa Karta Atlantycka z 2021 r. podpisana przez Bidena i Johnsona to w sumie, jeśli spojrzeć na jej treść, zmarnowana okazja. Poza wszystkim, jeśli już wiązać nazwę z oceanicznymi regionami, to o kartę nie tyle atlantycką, co kartę trzech oceanów musiałoby dziś chodzić. Cele musiałyby być zaznaczone o wiele bardziej ambitnie i być związane z wizją Jednego (Jednolitego) Świata. I to da się zrobić, choć niekoniecznie rękami wyłącznie polityków i dyplomatów. A przywódcy polityczni mają dobrą wymówkę, bo głowa im pęka od rozwiązywania konkretnych kryzysów i

konfliktów. Ktoś powinien im pomóc. Nawet jeśli dziś w polityce inne obowiązują priorytety. I trzeba ten czas przeczekać. Nie czekajmy jednak beczynn timer.

(Nota źródłowa: tak mniej więcej o globalnym przesileniu opowiadałem ostatnio na seminarium Szkoły Edukacji Obywatelskiej w Wiedniu w lipcu 2023 r.).

III. Europejska odpowiedzialność za pokój

W październiku 2022 r. Josep Borrell przemawiając z okazji uruchomienia programu pilotażowego Akademii Dyplomatycznej UE w Brugii przyrównał Europę do wspaniałego ogrodu, w którym wszystko kwitnie, wszystko ładnie jest przycięte i zgrabione, wszystko działa jak należy. Resztę zaś świata określił mianem dżungli. Dżungla próbuje, według niego, zawładnąć ogrodem, wdrzeć się doń. Ogrodnicy muszą stawić temu czoła, wyjść do dżungli, zapobiec destabilizującej ich ekumenie inwazji. Swym porównaniem wywołał Borrell masę oskarżeń o naruszenie zasad poprawności politycznej, o paternalizm, protekcjonalizm, a nawet o hołdowanie stereotypom cywilizacyjnej wyższości Zachodu. Słusznie zresztą. Nie powiedział wszakże nic odkrywczego. W naukopodobnej postaci opisał ową dychotomię jeszcze w 2004 r. Robert Cooper w swojej powszechnie studiowanej publikacji „The Breaking of Nations”.

Bo Unia Europejska stała się bezapelacyjnie symbolem kantowskiego (pokoju) ogrodu, gdzie spory rozwiązuje się przez dialog i kompromis, gdzie rządzi prawo, a obywatele cieszą się dostatkiem. Natomiast spore połacie świata skojarzono z hobbesowską dżunglą, w której obowiązuje prawo silniejszego, potęgę przesądza o wyniku zatargu, a wszyscy wojują ze wszystkimi.

Nie ulega wątpliwości, że Unia Europejska zapewniła narodom wchodzącym w jej skład spokojne współzycie. Pokojowa Nagroda Nobla przyznana Unii w 2012 r. jest wyrazem uznania dla skuteczności formuły integracyjnej w eliminowaniu wojny jako środka rozwiązywania sporów na kontynencie europejskim.

Dalsza strategia rozwoju Unii Europejskiej jako projektu pokojowego („peace project”) narzuca się sama: kultywujemy i rozszerzamy „kantowski ogród”.

Rozszerzanie Unii Europejskiej jest więc niezbędne nie tyle nawet dla zapewnienia witalności samej Unii, co dla ekspansji strefy pokoju i stabilności, z której Unia korzysta jako projekt pokojowy. Włączenie do Unii całych Bałkanów Zachodnich, jej rozrost o Europę Wschodnią (Ukraina, Mołdowa, Białoruś), a nawet Kaukaz Południowy (co najmniej Gruzja, a też, daj Boże, Armenia) są w zasadzie strategicznie przesądzone. Ale zawsze mieć rozszerzanie będzie swoje granice. Nikt rozsądny nie postuluje, aby strategią unijną na zapewnienie pokoju w świecie było jej bezbrzeżne rozszerzanie.

Kultywowanie „kantowskiego ogrodu” pozostaje zadaniem stałym. Pamiętajmy też, że Unia jako projekt integracyjny wymaga zasilania ciągłymi impulsami. Jest z nią jak z jazdą na rowerze. Nie pedałuąc, prędzej czy później się musimy wywrócić. A zagrożenie wywrotką, patrząc na poparcie dla antyunijnych populistów na Węgrzech, w Polsce, we Włoszech, Francji, Niemczech czy Hiszpanii, w ostatnich latach wzrosło. Plan Odbudowy („hamiltonowski moment”) Unię popchnął do przodu, ale hasła powrotu do idei „Europy Ojczyzn” niepokoją. Bo Unii nie da się w sposób kontrolowany zrolować. Można ją tylko przestawić na tory samounicestwienia.

Ambitna w zamiarach Konferencja w sprawie Przyszłości Europy pracująca w I. 2021-2022 nie doprowadziła jeszcze do żadnych realnych skutków w prawodawstwie i praktyce unijnej. Parlament Europejski wykorzystał jej konkluzje jako pretekst do zaproponowania w 2023 r. zasadniczych zmian ustrojowych. Na razie bez widoku na realizację. Może akcesja Ukrainy do UE wymusi głębsze reformy w Unii. Bo wymusić musi. A są one konieczne. Ale rozmowy akcesyjne jeszcze się nie rozpoczęły.

Oby konstruktywny wkład wniosła do opracowania zmian ustrojowych Polska. Rekomendacje Parlamentu Europejskiego wprowadziły wszakże polską prawicę w stan antyeuropejskiej histerii, którą chciała skutecznie zarazić całą scenę polityczną. Co związało ręce Koalicji Obywatelskiej i Trzeciej Drodze, które w obawie przed zarzutami o nieumiejętność obrony polskich interesów narodowych, uciekają przed jednoznacznym opisem ich wizji reformatorskich planów. W kampanii prezydenckiej 2025 r. dominował pogląd, że żadnych nowych kompetencji nasza elita przekazywać Unii nie chce, i nie chce ona żadnych nowych traktatów. Polska może znów na własne życzenie pozbawić się możliwości twórczego wpływu na kształt przyszłej Europy.

Jedyna nadzieja w Nowej Lewicy? W istocie to politycy łączeni z lewicą, ale bynajmniej nie z Nową Lewicą, byli w stanie najkompetentniej wypowiadać się o pomysłach usprawnienia Unii. Pozostaje wierzyć, że Nowa Lewica uruchomi własne zaplecze intelektualne, które przecież chyba potencjalnie mogłaby mieć o wiele donośniejsze w głosie. Może i w MSZ po wyborach w 2023 r. odnajdą się dyplomaci-konceptualiści o wrażliwości lewicowej i proeuropejskiej. Dotąd się nie odnaleźli. Bo od urzędników trudno wymagać, żeby myśleli śmiało?

Kultywowanie i rozszerzanie „kantowskiego ogrodu” to jedna strona medalu, drugą pozostaje konieczność powstrzymania ekspansji „hobbesowskiej dżungli”, konieczność jej karczowania i oswajania. Borrell mówił o imperatywie wyjścia ku dżungli, ale problem jest pilniejszy, bo to „dżungla” idzie ku „ogrodowi”, grozi mu bezpośrednią agresją. Trudno bowiem inaczej interpretować działania Rosji i Białorusi w bezpośrednim sąsiedztwie Unii.

Pod względem obronności Unia nadal nie dysponuje jasną, strategiczną wizją. W sferze bezpieczeństwa europejski projekt integracyjny nie jest podwiązany pod precyzyjną wizję „finalité”, czyli stacji końcowej całego procesu. Pytaniem zasadniczym dla „finalité” w wymiarze politycznym i bezpieczeństwa jest, czy Unia ma stać się instytucją zbiorowej obrony?

Na pytanie to nie ma jeszcze jednolitej odpowiedzi w gronie członków Unii, choć prezydent Trump w 2025 r. swoimi działaniami wymusił na europejskich przywódcach podjęcie tematu. Pierwsza próba zdefiniowania roli UE w sprawach bezpieczeństwa, czyli tzw. strategia Solany z grudnia 2003 r., zadania transformacji w kierunku sojuszu obronnego przed Unią nie stawiała. Przyjęty w 2022 r. Kompas Strategiczny żadnych precyzyjnych wskazówek także nie daje. Unia operuje mglistym pojęciem „strategicznej autonomii”. Jak można się domyślać chodzi o autonomię względem NATO, względem Stanów Zjednoczonych.

Wojna na Ukrainie pokazała, że z poważnymi zagrożeniami płynącymi z sąsiedztwa Europa bez Stanów Zjednoczonych rady sobie nie daje. Stany Zjednoczone objęły przywództwo we wspieraniu Ukrainy i ciągnęły za sobą Europę w politycznej reakcji na rosyjskie zagrożenie. Również w sensie militarnym to Stany Zjednoczone ruszyły najsilniej z pomocą militarną dla unijnych państw flankowych i okazały początkowo decydujące wsparcie dla Ukrainy. A Europejczycy, nawet gdyby chcieli, to nie za wiele mogli uzbrojenia wtedy przekazać Ukraińcom (teraz z powodu polityki Trumpa, muszą ciężar przywództwa Europejczycy wziąć na siebie). Bo wojsko Europejczycy mieli bardziej na pokaz niż dla realnego użycia. Christian Moelling nie bez kozery nazwał europejskie wojsko „armiami bonsai”. Niemcy tak cieszyli się dywidendą pokoju po rozpadzie Układu Warszawskiego, że w Bundeswehrze pozostało na wyposażeniu 130 sprawnych czołgów (a w latach 80-ych ubiegłego wieku miała ich ona na stanie ponad 7000!). Funkcjonowało za to w armiach europejskich po starej tradycji kilkaset orkiestr wojskowych (w samych siłach zbrojnych Włoch jest ich ponad 20). 60 procent wydatków obronnych szło na pensje i emerytury.

Pojawiły się w Polsce (i w niektórych innych krajach regionu) głosy nawet po powrocie Trumpa do władzy, że ze wspólną polityką obronną Unii trzeba sobie dać spokój. Trzeba ją porzucić nie tylko jako wizję złudną, ale nawet wizję szkodliwą, bo kwestionującą sens amerykańskich gwarancji dla bezpieczeństwa Europy. A tylko amerykańskie gwarancje mają wartość realną.

Próba tworzenia iluzji, że Europa dawać sobie może radę bez amerykańskiego parasola w sprawach bezpieczeństwa, mrzonki o obronnej samowystarczalności, takie podejście może zakrawać na prowokację, i tak jest traktowane w Polsce i w kilku co najmniej innych krajach. Okrom frustracji żadnych efektów nie da.

Paradoksalnie jednak, porażka Rosji na Ukrainie, jej militarne poniżenie, mogłoby się stać dla Unii okazją wręcz historyczną do osiągnięcia stanu samodzielności obronnej. Bo jeśli Ukraina poradziłaby sobie (przy materialnym i finansowym wsparciu Zachodu) z zagrożeniem rosyjskim, to dlaczegoż to sama Europa wzmocniona członkostwem Ukrainy nie mogłaby się czuć bezpiecznie w obliczu rosyjskiego awanturnictwa. A klęska Rosji w skutkach politycznych (dezintegracja) i gospodarczych (zapaść technologiczna i in.) uczyniłaby z niej państwo wręcz ubezwłasnowolnione. Z takim zagrożeniem (nawet uwzględniając czynnik nuklearny) Unia Europejska mogłaby sobie poradzić bez absorbowania Stanów Zjednoczonych. Przynajmniej w przewidywalnej przyszłości. A Stany Zjednoczone mogłyby się skupić na głównym zagrożeniu globalnym, czyli na Chinach. I jeszcze liczyć globalnie na wsparcie europejskie. Znaczna część elit amerykańskich z chęcią przystałaby

niewątpliwie na taki scenariusz. Ale w lecie 2025 r. perspektywa rosyjskiej klęski nie jest uznawana za realną. Jeśli Europa ma uniezależnić się od amerykańskiego protektoratu wojskowego, to nie na zasadzie wyboru lecz konieczności.

Całe szczęście Europa chce nadal Ukrainę wspierać. A wsparcie europejskie dla Ukrainy mogłoby stać katalizatorem większego projektu polityczno-strategicznego. Chce przede wszystkim kierować na obronność swoich członków wspólny strumień pieniądza. To już jest coś, nawet jeśli wielkim projektem nie pachnie.

Unia Europejska wpisała do swoich dokumentów (Traktat Lizboński) namiastki zobowiązań sojuszniczych. Art. 42 (7) Traktatu o Unii Europejskiej mówi o pomocy wzajemnej, Art. 222 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej wprowadził tzw. klauzulę solidarności. Strategiczny kompas potwierdził, że owe zobowiązania pomocy i wsparcia przez członków Unii „wszelkimi środkami w ich mocy” są wpisane w kontekst artykułu 51 Karty Narodów Zjednoczonych.

Nie sposób więc ich utożsamiać z zobowiązaniami sojuszniczymi w ramach NATO. W przypadku zagrożenia ze strony Rosji tak się składa, że wszystkie tzw. państwa flankowe (frontowe) Unii Europejskiej są członkami NATO. Więc w przypadku agresji na te państwa zadziała NATO. Wsparcie i pomoc na mocy przepisów traktatowych Unii będzie miało dopełniający charakter, nie będzie podlegało egzystencjalnej weryfikacji ich wiarygodności.

Ale jak zachowaliby się członkowie Unii, gdyby agresja dotyczyła jej członka nie wchodzącego do NATO, jak choćby Cypru czy Malty? A co, gdyby Turcja użyła siły militarnej wobec Grecji w sporze dwustronnym? Przywódcy Turcji publicznie mówili, żeby członkowie Unii zachowywali neutralność w tych sporach. Latem 2022 r. niektóre z tureckich wypowiedzi miały bardzo jętrzący charakter, a Grecja wskazywała wręcz, że brak stosownej reakcji ze strony Unii grozi powtórką ukraińskiego scenariusza.

No dobrze, powie ktoś, po co Unii samowystarczalność obronna, jeśli widma amerykańskiego izolacjonizmu nie ma (nawet uwzględniając retorykę Trumpa, w której może tylko chodzić o zmuszenie Europejczyków do zwiększenia wydatków wojskowych) i USA szybko Europy nie porzucą, choćby ze względu na politykę globalną?

Otóż celem Unii pozostaje wzmocnienie własnej podmiotowości politycznej w świecie. A nie da się prowadzić spójnej polityki zagranicznej bez jej komponentu bezpieczeństwa. Od biedy może oczywiście przybrać taka okrojona polityka jakąś formułę globalnego zaangażowania, ale z pewnością bez dysponowania skutecznym instrumentarium polityki bezpieczeństwa żadna aktywistyczna polityka zagraniczna nie jest możliwa do prowadzenia. Pozostając amerykańskim protektorem bezpieczeństwa Europa na samodzielny biegun w układzie globalnym pretendować nie może. Może nadal występować w roli, pogardliwie przez niektórych określanej jako „Mädchen für alles”, czyli sprzątać i zmiatać po bałaganie narobionym przez innych, zajmować się potrocinami po wielkich strategicznych grach. Może próbować sił w neutralistycznych misjach mediacyjnych, jak w przypadku irańskiego programu

nuklearnego. Ale nic ponadto. Więc jeśli zgadzamy się widzieć Europę jako kolektywnego globalnego gracza politycznego, to musimy rozwijać jego podmiotowość obronną. Taka logika myślenia do wniosków prowadzi więc jednoznacznych.

Oczywiście z taką logiką nie zgodzi się pewno wielu wyznawców europejskiego izolacjonizmu, wielu mentalnych więźniów syndromu prowincjonalizmu, wielu członków europejskiej sekty „moja chata z kraja”. W samej Polsce liczyć ich można na kopy.

Dotychczasowe działania w ramach Unii na polu bezpieczeństwa miały charakter pragmatyczny. Chciano, aby Unia skupiała się na misjach stabilizacyjnych (cywilnych i wojskowych) w swoim sąsiedztwie. Dorobiono nawet do tego koncepcję podziału ról. NATO było od zadań obronnych, Unia zaś od ekspedycyjnych, NATO było od zagrożeń zasadniczych (Rosja), Unia zaś od mniej pierwszorzędnych (piraci, bandyci, ekstremiści). Tworzono załączki współpracy i wspólnych instytucji bez rozstrzygnięcia kwestii, do czego w ostateczności miałyby to doprowadzić. Kiedy jednak przyszło do dyslokacji pierwszych unijnych misji, okazało się, że nie dysponowała Unia ani zdolnościami przerzutowo-transportowymi, ani odpowiednimi systemami rozpoznania. Musiała polegać na wsparciu NATO, co wymagało wszakże posilnych zabiegów polityczno-dyplomatycznych. Utworzono wprawdzie sztaby planistyczne w ramach UE, stworzono podwaliny do współpracy technologicznej i przemysłowej w dziedzinie obronności, powołano do życia nawet w 2004 r. Europejską Agencję Obrony, ale realnej samodzielności Unia osiągnąć nie była w stanie. Ba, ogłoszono cel dojścia do pułapu 5000 żołnierzy w dyspozycji Unii zdolnych do szybkiego rozmieszczenia. Utworzono międzynarodowe grupy bojowe. Ale do dziś nie zostały jednak użyte. Ćwiczą, dyżurują, ale w boju nikt ich nie sprawdził. Maciej Popowski na łamach „Gazety Wyborczej” przypomniał w maju 2023 r., że nazywane są „papierowym tygrysem”, a złośliwcy inspirować się angielskim akronimem grup bojowych, czyli BG, czytany: „bidżi”, ich hymnem bojowym nazywają przebój grupy BeeGees pod jakże wymownym tytułem „Staying Alive”.

Nie jest tajemnicą, że nawet po Brexicie kilka co najmniej państw członkowskich UE, nie tylko Austria czy Irlandia, miały problem z bardziej aktywistyczną i podmiotową polityką bezpieczeństwa UE.

Podjmowano więc decyzje systemowe, które pozwalają współpracować w węższym gronie, jak choćby w ramach tzw. PESCO. Ale rzeczywista współpraca obronna Europejczyków dokonywała się w ramach NATO. Dla dowódców wojskowych i wojskowych planistów w wielu państwach Unii współpraca obronna w ramach Unii Europejskiej była wtórnym, marginalnym, a czasami wręcz rozpraszającym dopełnieniem podstawowego wysiłku koordynacyjnego, który prowadzony był w ramach NATO.

Zwolennicy ściślejszej współpracy w ramach Unii upatrują katalitycznych wręcz skutków w powołaniu Europejskiego Funduszu Obronnego (choć początkowo miało być to tylko i aż 8 miliardów euro na lata 2021-2027). Ma on wspierać projekty badawczo-obronne z dziedziny obronności. A Europejski Fundusz Pokoju został

zaangażowany na rzecz wsparcia Ukrainy. I postanowiono wydać pieniądze unijne na wsparcie wspólnych zakupów sprzętu wojskowego. Wspólne projekty badawcze i wspólne zakupy mogą niewątpliwie pozwolić państwom Unii zracjonalizować wydatki obronne. Ale to żadnych dylematów nie rozstrzyga.

Bo kluczowe pytanie dla zdolności Unii Europejskiej względem udzielania sobie przez jej członków gwarancji bezpieczeństwa w unijnych ramach sprowadza się do tego, czy można ją sobie wyobrazić bez zintegrowanego dowództwa, bez wspólnych sił zbrojnych (europejskiej armii), bez „zeuropeizowanego” nuklearnego parasola (obecnie francuskiego).

Uczciwie należałoby stwierdzić, że takiej zdolności wyobrazić sobie nie sposób bez jednoznacznej odpowiedzi na powyższe pytanie. NATO może pozostawać wiarygodnym gwarantem bezpieczeństwa bez konieczności tworzenia wspólnej armii i wspólnego parasola nuklearnego, ale wynika to z decydującej roli amerykańskiego potencjału militarnego. Europa bez wspólnej armii i „zeuropeizowania” francuskiego odstraszcza nuklearnego nie wybija się na samowystarczalność w powstrzymywaniu poważnego zagrożenia, przede wszystkim rosyjskiego. Wyjście W. Brytanii z Unii uczyniło dyskusję w tych sprawach łatwiejszą, ale nadal masy krytycznej dla przełomu w myśleniu o obronie Europy nie widać.

Dlaczego to? Odpowiedzialność za brak postępu spoczywa przede wszystkim na Francji i Niemczech. To oni aspirują do przywództwa w Unii, oni stanowią trzon europejskiego potencjału militarnego. Nadal łatwo im odbijać ten zarzut wskazując na obstrukcję choćby Duńczyków czy Polaków, ale to ten tzw. „motor” integracji ponosi winę za brak gotowości do odważnej kompleksowej strategii przekształcenia Unii w sojusz obronny. Bo oczywiście wspólna armia (nawet legion) bez determinacji do użycia jej w obronie każdego państwa członkowskiego może mieć charakter tylko ekspedycyjny i to w ograniczonym wymiarze, a zaangażowana w obronę członków wspólna armia bez powiązania jej z pełnym spektrum odstraszania, czyli także z odstraszaczem nuklearnym też ograniczony może mieć pożytek.

Że też nikt na niemiecko-francuski motor nie chce w tej sprawie wystarczająco silnie naciskać.

A co na to Stany Zjednoczone? Obraziłyby się i z Europy swoje „zabawki” zabrały? Wątpię. Mogą zabrać przecież i bez tego. Myślę jednak, że powinny nie tylko taki rozwój Unii Europejskiej tolerować, ale i aktywnie mu sprzyjać. Po zakończeniu zimnej wojny USA co najmniej trzykrotnie myślały o przekazaniu Europejczykom większej odpowiedzialności za bezpieczeństwo Europy. Europa nie była w stanie stanąć na wysokości zadania. A europejski sojusz jako autonomiczny filar NATO niewątpliwie by temu służył. I, można mieć nadzieję, bardziej mobilizowałby Europejczyków do ponoszenia większych wkładów finansowych na własną obronność niż wezwania zza „Wielkiej Wody”.

A co, jeśli Trump zrealizuje swoje deklaracje, że USA tak znowu bezwarunkowo Europy bronić nie zamierzają? Rozumiem, że planiści, także na Al. Szucha, już szykują tzw. rozwiązania ewentualnościowe na taki bieg wypadków. Co, jeśli wariant

zacieśniania przez niektórych Europejczyków dwustronnych powiazań obronnych z USA (co było tzw. wariantem domyślnym ćwiczonym przez lata w Warszawie), nie będzie wchodzić z różnych powodów w grę? Pozostaje tylko Unia Europejska.

Przez lata dowodzono, że wpisanie Unii Europejskiej jako sojuszu w system gwarancji NATO jest rozwiązywaniem kwadratury koła. Tak mogą myśleć tylko ludzie małej wyobraźni politycznej. Albowiem da się te oba systemy zobowiązań i integracji wojskowej połączyć, nawet uwzględniając specyfikę państw nadal uważających się za neutralne, jak choćby Austrii. Jest oczywiście wyzwaniem przełamanie zastałego oporu Turcji w NATO przed tworzeniem tzw. europejskiego filaru (i oporu Cypru w UE przed tureckim *droit de regard*). To nie są wszakże problemy systemowe.

Timothy Garton Ash na łamach „Foreign Affairs” zaproponował w maju 2023 r. potraktowanie Unii Europejskiej jako postimperialnego imperium, a NATO jako postimperialnego imperium USA, działających zgodnie w zapobieganiu recydywy zagrożenia ze strony upadającego rosyjskiego imperium i powstrzymywaniu rosnącego imperium chińskiego. Dlaczego nie, nawet jeśli taka imperialna konwencja może razić.

Polska za sojuszem unijnym opartym na wspólnej armii winna się jednoznacznie opowiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że to właśnie polskie siły zbrojne wspólnie z ukraińskimi tworzyłyby stos pacierzowy europejskich sił lądowych. A to dawałoby Polsce prawo, podobnie jak Francji jej status nuklearny i jej potencjał ekspedycyjny, a Niemcom ich status księgowego Europy, do odgrywania szczególnej roli w zarządzaniu europejskim sojuszem obronnym.

Mogąc osiągnąć względną samowystarczalność w zakresie obrony własnej, Europa odgrywałaby o wiele większą rolę w projekcji bezpieczeństwa na zewnątrz, jako agent zbiorowego bezpieczeństwa zarówno w Europie, jak i szerzej w świecie (przynajmniej w jego części przylegającej do Europy).

(Mówiłem o tym na konferencji w Kownie w listopadzie 2022 r.)

IV. Europejska odpowiedzialność za świat

Rozziew między kantowskim ogrodem i hobbesowską dżunglą rośnie. Jak mieszkańcy kantowskiego ogrodu winni sobie dawać radę z zagrożeniem płynącym z dżungli? Najprymitywniejszy sposób to budowa wysokiego ogrodzenia, szanca, muru nieprzenikalnego. W historii praktykowano tę metodę na dużą nawet skalę: Wielki Mur Chiński, Wał Hadriana. Europie dziś zamienić się w niedostępną twierdzę się nie uda. Z wielu oczywistych powodów. Pozostaje jej jedynie nadzieja na cywilizowanie zachowań w dżungli.

Cywilizowanie (najprościej pojmowane) polega na powstrzymywaniu aktów przemocy przez ograniczenia prawnomiędzynarodowe, udzielanie wsparcia pokrzywdzonym, karanie naruszcycieli sankcjami. Od końca XIX wieku strategię ochrony słabszych przed przemocą nazywano bezpieczeństwem zbiorowym. Pierwszym jej wcieleniem próbowano uczynić Ligę Narodów. Z marnym skutkiem. Organizacja Narodów Zjednoczonych miała uniknąć jej błędów. Zastosowała ona doktrynę bezpieczeństwa zbiorowego dwukrotnie: w Korei w 1950 r. i w Iraku w 1991 r. Po zakończeniu zimnej wojny pojawiły się nadzieje, że rolę platformy bezpieczeństwa zbiorowego przejmie OBWE. Wpisano nawet do jej dokumentów (Kodeks Bezpieczeństwa z 1994 r., Karta Stambulska z 1999 r.) tzw. klauzulę solidarności. Nigdy jej nie aktywizowano, mimo że aktów naruszeń norm i standardów, a i przemocy międzynarodowej jej niektórzy członkowie doświadczyli.

W doktrynie bezpieczeństwa zbiorowego kluczową dla jej wiarygodności jest gotowość ze strony państw do bezinteresownego zbrojnego wstawienia się za państwem, które padło ofiarą agresji, gotowość do prowadzenia wojny w imię czyjegoś bezpieczeństwa, które traktujemy jako bezpieczeństwo wspólne. Innymi słowy, aby doktryna ta zadziałała, potrzebny jest agent sprawczy. W 1998 r. rolę takiego gwaranta bezpieczeństwa zbiorowego wzięła na siebie NATO wymuszając zbrojnie na Serbii zaprzestanie przemocy w Kosowie. Przypadek ten do dziś oceniany jest na tyle kontrowersyjnie, że rozwinięcia w strategii NATO nie uzyskał.

Rosyjska agresja na Ukrainę obnażyła niezdolność ONZ i OBWE do zapewnienia bezpieczeństwa jej członkom. Doktryna bezpieczeństwa zbiorowego wygląda jak kupa gruzu. NATO jako sojusz ani przez chwilę nie rozważało możliwości wzięcia na siebie roli militarnego gwaranta tej doktryny w tym konkretnym przypadku. Oczywiście ze względu na obawy przed wejściem w bezpośredni konflikt zbrojny z Rosją. Groziłoby to wojną nuklearną. Uruchomienie doktryny bezpieczeństwa zbiorowego przeciwko państwu nuklearnemu generalnie wydaje się mało prawdopodobne. Można ją było zastosować w 1950 r. przeciwko KRLD, ale dziś, kiedy KRLD dysponuje bronią nuklearną, chętnych do interwencji pod flagą ONZ byłoby pewno o wiele mniej, jeśli w ogóle by się znaleźli, a i niektórzy członkowie Rady Bezpieczeństwa takiej operacji by autoryzować nie chcieli, argumentując, że chcą uniknąć konfliktu nuklearnego.

Jeszcze dwie dekady temu miano nadzieję, że rolę gwaranta doktryny bezpieczeństwa zbiorowego wezmą na siebie USA, bez oglądania się na ONZ i obchodząc obstrukcję Rosji czy Chin. Ale rola globalnego policjanta okazała się nie po siłach nawet dla Stanów Zjednoczonych. Obama uznał, że przeprowadzenie operacji lądowej w Libii czy Syrii przesięga możliwości USA. A potem nastąpił odwrót z Iraku i całkowite wyjście z Afganistanu.

Casus Ukrainy nie jest dla doktryny bezpieczeństwa zbiorowego całkiem jednak zabójczy. Bo państwa Zachodu, członkowie Unii Europejskiej i NATO (z małymi wyjątkami) na pomoc Ukrainie ruszyli, choć nie zbrojnie. Przekazali broń, szkolili żołnierzy, udzielili kredytów, ukarali sankcjami agresora. A przecież sojuszniczych zobowiązań wobec Ukrainy nie mieli. Do końca tak bezinteresownie jednak nie działali. Zdali sobie w końcu sprawę, że jeśli Ukraina padnie, Rosja ruszy dalej na zachód, zagrozi im bezpośrednio. W 2008 r. kiedy rosyjskie czołgi szły na Tbilisi takiego związku skutkowego jeszcze nie widzieli. Widziała Polska i Bałtowie, reszta tkwiła w zaprzeczeniu.

Ekspansja hobbesowskiej dżungli sprowadziła na ziemię Unię Europejską. Uświadomiła sobie Unia w końcu, że – jak określono to w Kompasie Strategicznym – musi ona nauczyć się przemawiać językiem siły.

Rola Unii Europejskiej w globalnych procesach bezpieczeństwa była dotąd bardzo ograniczona. Sprowadzała się do prób mediacji (program nuklearny Iranu, konflikt serbsko-kosowski), finansowaniu programów odbudowy pokonfliktowej (na całym świecie) i ekspediowaniu sił stabilizacyjnych (już kilkudziesięciu, ale w rozmiarze jednostkowym jednak symbolicznych).

Czy Unię Europejską stać na więcej? Niewątpliwie więcej znaczyć nie będzie, jeśli (jak napisałem w poprzednim rozdziale) nie zdoła sobie zapewnić przynajmniej względnej samowystarczalności obronnej, jeśli nie wyzwoli się z syndromu amerykańskiego protektoratu bezpieczeństwa.

Przez lata Unia Europejska żyła iluzją zdobycia sobie pozycji w świecie jako tzw. miękka siła. Jest dziś więc Unia dostarczycielem ponad połowy całej pomocy rozwojowej w świecie, jest największym partnerem handlowym dla zdecydowanej większości państw świata. Ale na jej wizerunek jako gracza politycznego nie przełożyło się to wystarczająco zauważalnie. W sierpniu 2022 r. „Foreign Affairs” zamieścił artykuł zasłużonego indyjskiego dyplomaty Shivshankara Menona pt. „Nobody Wants the Current World Order”. Postawił on tezę, że wszystkie liczące się mocarstwa świata, w tym USA, stały się mocarstwami rewizjonistycznymi, chcą zasadniczej zmiany parametrów porządku międzynarodowego. Co bardzo znamienne, to fakt, że autor nie zauważa w ogóle Unii Europejskiej jako zbiorowego mocarstwa, nie wymienia jej wśród graczy światowej polityki. Nie ma Europy w jego opisie wśród światowych decydentów. I nie jest Menon w swym oglądzie odosobniony. Stephen Brooks i William Wolfarth na łamach „Foreign Affairs” w 2023 r. udowadniali, że świat nie jest ani bipolarny, ani multipolarny, że utrzymuje się nadal luka potęgi między USA i resztą świata, czyniąc układ sił częściowo jednobiegunowym, bo blisko USA znalazły się już Chiny, ale potem jest długo, długo nikt, może Indie. I autorzy ci również Unii Europejskiej jako potęgi globalnej nie widzą.

Ann Bradford próbowała kiedyś pocieszać nas, że Unia Europejska mimo wszystko rządzi światem występując w roli „globalnej potęgi regulacyjnej”. Nie uciekając się do instrumentarium politycznego nacisku, w sposób jednostronny kreuje standardy jakości wyrobów, bezpieczeństwa żywnościowego, ochrony konsumentów, reguły ochrony środowiska, ochrony prywatności, itd. Pozostałe państwa muszą się do tych reguł dostosowywać, przyjmować je, volens nolens stosować w praktyce.

Problem oczywiście w tym, że owa niezaprzeczalna rola regulacyjna nie przekłada się jeszcze na siłę głosu politycznego. Nie tylko w odbiorze „Globalnego Południa”.

Jednym słowem: strategia „soft power” nie zapobiegła traceniu przez Europę wpływów w krajach globalnego Południa. Dramatycznie zabrzmiały słowa Macrona wypowiedziane na konferencji monachijskiej w 2022 r.: „Poraża mnie, jak straciliśmy zaufanie globalnego Południa” („I am struck by how we have lost the trust of the global South”).

Bo Unia Europejska w wielu stolicach świata nie kojarzy się jeszcze ze zbiorowym działaniem, a Europa nie kojarzy się z asertywnością.

Poczyna sobie Unia Europejska w polityce światowej zdumiewająco nieśmiało. Nie kompensuje tego zupełnie przedstawianie się niekiedy przez Francję jako rzecznika i przedstawiciela Europy (jak choćby w 2023 r. podczas wizyty Macrona w Chinach), nawet kiedy robi to podpierając się Niemcami (jak wobec Rosji w formacie normandzkim).

Europa nie jest nawet w stanie przedstawić spójnego intelektualnego wkładu do debaty o kształcie przyszłego światowego porządku. Wszystko na co było ją stać, to hasło „skutecznego multilateralizmu” i deklaracje o wierności idei „porządku opartego na zasadach”. Zżymała się na amerykańskie inicjatywy budowy obozu demokracji w świecie, ale sama nie była w stanie zaproponować nic od siebie. Krzywi się teraz na trampowską doktrynę „pokój poprzez siłę”, ale alternatywnych pomysłów nie przedstawia. Nie aspiruje nawet do tego, aby współtworzyć platformę globalnego dialogu o przyszłości świata. Wspiera inicjatywy Sekretarza Generalnego, wspomaga plany reform instytucjonalnych, w tym WHO, również finansowo, współpracuje konstruktywnie z instytucjami globalnymi, ale na inicjatywy własne się nie sili.

Ktoś kiedyś powiedział, że nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż biurokrata z wizją. Nie oczekuję więc śmiałych wizji od urzędników Komisji Europejskiej. Ani od urzędników Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych. Ale liderzy polityczni Unii mogliby coś jednak zaproponować.

Nie za bardzo Unia nawet promuje własny sukces integracyjny jako model dla budowania stabilności i dobrobytu w innych częściach świata. Nadal nie brakuje przecież głosów, aby zorganizować świat na zasadzie dużych kontynentalnych (lub regionalnych) konglomeratów integracyjnych. Ale inicjatywy integracyjne realizowane są jedynie w Afryce (Unia Afrykańska), Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN), na obszarze postsowieckim (Unia Eurazjatycka jako forma hegemonii rosyjskiej) i części Ameryki Łacińskiej. Jednak do stopnia integracji europejskiej kudy im. No i praktyczne skutki dla stabilności regionów słabiotkie (autokracje i niedorozwój w Afryce, kryzysy, jak choćby mjanmarski, w Azji).

Integracja regionalna może być dobrym pomysłem na zarządzanie światem, ale do pewnego etapu. Może i dobrze, że Unia Europejska nie chce uchodzić za element „końca historii” w poszukiwaniu porządku światowego. Jej główną koncepcyjną zasługą jest niewątpliwie udowodnienie, że da się z dobrym skutkiem przełamywać balast narodowych podziałów, wynosić się ponad ograniczenia wynikające z narodowej suwerenności, burzyć absolut paradygmatu państwa narodowego. Chwała jej za to. Ale jej historyczną misją nie powinno być bynajmniej odtwarzania modelu państwa narodowego i mechanizmów polityki narodowej na wyższym poziomie, tj. struktury regionalnej. Wizja Stanów Zjednoczonych Europy mogła być kiedyś dla europejskich federalistów wizją docelową. Ale dzisiaj może być co najwyżej wizją przejściową. Bo ostatecznym etapem jest przecież dobre urządzenie świata.

Brakuje niewątpliwie europejskiego głosu na rzecz budowy struktur ponadnarodowego zarządzania światem. Używać terminów „państwo światowe” czy nawet „rząd światowy” w tym kontekście bynajmniej oczywiście nie wolno. Bo spalić można w ten sposób najlepszy nawet pomysł. Liczyć na Stany Zjednoczone w promowaniu ponadnarodowego podejścia do zarządzania światem długo przecież (jeśli kiedykolwiek) nie będzie można. Wydawałoby się, że w sposób naturalny otwiera się pole dla aktywności Unii Europejskiej.

Teraz przykłady. Jak pisałem ponad dziesięć lat temu, Unia Europejska mogłaby stać się rzecznikiem koncepcji globalnej sprawiedliwości i praworządności. Postawienie w stan oskarżenia Putina w związku ze zbrodniami wojennymi na Ukrainie uświadomiło znaczenie uniwersalizacji Statutu Rzymskiego i wzmocnienia roli Międzynarodowego Trybunału Karnego. Unia nie tylko mogłaby się silniej zaangażować we wsparcie MTK, ale i innych trybunałów międzynarodowych. Zwłaszcza, że chce Unia uchodzić za etalon rządów prawa.

Pytano mnie przed laty, dlaczego Unia nie mogłaby inicjować proces powołania nowych instytucji trybunalskich, chociażby Światowego Trybunału

Praw Człowieka (tak, wiem, w dzisiejszej sytuacji nie do zrealizowania). Pytano, dlaczego nie mogłaby promować idei utworzenia globalnej niezależnej instytucji zajmującej się monitoringiem wyborów (jak kiedyś Biuro Wolnych Wyborów w ramach KBWE), pozwalającej ONZ skupić się na elektorальной pomocy. Bo przecież łoży już niebagatelne kwoty na obserwację wyborów poza Europą. Pytano, dlaczego, będąc rzecznikiem walki z korupcją, Unia nie dąży do powołania globalnej agencji antykorupcyjnej, która zajęłaby się całą szarą strefą międzynarodowej korupcji, którą dziś w zasadzie zajmują się tylko USA, a i to głównie z amerykańskiego punktu widzenia. Brytyjczycy przed paru laty doprowadzili do powołania IACCC jako ciała koordynacyjnego, ale jego mandat i zasięg jest przecież bardzo ograniczony. A z innej beczki, Unia Europejska jakoś zniechęcona chłodną reakcją USA i innych zarzuciła promowanie pomysłu Światowej Organizacji Ekologicznej. Pytań i przykładów jest oczywiście więcej.

Wiadomo, na drodze do realizacji tak daleko idących planów stoi brak solidnego globalnego konsensu. Ale przecież instytucje te mogłyby zostać powołane do życia przez wybrane, chętne do tego zainteresowane rządy, otwarte na przyłączenie z czasem innych, najlepiej oczywiście wszystkich państw świata, więc nie trzeba od razu aspirować do pełnego consensusu.

A już niewątpliwie zadaniem najwyższej próby byłoby opracowanie w Brukseli idei usprawniających zarządzanie globalnymi dobrami publicznymi (kosmosem, oceanami, przestrzenią wirtualną, etc.).

Ktoś kiedyś rzucił ideę w dyskusji, w której uczestniczyłem, aby Parlament Europejski stał się rzecznikiem powołania Parlamentu Światowego, a Europejski Kongres Regionów – Światowego Kongresu Regionów. Bo Parlament Europejski już kiedyś ideę Parlamentu Światowego wsparł, ale wszakże bez większego rozgłosu. A mógłby robić o wiele więcej. Unii Europejskiej starczyłoby niewątpliwie funduszy, aby prace nad powołaniem tych instytucji sfinansować, gromadzić intelektualny potencjał, prowadzić kampanię promocyjną.

W tych dyskusjach, czasem będąc nawet nieźle przyciśniętym do muru, oczywiście zawsze mogłem odpowiadać, że to są bardzo ambitne pomysły, które nie rokują dziś szans na realizację. Z różnych powodów. Bo i wewnątrz Unii nie zyskałyby uniwersalnego poparcia. A Unia skupia się na celach realistycznych, działa pragmatycznie. Jednak i na poziomie pragmatycznym inicjatyw brak.

Ale, powiem szczerze, nie tyle mnie raził brak odwołania do owych ambitnych pomysłów w dokumentach unijnych, co sprowadzanie unijnego wkładu do debaty nad przyszłym łaodem globalnym do banalnych, biurokratycznych, bełkotliwych wręcz strategii i dokumentów prezentowanych na stronie

internetowej Europejskiej Służby Działań Zewnętrznych. Proszę samemu sprawdzić.

Kiedy Sekretarz Generalny ONZ Guterres w swoim raporcie z 2022 r. zaproponował regularne debaty na forum ONZ nad przyszłymi wyzwaniami i dalekosiężnymi strategiami, zastanawiałem się z troską, czy aby Unia miałaby w tej debacie cokolwiek interesującego do powiedzenia.

Moja więc sugestia skromna: mogłaby Unia Europejska chociaż dać swój słyszalny głos na rzecz utworzenia przy ONZ stałego, zinstytucjonalizowanego kanału zapewniającego głos społeczeństwu obywatelskiemu w sprawach globalnych. Jakże zgodne byłoby to z generalną linią Unii wspierania społeczeństwa obywatelskiego w świecie.

Mogłaby także Unia dać fundusze i wesprzeć politycznie intelektualne debaty na rzecz nowego uniwersalizmu. Jeśli jej funkcjonariusze i urzędnicy nie potrafią, niech choć wesprą tych, którzy chcą o tym rozmawiać.

Merab Mamardashwili, wielki filozof gruziński, kiedy mówił ponad 35 lat temu o „odpowiedzialności europejskiej”, rzekł: „Kultura europejska jest chyba pierwszą i jedyną słuszną odpowiedzią na pytanie: czy w świecie możliwa jest zmiana” („European culture is perhaps the first and the only valid answer to this question: Is change possible in the world”). Europa może stać się nadzieją, że jest możliwe przeprowadzenie świata ku lepszej formule porządku.

Problem, którego wszakże zbyć nie sposób, polega na tym, że europejskie pomysły dla świata są a priori przyjmowane z podejrzliwością przez pozostałych partnerów. Często, jak pisałem to nieraz, traktowane są jako podstępne idee, których celem jest zapewnienie zachodniego przywództwa, zachodniej kontroli nad światem w sytuacji, kiedy relatywna waga Zachodu maleje. Podejrzliwość jest tym większa, kiedy twarzą Europy w forsowaniu tych pomysłów są byłe mocarstwa kolonialne. Nie tylko Francja, ale i Hiszpania, Włochy, Niemcy, Portugalia, Belgia czy Holandia. Uczyniły one wiele rozliczając się z krzywd wyrządzonych kolonizowanym ludom, chociaż, jak można się przekonać z wystąpień wielu przywódców byłych kolonii, cały czas liczą oni na więcej i uprawiają niekiedy „pity politics” najczystszej wody.

O wiele wiarygodniejsze stały się jako europejscy gracze na globalnej arenie Szwecja, Finlandia czy Dania. Ich kłopot z kolei polega na tym, że są często posądzane o „ultraliberalne” zamiary (priorytet dla praw kobiet i LGBT).

Można więc zaryzykować twierdzenie, że skuteczniejszą byłaby europejska polityka, gdyby firmowały ją aktywnie państwa Europy Środkowowschodniej, w tym Polska, które ani kolonialnych, ani ultraliberalnych obciążeń nie mają. Ale horyzonty polityki polskiej przestały od ładnych paru lat obejmować świat.

Cimoszewicz i Rotfeld byli ostatnimi ministrami spraw zagranicznych, którzy starali się dowartościować pozaeuroatlantyckie kierunki w polityce polskiej. Po nich horyzonty polityki skurczyły się znacznie. Najpierw zredukowano ilość i wielkość placówek pozaeuropejskich, a potem PiS-wskie dyplomatolki zmasakrowały naszą dyplomację do imentu, a już na odcinku pozaeuropejskim z pełnym poczuciem bezkarności. PiS dorobek minionych lat rozporzył dokumentnie.

Skarlała polska dyplomacja lat ostatnich jest więc współodpowiedzialna, bardziej niż sama jest w stanie to pojąć, za anemiczny głos Europy w dyskusji o przyszłości świata. Czy nowy rząd, sformowany w końcu 2023 r. mieć będzie ambicje i zasoby (w tym i intelektualne), aby rozszerzyć horyzonty polskiej polityki?

Swoją biernością Europa wyrzeka się w ten sposób jednej z jej najwartościowszych cech tożsamości – uniwersalizmu. Nowego uniwersalizmu.

(Tekst powstał na podstawie myśli pierwszy raz rzuconych na seminarium w Dżermuku w listopadzie 2015 r.)

V. Feminizacja porządku międzynarodowego

Nowy uniwersalizm kobiecą ma twarz. Nie chodzi tu bynajmniej o Gretę Thunberg. Tym bardziej nie o Ursulę von der Leyen. Nie chodzi też o to, że dzisiejszy pełen odwagi aktywizm polityczny spoczął na barkach kobiet. Protesty w Iranie w 2022 r., akcje sprzeciwu wobec junty w Mjanmie w 2021 r., demonstracje na Białorusi w 2020 r., rewolucja aksamitna w Armenii w 2018 r. były zdominowane (przynajmniej liczebnie) przez kobiety. A i w Polsce ruch sprzeciwu wobec PiS-owskiej władzy poprowadziły w swoim czasie kobiety. I to masowy udział kobiet w wyborach przesądził o zmianie rządu w 2023 r. Wszystko to może w sposób uprawniony prowadzić do wniosku, że dziś to właśnie kobiety mają odwagę i determinację występować przeciw starym porządkom. Więc to i one nadają i będą nadawać ton kampanii o nowy ład globalny.

Kobieca twarz uniwersalizmu wynika wszakże z najgłębszej istoty kierunku przebudowy ładu międzynarodowego. Stary porządek oparty był na paradygmacie państwa narodowego, a państwo narodowe na paradygmacie narodu. Naród zaś wyobrażany był i konstruowany przez wysoce zmaskulinizowane czynniki. Pisała swego czasu Maria Janion: „Nowoczesne pojęcie narodu oraz powstający wraz z nim nacjonalizm łączyły się ze stereotypem męskości, zawierającym w sobie odpowiednio podane cechy męskiej tożsamości”.

Wspólnota narodowa krzepła pod wpływem „mitologii męskiej wspólnoty”, w duchu „bezwzględnej walki i wojennego furoru”. Nacjonalistyczne ideologie odwoływały się do ideału męskości, nacjonalistyczne zaś ruchy były ruchami „prawdziwych mężczyzn”. Nic więc dziwnego, że i nasi dzisiejsi „stadionowi patrioci” stają na szpicz bojówek homofobicznych. Bo męski homoseksualizm jest przez nich postrzegany jako zaprzeczenie męskości. Jak zauważał George L. Mosse: „Męski eros był duchem straszącym nowoczesnego nacjonalizmu”. Nacjonalizm idealizował „prawdziwą przyjaźń męską”, przeciwstawiając ją „przyjaźni nacechowanej erotycznie”. Nacjonalizm jako ruch męski odcinał się od zboczeń, dewiacji, nieczystości, ułomności.

Kobiecość była utożsamiana ze słabością, pasywnością, zdradliwością, nieczystością, uwodzeniem. Miała tylko jedną szlachetną postać – figurę Matki. I figura ta upostaciowywała często sam naród. Liczyła się tylko Matka. A reszta kobiecej społeczności była plemieniem podległym i pogardzanym. Cóż z tego, że była plemieniem zawsze czyichś obecnych lub przyszłych matek. Każdy prawdziwy nacjonalista wierzy w niepokalane poczęcie własnego narodu, tak jak i wierzy w niepokalanie własnej matki.

Znamienne, że kiedy 11 marca 1882 r. Ernest Renan wygłaszał swój epokowy wykład: „Czym jest naród”, na sali w Sorbonie słuchali go wyłącznie mężczyźni.

Państwo narodowe więc musiało być budowane w kulcie siły i ofiary. Bo jego pierwszym zadaniem było zapewnienie narodowego trwania, o jego statusie decydowały zgromadzone zasoby potęgi. Musiało rywalizować z innymi. Musiało bronić swojego interesu nawet uciekając się do siły. Jak dobry samiec.

Imperializm był wykwitem hipermęskości. Dla uwiarygodnienia swojej agresywnej misji Zachód feminizował wizerunkowo podbijane narody. Wyobraził sobie Zachód jako mężczyznę, a Wschód uczynił kobietą. Jak przekonywał Edward Said, męski Zachód musiał podbijać kobiety Wschód. Kolonizacja i prowadzone w jej ramach podboje były tworzeniem relacji podporządkowania, zniewolenia i poskramiania, podobnym w istocie do relacji męsko-damskich w ówczesnym społeczeństwie. Wschód był portretowany jako podrzędny, zacofany a jednocześnie nieprzenikniony, wywołujący uczucie pożądania. Kobieta Orientu nigdy sama z siebie nie zabierała głosu, nie ujawniała emocji, posłusznie służyła mężczyźnie, który mówił w jej imieniu i ją reprezentował na zewnątrz. I przyciągał Orient, podobnie jak jego kobiety, zachodnich mężczyzn seksualną obietnicą niezaznawanej dotąd rozkoszy. Pisał Said, że orientalizm „postrzegał siebie i swoją tematykę z seksistowskimi przesłonami na oczach” („viewed itself and its subject matter with sexist blinders”).

Konflikty między państwami imperialnymi stały się zwarcie samców-alfa (o panowanie nad globalnym harem).

Polityka międzynarodowa dziś i dzisiejszy ład międzynarodowy jest spuścizną owego męskiego świata. Jest to świat hierarchii, dominacji, rywalizacji, konfliktu, przemocy, politycznego okuloocentryzmu. Spójrzcie tylko na Władimira Putina i jego działania.

Trudno dziś o bardziej przekonującą personifikację maskulinistycznych stereotypów w polityce, maczyzmu jako apoteozy skuteczności.

W 2014 r. Szwecja proklamowała doktrynę feministycznej polityki zagranicznej. Stała się ona flagowym projektem zaangażowania globalnego Szwecji. Nie brakowało początkowo sceptycyzmu w ocenie jej szans. Ba, w kuluarach oenztowskich słysząc można było nawet prześmiewczy chichot. The New Yorker zauważył w 2015 r., że w kręgach dyplomatycznych, gdzie wypowiadać się przyjęło ze starannością i rozważą, słowa „feminizm” nie używano w ogóle

Feministyczna polityka zagraniczna opierała się na trzech filarach: walce o prawa kobiet, zwiększeniu ich reprezentacji na szczeblach kierowniczych w polityce i biznesie, skierowaniu pomocy rozwojowej na cele związane z emancypacją kobiet.

Uczynieniu walki o prawa kobiet osią polityki zagranicznej w świecie można tylko przyklasnąć. Jest zjawiskiem urągającym wysokiemu mniemaniu nas o sobie jako cywilizacji, że setki milionów kobiet żyją w warunkach dyskryminacji prawnej, są w swoich prawach ograniczone, pozbawione są możliwości realizacji praw reprodukcyjnych, padają ofiarami przemocy domowej, są opłacane za swoją pracę gorzej niż mężczyźni. Nie ulega wątpliwości, że upośledzony status kobiet jest dowodem na brak naszej zdolności jako cywilizacji do wyzwolenia się ze spuścizny wieków ciemnych. My w tamtych wiekach jeszcze tkwimy, choć gadamy o postnowoczesności.

Szwedzi postawili w centrum swojej polityki także zwiększenie liczby kobiet sprawujących funkcje kierownicze w dyplomacji i polityce międzynarodowej. Żadna kobieta nie dostąpiła dotąd zaszczytu zasiadania na fotelu Sekretarza Generalnego ONZ i na innych fotelach kierowniczych (Sekretarza Generalnego NATO, Sekretarza Generalnego Ligi Arabskiej i innych). Kobiety stanowią znikomy procent negocjatorów dyplomatycznych (np. w ciągu trzech dekad wysiłków Grupy Mińskiej ws. Górskiego Karabachu żadna kobieta nie była mediatorem lub specjalnym przedstawicielem Przewodniczącego OBWE).

Na emancypację kobiet nadal poświęca się zbyt mało środków. A emancypacja kosztuje. Tu mała dygresja. Kiedy zapytałem na spotkaniu z grupą kobiet w jednej z prowincji armeńskich, co powinniśmy jako donatorzy pomocy rozwojowej zrobić, aby zwiększyć liczbę kobiet angażujących się w polityce, usłyszałem jasną i przemyślaną odpowiedź: „Budujcie żłobki i przedszkola”. W wielu krajach problemem jest nadal dostęp kobiet do edukacji i opieki zdrowotnej. Bez tego równouprawnienia zagwarantować nie sposób.

Szwedzi pociągnęli za sobą kilkanaście krajów, które stały się propagatorami feministycznej polityki zagranicznej. Są w tej grupie Australia, Kanada, Norwegia, Francja i Meksyk. Polski jeszcze nie ma.

A nawet USA przejęły niektóre elementy feministycznej polityki, choć do inicjatywy nie dołączyły. Pojawiło się nawet pojęcie „Doktryny Hillary” (od imienia Sekretarza Stanu USA za czasów Obamy), które nakazuje traktować zniewolenie kobiet jako

zagrożenie bezpieczeństwa. Agencje ONZ, OECD i inne organizacje przyjmowały dokumenty wspierające cel równouprawnienia kobiet (Deklaracja Pekińska z 1995 r., Rezolucja 1325 Rady Bezpieczeństwa z 2000 r. i późniejsze).

Deprymować mógł wszakże zamiar nowego prawicowego rządu szwedzkiego ogłoszony w grudniu 2022 r. zarzucenia, przynajmniej w wymiarze PR-owym, doktryny feministycznej polityki zagranicznej, bo w jego ocenie „etykieta stała się ważniejsza od zawartości”, czyli forma przysłoniła treść.

Ale we wrześniu 2023 r. już osiemnaście państw przyjęło specjalną deklarację polityczną o feministycznym podejściu do polityki zagranicznej i rozmawiano o tym w Nowym Jorku na szczeblu ministerialnym. Mimo więc widocznej rezerwy w szerszych kręgach, inicjatywa trzyma się mocno. Jednym z pierwszych działań nowego polskiego rządu w polityce zagranicznej powinno było się stać dołączenie do grupy państw promującej politykę feministyczną. Ale się nie stało. Czy najbardziej feministyczny rząd w historii Polski w ogóle rozważał działania w tym kierunku, wiewiórki na Szucha milczą. Może tam feministów (feministek) się całkiem nie ostało. No chyba, że czekamy, aż do grupy tych państw doszlusują wpierw Stany Zjednoczone.

Krytykowano tę doktrynę z różnych zresztą stron. Dość wcześnie pojawił się zarzut o braku konsekwencji. Szwecja głosiła hasła feministycznego pokoju, a jednocześnie była wiodącym eksporterem uzbrojenia. Gwoli sprawiedliwości odnotować należy, że zrezygnowała ona swego czasu z lukratywnego kontraktu na dostawy broni do Arabii Saudyjskiej, argumentując, że kraj ten nadal traktuje kobiety jako obywateli drugiej kategorii. Ale inne państwa zachodnie podobnych kryteriów w eksporcie własnych systemów uzbrojenia nie stosują. Systemowych sankcji za praktykę okaleczania żeńskich narządów płciowych społeczność międzynarodowa też jeszcze nie wprowadza. A już tym bardziej za zakaz aborcji.

Rzecznicy feministycznej polityki zagranicznej odpowiadali, że jest ona prowadzona w sposób odpowiedzialny i pragmatyczny, czyli z uwzględnieniem panujących w świecie realiów. Nie jest krucjatą moralną. Nie jest polityką dogmatyczną.

Inny zarzut wskazywał na brak praktycznych skutków promowania kobiet na wysokie stanowiska. Trudno do końca z tym zarzutem się zgodzić. Sprawowanie przez Catherine Ashton i Federicę Mogherini funkcji szefowej unijnej dyplomacji przyczyniło się do ugruntowania polityki genderowej w tzw. mainstreamie działań zewnętrznych Unii, powołania ambasadorki ds. gender i różnorodności, przyjęcia kolejnych strategii i zapewnienia dobrej proporcji kobiet na najwyższych stanowiskach dyplomatycznych. Ale i Borrell był równie dobrym wykonawcą tej polityki. Czy zaś liczna obecność kobiet na wysokich stanowiskach dyplomatycznych przyniosła odczuwalny skutek w konkretnych działaniach dyplomacji unijnej? Czy przez to zmienił się jej styl? Zmieniły się sposoby działania? Zmieniły cele polityczne? Krytycy twierdzą, że bynajmniej nie. A już najostrzejsze głosy krytykują, że istniejący system uprawiania dyplomacji, praktykowany od stuleci, takiej możliwości po prostu nie daje. Kobiety wpisują się w istniejące kanony, kanony stworzone przez bardzo męski świat starej polityki międzynarodowej.

Dla zilustrowania tej tezy kolejna dygresja. Bliska mi osoba zwróciła kiedyś uwagę, że bywalcy teatrów w Polsce (i nie tylko) mogą w antraktach obserwować często zjawisko długich kolejek do żeńskich toalet przy braku jakiegokolwiek tłoku przed toaletami męskimi. Na Zachodzie problem jest mniej ostry. Z różnych powodów. U nas projektantami budynków teatralnych byli mężczyźni i to w czasach, kiedy nie mogli podejrzewać, że kiedyś to kobiety dominować będą wśród publiczności teatralnej. A w projektach obowiązywała zasada symetrii i rozdzielności toalet. Kobiety zostają dyrektorami teatrów, ale nie zawsze potrafią problem tych upokarzających kolejek rozwiązać. Ba, one tego problemu nie dostrzegają. Gdyby podobnie długie kolejki ustawiały się przed toaletami męskimi, każdy męski dyrektor przy pomocy męskiego architekta dawno problem by rozwiązał.

Nominacje kobiet na stanowiska kierownicze w dyplomacji zmieniają jej wizerunek, ale winny wszakże zmieniać jej istotę, chciałoby się rzec.

A krytycy feministycznej polityki zagranicznej wyciągają na koniec argument ciężkiej wagi. Stosowane w ramach tej polityki metody powielają stereotyp „kobiety wymagającej zmaskulinizowanej ochrony”, polegają na administracyjnym wymuszaniu zmian poprzez kwoty, suwaki i inne sztuczne wygibasy. A zmieniać trzeba system.

Jest znamienne, że szwedzka doktryna feministycznej polityki nie zawierała żadnych postulatów dotyczących przemeblowania świata polityki międzynarodowej, uformowanego przecież przez mężczyzn i obciążonego ich tożsamościowymi skłonnościami (rywalizacja, walka, dominacja, etc.).

Co poczytywać można za niewątpliwą zasługę feministycznej doktryny, to fakt, że jej praktyczne zastosowanie dodało animuszu teoretykom i analitykom, którzy od lat chcieli przetransponować studia genderowe na obszar teorii stosunków międzynarodowych. Ostatnie lata przyniosły obfite plony w postaci książek, artykułów, konferencji i seminariów, które odwołują się do feministycznej teorii stosunków międzynarodowych. Jej niewątpliwą zasługą jest uwypuklenie czynnika moralnego w polityce (prawa kobiet), analizy podmiotów stosunków międzynarodowych jako społecznych konstruktów. Była na swój sposób częścią kosmopolitycznego zwrotu w naukach społecznych, o który tak zabiegał Ulrich Beck.

Emancypacja kobiet była jednym z czynników zmniejszenia przemocy w świecie (i tej międzypaństwowej również), jak udowodnił to przekonująco Steven Pinker. A poważne badania pokazują, że wszędzie tam, gdzie funkcjonuje równość płci, praworządność jest o wiele silniejsza.

Dałem się przekonać i ja, że przełomu w zarządzaniu globem nie uda się osiągnąć z pomocą starej dyplomacji, starego systemu instytucji międzynarodowych, wszystkiego, co wiążemy z paradygmatem stosunków międzynarodowych, opartym na państwie narodowym i interesie narodowym jako „naczelnej zasadzie grawitacji”, determinującej zachowanie państw. Dałem się przekonać i ja, że hierarchia winna ustąpić sieciowości, rywalizacja winna ustąpić współdziałaniu, narodowy egoizm kosmopolitycznej empatii, interesy wartościom, prezentyzm longtermizmowi,

dyplomatyczny okulocentryzm i informacyjna skopofilia współczującemu dotykowi. Zostałem feministą.

Ale w działaniu feministycznej polityki zagranicznej takich strategicznych zamiarów nie widzę. Nie widzę nawet posiłkowania się pomysłami, które na stole od dawna leżą, ot, choćby związanymi z budową instytucji sieciowego świata (Anne-Marie Slaughter).

Feministyczny porządek międzynarodowy byłby dla świata nowego uniwersalizmu jak znalazł. Ale opieszale materializowany może nigdy nie doczekać triumfu. Nim się jego proponenci obejrzą, świat weźmie w swoje ramiona porządek technologiczny (Pax Technologica), oparty na dyktacie sztucznej inteligencji, big data i mechanicznym uczeniu. Czy dla świata lepsza to opcja, o tym już innym razem.

Bo tak naprawdę chodzi przecież o uwolnienie paradygmatów polityki międzynarodowej od genderowych stereotypów, o odrzucenie kulturowych przesądów i uprzedzeń.

(Na podstawie mojego wykładu we Wiedniu w lipcu 2023 r.)

VI. Kryzys elit

W słusznym minionych czasach, w słusznym minionym imperium, w mieście Czernomorsku mężczyźni w białych pikowanych kamizelkach komentowali na kartach niezapomnianej powieści prace genewskiej konferencji rozbrojeniowej (obradującej prawie sto lat temu):

„- Bernstorf to tęga głowa”... „- Nie ma co gadać! Snowden to tęga głowa!”... „-...możecie mi wierzyć, Chamberlain to także tęga głowa.”... „- Briand!” – mówili z zapalem. „To jest dopiero głowa! Briand!” ... „- Briand to głowa! – powtarzali wzdychając. – Benesz to także głowa”.

Były więc czasy, kiedy w opinii szerokiej publiczności, politykę międzynarodową uprawiały jedynie tęgie głowy. „Głowa” była synonimem przebiegłości, roztropności i mądrości niedostępnej zwykłym zjadaczom chleba. Polityka zagraniczna była przywilejem elit.

Kiedy w latach 2021-22 dojeżdżałem do pracy w MSZ w Warszawie środkami komunikacji miejskiej, a spędzałem w nich naprawdę dużo czasu, mogłem co najwyżej słyszeć, że: „K***** pcha nas do wojny z Niemcami”, „M***** liże dupę Ameryce”, „P***** wyprowadzi nas z Unii”, „W***** nic w ogóle nie

robi, tylko stoi i buczy, bo pusty". Ani śladu „tęgiej głowy”, tylko inwektywy. Aż słuchać hadko było.

Polityka wewnętrzna już dawno zeszła na poziom dostępny szaremu obywatelowi. On wie, jak zreformować opiekę zdrowotną, ma pomysły na reformę edukacji. Może godzinami przekomarzać się na temat górnictwa, policji, handlu. Chce referendum, comiesięcznie nowych wyborów, uwzględniania jego opinii przez polityków.

Ale politykę zagraniczną pozostawia elitom. Po staremu, co najwyżej ją tylko komentuje.

A jednocześnie do elit żywi pogardę, nie ufa im. Albo uważa, że mu elity spsiały.

Nie ulega wątpliwości, że Zachód przeżywa najpoważniejszy kryzys elit od lat. Nie pierwszy raz w historycznej retrospektywie, ale poprzednie kryzysy nie są z obecnym porównywalne. Dochodziło do kryzysu elit, a nawet wręcz powszechnego buntu wobec elit w 1789 r., 1848 r., 1917-18 r., 1945 r. czy nawet w 1968 r., ale dziś to zupełnie inne doświadczenia.

Jak twierdził Pareto, społeczeństwa są zawsze skazane na przywództwo elit. Nie są elity klasą, nie są nawet warstwą społeczną. Są amorficzne, mgliste, różnie definiowalne, pozbawione struktury i powiązań. Ale są. Intuicyjnie wiemy, że są. Przypisujemy im przywódczą, kierowniczą rolę w polityce, biznesie, kulturze, życiu religijnym i intelektualnym.

Teza o kryzysie elit krąży już od dekady. Czy jest uzasadniona? Czy jest ona li tylko narzędziem wykorzystywanym do rozbudzania w społeczeństwach zachodnich nastrojów populistycznych? Populizm żyje przecież z atakowania elit, z podważania ich legitymacji.

Kryzys elit, jak się wydaje, jest zjawiskiem realnym, chociaż populiści rozdęli go do piramidalnych rozmiarów. Bez odwołania się do słabości elit nie sposób wszakże wytłumaczyć takich zjawisk, jak kryzys demokracji, kryzys liberalizmu, kryzys państwa opiekuńczego, a nawet kryzys Unii Europejskiej.

Kryzys nie wziął się nie wiadomo skąd. Ma ów kryzys elit, w mojej ocenie, trzy źródła.

Po pierwsze, stoi za nim kryzys finansowy roku 2008 i jego skutki społeczne i gospodarcze. Po drugie, to wstrząsy procesu globalizacji. Po trzecie, to reperkusje dokonującej się rewolucji technologicznej.

Kryzys finansowy 2008 r. doprowadził do moralnej zapaści elity finansowej Zachodu, przede wszystkim zdiabolizował nam i w błoto wdeptał bankierów. Bo swoją nieodpowiedzialną polityką do niego cynicznie doprowadzili, a następnie schowali się przed jego skutkami pod parasolem rządowych gwarancji i dotacji, a jeszcze brali przy tym sowite bonusy. Ale kryzys poderwał zaufanie także do ekspertów finansowych, a nawet do ekonomicznych akademików, bo kryzysu nie przewidzieli, przed kryzysem nie ostrzegali. Osłabił też notowania klasy politycznej, bo nie potrafiła ona ochronić najsłabszych przed skutkami kryzysu. Upadł mit konstytutywny kapitalizmu, że chciwość jest szlachetna („greed is good”). Kryzys pogłębił przepaść dochodową w społeczeństwach Zachodu. Współczynnik Gini zaczął rosnąć nawet w najbardziej egalitarnych społeczeństwach. A Piketty pogłębił pesymizm, prognozując, że bogaci będą coraz bogatsi, żyjąc jedynie z odcinania kuponów od nagromadzonego bogactwa.

Rozwiane zostały nadzieje na światłe przywództwo ze strony nowej, globalnej plutokracji, która miałaby prowadzić świat bezpiecznie przez globalizacyjne wstrząsy. Bo okazało się, że w czarnej godzinie kapitał międzynarodowy odnajduje narodowe oblicze i szuka opieki ze strony narodowego państwa.

Kryzys był bolesnym ciosem dla wiary w sprawność merytokracji, w tym międzynarodowej. Zebrała cięgi zwłaszcza biurokracja unijna, brukselska. Bo nie przewidziała, nie alarmowała o skutkach beztroskiego zadłużania się Grecji i innych państw. Uległa nawykowi prokrastynacyjnemu w procesie rozwiązywania kryzysu greckiego. Nawet kiedy okazała się skuteczna w realizacji planu ratowania Greków, była krytykowana za obciążanie pomocą także państw biedniejszych w imię fałszywie pojmowanej solidarności. Po raz kolejny zadziałała zbyt wolno, zbyt reaktywnie i zbyt zadufana była w swojej prawowitości.

Elity polityczne w państwach zachodnich zaś pokazały, że koszula bliższa ich ciału i zamiast chronić zwykłych obywateli, chroniły banki i bankierów.

Drugim ważnym czynnikiem okazała się niezdolność elit do opanowania skutków globalizacji. Globalizacja oznaczała przeprowadzkę zachodniego potencjału wytwórczego i usługowego do państw biedniejszych, oferujących niższe koszty wytwarzania, a zwłaszcza niższe koszty płacowe. Doprowadziło to do likwidacji setek tysięcy miejsc pracy niewymagających specjalnych kwalifikacji. Posady migrowały na wschód i południe, a na zachód zaczęli masowym potokiem migrować „odmieńcy”, ludzie odmiennych kultur i religii. Społeczeństwa przestały ufać elitom państwowym, iż potrafią one kontrolować granice własnego państwa. A lokalnie stare i zastałe społeczności wystawione zostały na szok kulturowy – współżycia z „obcym”. Przestały działać obietnice bezpieczeństwa kulturowego. Ziściły się przepowiednie „społeczeństwa strachu”.

Trzecie źródło kryzysu to skutki rewolucji technologicznej. Postęp technologiczny przybrał wykładniczy charakter. Ludzie, a i społeczeństwa całe, nie potrafią oswoić się z jego tempem. A tym bardziej anachroniczne okazały się w zarządzaniu technologiczną rewolucją instytucje polityczne. Z jednej strony nie potrafią sobie radzić z przetrawianiem masowego napływu danych. Z drugiej, wykorzystują nowe technologie, zwłaszcza związane z inwigilacją, przeciw własnym obywatelom. Z pomocą „big data” manipulują świadomością obywateli i ich wyborami. Nie potrafią zapanować nad mową nienawiści. Nie potrafią uregulować zasad funkcjonowania sztucznej inteligencji. Instytucje polityczne i sama klasa polityczna utraciły zaufanie obywateli. A to dopiero przecież początek wielkich turbulencji wywołanych technologią.

Elity polityczne generują więc naturalną niechęć. Ukuto nawet pojęcie „chumocracy”, oznaczające zamkniętą grupę kumplowską, ludzi kończących te same szkoły, idących tą samą drogą awansową w polityce, tworzących cyniczną, zamkniętą kastę politycznych menadżerów.

Elity polityczne w oczach obywateli utraciły etos. Ich członkowie są zwykłymi menadżerami, którzy chcą zarządzać państwem, tak jak zarządza się firmą. Bez wzniosłych celów, bez szlachetnych misji. Po prostu dbają o to, aby interes dobrze się kręcił, czyli ich działalność znajdowała właściwą gratyfikację przy urnie wyborczej.

Jacek Żakowski podzielił kiedyś politycznych liderów na trawożernych i drapieżników (mięsożernych).

Trawożerni przywódcy stawiają na praworządność, kulturę prawną, tworzenie prawa, wielokulturowość, empatię, tolerancję, rozbrojenie, liberalizację handlu, państwo opiekuńcze. Podejmują decyzje wolno, bez presji, bez poganiania. Pozwalają sobie na małe przyjemności życia. Chcą dla innych budować „cywilizację czasu wolnego”.

Politycy drapieżni epatują hasłami wstawania z kolan, odbudowy wielkości własnego kraju, troski o honor narodu, zaprowadzania porządku, zamykania przestępców (innych polityków) w więzieniach, wznoszenia murów na granicach, apologetyki człowieka jako pana nad przyrodą, kultu potęgi w polityce międzynarodowej.

Objawem kryzysu elit miałoby być wypieranie gatunku polityków trawożernych przez plemię polityków drapieżnych. A skutkiem tego krzyk zastąpił perswazję, pogoń zastąpiła ciche przeżuwanie czasu, pozorowane działanie dyskusję, cieszenie się władzą zastąpiło cieszenie się życiem.

Żakowski pisał, że przez ostatnie pół wieku na Zachodzie trawożerni liderzy opanowali życie publiczne, dominowali w polityce (a Reagan? a Thatcher? Ale

mniejsza o szczegóły). Drapieżnicy rządzą zaś biznesem i finansami. Dziś miałyby dojść do wielkiej zamiany ról. W polityce stery przejęli politycy drapieżni (a Merkel? a Hollande? Ale mniejsza o szczegóły).

Wydaje się, że nawet jeśli to prawda, to nie na długo wszakże. Bo społeczeństwa przecież, jeśli spojrzeć na styl życia młodego pokolenia, zwłaszcza w miastach, stają się coraz bardziej „trawożerne”. Powrót drapieżników jest jedynie psychopolityczną cofką.

Mięsożerność stała się firmową tożsamością populistów. Ale ma ona wymiar bardziej deklaracyjny niż realny, przynajmniej na Zachodzie. Do czego prowadzi ślepa i zadufana w siebie mięsożerność w polityce zagranicznej widać najlepiej na przykładzie Putina. Również mięsożerny zwrot w polityce Chin, jaki zafundował im Xi, pozycji międzynarodowej kraju nie sprzyja. Wprowadził napięcia do relacji z Zachodem i wystraszył sąsiadów. Nawet wysublimowana drapieżność (Erdogan) na dłuższą metę nie płaci.

Pamela Paul w 2023 r. na łamach New York Times przypomniała, że, historycznie rzecz biorąc, Amerykanie (ale i ludzie Zachodu jako takiego) nigdy nie lubili elit. Bo elity zawsze patrzyły na innych z góry, a tego lubić nikt raczej nie chce.

Paradoksalnie, dziś pogarda dla elit najgłośniejszemu emanuje ze strony populistycznej prawicy, a prawicę najczęściej kojarzono z polityką elit właśnie. „Elita” jest identyfikowana z tymi, którzy są lepiej wykształceni i mają większą władzę, szczególnie władzę kulturową (narzucania liberalnych wartości). Elita inaczej to ludzie, z którymi gorzej wykształceni się nie zgadzają i których nie lubią.

Antyelitarna była tradycyjnie lewica. Bo uosabiają elity nierówności społeczne, a w najlepszym przypadku symbolizują wadliwą merytokrację, uniemożliwiają dostęp do władzy osobom spoza tzw. systemu.

Zdumiewać może jeszcze to, że, pogardzając elitami, ludzie (a przynajmniej znaczna ich część) do zaliczenia się w ich poczet dążą. Podziwiamy elitarnych sportowców. Polegamy na elitarnych instytucjach edukacyjnych i badawczych. Chcemy jeździć mercedesami. A wsiadając do pociągu zawsze preferować będziemy miejsce w pierwszej klasie. Ale póki nas na to nie stać, gorąco nienawidzimy każdego, kto tak sobie może pozwolić, kiedy tylko zechce.

Nowe elity, które zawłaszczyły państwa na przestrzeni post-sowieckiej i próbowały opanować społeczeństwa na Bałkanach Zachodnich, również odwoływały się do drapieżnych instynktów. Bo tam niepodległość i demokracja skojarzyła się z chaosem, nieporządkiem i bezprawiem. Zbudowali więc drapieżnicy neo-feudalną drabinę społeczną, na czele której usadowiła się

neo-szlachta. Jak pisał Wład Inozemtsev, wzorem ancien regime'u „szlachta togi” (biurokraci, funkcjonariusze państwowi, oligarchia oraz kler) rywalizowała ze „szlachtą miecza” (wojsko i struktury siłowe). Zapanowały ścisła hierarchizacja ról społecznych i zależności poddańcze o wręcz egzystencjalnym charakterze. A główną zasadą regulującą porządek społeczny stał się aksjomat, że „prawo ma zastosowanie tylko w relacjach między dwoma równymi sobie podmiotami”. Jeśli syn ministra zrobił krzywdę synowi innego ministra, wkracza z całą surowością sąd. Jeśli syn ministra zrobił krzywdę synowi parweniusza, sprawę zamyka się pod dywan, wyjaśniając to szczególnymi okolicznościami zdarzenia. I generalnie życie neo-szlachcica ma tam większą wartość niż życie plebejusza.

W neo-społeczeństwach opanowanych przez neo-drapieżne elity stabilność została zbudowana na neo-niewolniczych zależnościach i hierarchii poddaństwa. Kontrola polityczna stała się ważniejsza od prawowitości (sprawowanie władzy nobilituje władzę sprawujących i legitymizuje sposób jej przejścia i sprawowania). Kontrola polityczna nad społeczeństwem stała się ważniejsza od rozwoju gospodarczego.

Kryzys elit na Zachodzie wyjałowił dotychczasowe pojęcia polityczne. Już dawno Noam Chomsky wyrokował, że terminy „lewica” i „prawica” pozbawione zostały treści. Analitycy pisali zaś o nowej linii podziału na scenie politycznej – na „globalizatorów”, czyli zwolenników globalizacji, i „lokalizatorów”, czyli zwolenników myślenia lokalnego. Globalizatorzy wywodzą się zarówno z szeregów tradycyjnie pojmowanej lewicy (intelektualni kosmopolici, działacze charytatywni, ludzie kultury), jak i prawicy (zwolennicy wolnego handlu, liderzy międzynarodowego biznesu). I w szeregach własnych obozów muszą stawiać opór zwolennikom odgradzania się od świata (po lewej stronie są to działacze związkowi, po prawej zaś to prawicowi nacjonaliści, ksenofobicznie nastawieni prowincjusze). Ideologicznym ciosem dla lewicy był zanik wielkoprzemysłowej klasy robotniczej, więc jej spoiwem mogła stać się jedynie sprawiedliwość społeczna (walka z nierównościami dochodowymi) i społeczna empatia (solidarność z grupami „upośledzonymi”). Prawicę (zwłaszcza chadecką) pogrążył natomiast kryzys instytucjonalnego kościoła, sekularyzacja społeczna (kto by pomyślał, że legalizację małżeństw jedнопłciowych w Niemczech i Wielkiej Brytanii przeprowadzać będą rządy nominalnie prawicowe).

Napięcia między horyzontami perspektyw w niektórych krajach (posttransformacyjnych w Europie Środkowowschodniej i modernizujących się galopująco w Trzecim Świecie) powodują, że młode elity wielkomiejskie (stołeczne) czują się jak cudzoziemcy we własnym kraju (młodzież ze Zbawixa, widowia TR, Nowego, Powszechnego, Studio).

A generalnie na Zachodzie doszło do dawno niewidzianej alienacji elit w społecznym przynajmniej postrzeganiu. Władza skupiła się w rękach

niestychanie wąskiego kręgu. A zachodnie społeczeństwa zostały porażone autoimmunologiczną chorobą, jak opisywał to Jochen Bittner. Jej pożywką stały się zwątpienie i wyrzuty sumienia, które przez wieki wrosły w tożsamość Zachodu, a zwłaszcza Europejczyków.

Więc w decyzjach politycznych paraliżuje klasę polityczną skomplikowanie świata. Wybierają prokrastynację, działania doraźne, spięci lękiem o nieprzewidziane konsekwencje własnych decyzji. Myślą teraźniejszością, rozmawiają ze społeczeństwem palimpsestowo w nadziei na jego krótką pamięć. Traktują wyborców jak dzieci (czy ktokolwiek w Polsce przebiję kiedykolwiek w tym Morawieckiego?). A wyborcy – traktowani jak dzieci, zachowują się jak dzieci. Nie mają nic przeciwko, aby to inni wybierali za nich, wskazywali, czego im potrzeba, pod warunkiem, że ich podstawowe potrzeby konsumpcyjne zostaną zaspokojone (gwarantowany co miesiąc dochód, pozwalający na okazjonalne szaleństwo zakupów w Biedronce oraz wczasy na plaży w Stegnie, mieszkanie nawet w patodeweloperce, samochód nawet piętnastoletni diesel, ale samochód). No może, jak pokazały to wyniki wyborów w Polsce w 2023 r., nie wszyscy.

O ile w polityce wewnętrznej wyborcy mogą wyzwolić się spod kompleksu dziecka, to w polityce międzynarodowej nadal ciężko im to przychodzi.

(Na podstawie prezentacji na seminarium w Oksfordzie w marcu 2019 r.)

VII. Kryzys elit a polityka międzynarodowa

Od wieków zwolennicy spiskowych teorii wyszukiwali śladów tajnego mechanizmu zarządzania światem. I wyszukują po dziś dzień. Jeszcze w 2012 r. zasłużona posłanka PiS-u (Gabriela Masłowska) pytała w Sejmie Marka Belkę, ówczesnego prezesa NBP : „Czy (...) to prawda, że funkcję nieformalnego rządu światowego pełni Grupa Bilderberg?”.

Kiedyś o rządy nad światem posądzano Wielki Sanhedryn, Zakon Iluminatów, masonerię, Rothschildów. W XX w. podejrzania skierowano na Opus Dei, Rockefellerów, wielkie amerykańskie koncerny. Ukuto pojęcie republik bananowych na państwa sterowane przez zagraniczne konglomeraty. Później uwagę badaczy konspiracyjnych kręgów skupiła na sobie Komisja Trójstronna i wspomniana Grupa Bilderberg. Dziś o manipulacyjne pociąganie za sznurki posądza się a to Gatesa, a to Murdocha, a to Sorosa, a to Elona Muska. Nb. na Elonie Musku oparł swoją teorię syndromu „rozdrażnionego (czytaj: wkur*****) oligarchy” Paul Krugman. Opisywał Krugman, jak kumulacja

bogactwa prowadzi do kumulacji władzy, w tym „władzy do zdziecinniających działań”. Ale jednocześnie owi rozdrażnieni oligarchowie nie mogą już sobie pozwolić na życie z dala od wścibskiego oka publiczności. W tym i na pociąganie za jakiegokolwiek sznurki. A czasami wchodzi do rządu. Z kontrowersyjnymi skutkami.

Każdy, kto mógł zaobserwować spotkania elit polityków, biznesmenów, intelektualistów, jak choćby praktykowane przez Światowe Forum Ekonomiczne w Davos, wie doskonale, że tego rodzaju gremia nie są bynajmniej zdolne do generowania jakichkolwiek dyrektyw, które pomogłyby komukolwiek w zarządzaniu światem. Pojawiają się tam owszem ciekawe idee, ale nie ich doszlifowaniu, a tym bardziej operacjonalizacji, dyskusje na tych forach służą.

Wrażenie niemocy sprawczej, jakie często narzuca się z owych debat, może tylko pogłębiać diagnozę o kryzysie elit, w tym i elit światowych.

Ale tak na poważnie – kryzys zachodnich elit ma poważne konsekwencje międzynarodowe.

Nie ulega wątpliwości, że w wymiarze strategicznym elity zachodnie przez ostatnie trzysta-cztery lata określały kurs polityczny całego świata. Od dwóch dekad co najmniej powtarzamy jednak mantrę o zmierzchu zachodniego przywództwa, o utracie przez Zachód zdolności (zasobowych, jeśli nie moralnych) do zarządzania sprawami świata. Zachód nie jest w stanie kontrolować biegu rzeczy. Chaos na lotnisku w Kabulu w sierpniu 2021 r. stał się obrazkowym symbolem niezdolności Zachodu do zaszczepiania swoich porządków w świecie. A jeśli Zachód pozwoliłby Rosji zrobić, co chciałaby ona zrobić z Ukrainą, a Chinom wziąć bezkosztowo Tajwan, percepcja totalnej anomii zachodniego porządku byłaby pełna.

Zachód okazał się niezdolny do występowania w roli gwaranta porządku. Wyłoniła się zjawia „wielogłowej bestii”, która w schizofrenicznych spazmach miałaby walczyć sama ze sobą i kakofonicznie spierać się o przyszłość polityczną świata. Kiedy po zakończeniu zimnej wojny Prezydent George Bush (starszy) przedstawił wizję nowego porządku światowego i dał do zrozumienia, że Ameryka byłaby gotowa stać się jego gwarantem („enforcer”), wielu uznało, że dobra przyszłość świata jest przesądzona.

Ale w nowe milenium świat wszedł rozedrgany, wstrząsany kryzysami i przemocą (nie tylko terrorystyczną).

Obóz tradycyjnie postrzegany jako „Trzeci Świat”, czyli tzw. Globalne Południe, wyemancypował się jako samodzielna siła globalna.

Mark Mazower pozwolił sobie kiedyś w tym kontekście na całkiem odważną obserwację: „Świat nie słucha już głuchych proroków Zachodu. Ta zmieniająca się konfiguracja sił może zapewnić bardzo potrzebną intelektualną regenerację i być może położyć kres nie tylko wiekom globalnej dominacji Zachodu, ale być może także umysłowemu lenistwu, które jej towarzyszyło. Zimna wojna doprowadziła do skostnienia nawyków myślowych. Koniec dominacji Zachodu powinien budzić nie strach, ale ciekawość.” (The world no longer listens to the deaf prophets of the West. This shifting configuration of forces may provide some much needed intellectual reinvigoration, and end perhaps not only centuries of the west’s global dominance but perhaps too the mental laziness that accompanied it. Cold War fossilized habits of thought. The end of the West’s preponderance should inspire not fear but curiosity).

Powiew świeżości intelektualnej dotąd jednak nie nastąpił (poza małymi wyjątkami bez wpływu na politykę). Trzeci Świat bynajmniej nie dał żadnych ciekawych alternatywnych wizji nowego porządku. Może poza teorią nowej „Wielkiej Konwergencji”. W sensie strategicznym to, co proponują koncepcjoniści Chin, czy Indii, to powrót do zasad polityki „niezaangażowania” („pancza sila”), świata suwerennych narodów, prymatu paradygmatu interesów.

Przyznam, że kiedy pracowałem w latach 2002-2004 nad polską inicjatywą reformy ONZ, liczyłem bardzo na to, że znajdziemy w obozie państw rozwijających się wielu sojuszników dla postulatu radykalnej zmiany. Nic z tego. Chiny nie tyle chciały zmieniać system zarządzania światem, wymyślony przecież i praktykowany w czasach absolutnej dominacji Zachodu, co myślały, jak wykorzystać go do własnych celów. Nawet najbardziej rewizjonistyczne w ocenie istniejącego systemu państwa, w tym Indie, cały sens zmian widziały w pozbawieniu zachodnich mocarstw ich przywilejów (prawo weto w Radzie Bezpieczeństwa ONZ), dołączeniu na równych prawach przedstawicieli Południa do gremiów decydujących. Niektórzy politycy Południa ze starego przyzwyczajenia zżymają się, kiedy Zachód forsuje koncepcje „porządku opartego na zasadach” czy „skutecznego multilateralizmu”, ale nic od siebie alternatywnego przedstawiać nie mają zamiaru. Poza sloganami.

Intelektualno-polityczna niemoc rodzi próżnię.

Roger Cohen przed kilku laty pozwolił sobie wyciągnąć daleko idące wnioski z kryzysu elit na narodowym podwórku dla procesów globalnych. Napisał: „Kultura globalna jest coraz bardziej definiowana przez bogate, cyniczne elity – jak w Rosji, Chinach, USA – podczas gdy wykluczeni z tego bogactwa skłaniają się ku gniewnemu, ksenofobicznemu nacjonalizmowi” („Global culture is increasingly defined by rich, valueless elites – as in Russia, China, USA – while those excluded from this wealth veer towards angry, xenophobic nationalism”). Ujął to skrótowo jako konfrontację „crazy rich Asians versus

Hillbilly elegy". Rezultatem tych procesów jest odwrót demokracji, rozkwit dyktatur, wzrost represyjności państwa, bandycka korupcja, śmierć wartości w polityce.

Globalna plutokracja, o której pisała kiedyś Chrystia Freeland z nadzieją, że sprzyjać będzie globalizacji, pod wpływem narastającego gniewu społecznego albo uległa politycznej degeneracji, albo poszła gdzieś w ukrycie i po cichu załatwia swoje interesy. Do przeprowadzenia światowej integracji nie aspiruje. Wielka nadzieja światowej demokracji i kosmopolitycznego porządku, czyli tzw. klasa średnia, zamknęła się w sobie, myśląc bardziej o dobrobycie własnych dzieci i wnuków niż o przyszłości świata.

Sumieniem świata nie mogą jeszcze tym bardziej się stać urzędnicy organizacji międzynarodowych, międzynarodowi menedżerowie, wizytujący nauczyciele akademicy, studenci międzynarodowi, expaci, którzy różnymi wyrokami losu znaleźli profesjonalną przystań poza granicami własnego kraju, narodu, kultury. Kto jak kto, ale oni mieliby naturalny, osobisty wręcz interes w budowaniu świata otwartego, tolerancyjnego, empatycznego, współpracującego na miarę kantowskiego ogródka harmonijnego współzycia. Tylko jest ich tak mało, setki tysięcy może, co w skali globu tyle znaczy co nic. A na dodatek z reguły cicho sobie siedzą, międzynarodówki światowej merytokracji nigdy nie utworzą. Na czele organizacji międzynarodowych zaś od dawna usadowieni są politycy bądź dyplomaci pozbawieni większej charyzmy. Państwa członkowskie boją się silnych, ale nieprzewidywalnych liderów w roli szefów organizacji. A politycy bez charyzmy porwać swoimi wizjami zwykłych obywateli nigdy nie będą w stanie.

Nic więc dziwnego, że debatę o porządku światowym chcą zdominować populiści, nacjonalistyczni troglodyci, ignoranci wszelkiej maści. Bo świat, także świat idei, nie zna próżni.

Więc dyskurs o polityce międzynarodowej wypełnia tak dużo bełkotu. Także w Polsce. Zwłaszcza wypowiedzanego za rządów PiS-u przez ludzi wtedy na stanowiskach państwowych i rządowych, i to bezpośrednio związanych z polityką zagraniczną. Aż czasem wierzyć się nie chciało, że mogła za tym bełkotem stać tak potężna ignorancja. Dopuszcza człowiek, że to jednak bardziej cynizm, bezwstydné wciskanie ludziom zwykłego kitu, nawijanie makaronu na uszy, aby tak już ogłupić elektorat, żeby móc robić, co się tylko chce.

Jonan Ganesh zauważył kiedyś kąśliwie: „W naszym złotym wieku danych ten jeden obszar (polityka zagraniczna) pozostaje prężnie niewymierny. Więc każdy może powiedzieć wszystko, co chce, byle tylko zrobił to dźwięcznie i często używał słowa „strategia”. W najlepszym wydaniu dyplomacja jest polityką najbardziej cywilizowaną. W najgorszym przypadku jest to świat

złożony głównie z dymu”. (In our golden age of data this one area (foreign policy) that remains resiliently unmeasurable. So anyone can say anything as long as they say it sonorously and use the word „strategy” a lot. At its best diplomacy is politics at its most civilized. At its worst, it is a world made predominantly of smoke.)

Zwykły obywatel postrzega więc świat jako trwale pogrążony w dymie, mgle, zasłonie nieprzepuszczalnej. I traci ochotę na robienie czegokolwiek.

Trudno nie zgodzić mi się było z Rogerem Cohenem, kiedy twierdził, że nadzieję w XXI w. pokładać należy nie tyle w narodach (państwach), co w ludziach i sieciach („the hope of the 21 st century lies not in nations but in people and networks”). Czy realistyczne to założenie?

Zapytałem kiedyś (po angielsku) sztuczną inteligencję w wydaniu Bing, jak ja jako zwykły obywatel mógłbym wpływać na politykę światową.

Oto uzyskana przeze mnie odpowiedź:

„Zwykły obywatel może wpływać na światową politykę na różne sposoby, w zależności od poziomu zaangażowania i motywacji. Oto kilka możliwych sposobów:

- Głosowanie na kandydatów lub partie, które podzielają ich poglądy na kwestie globalne, takie jak prawa człowieka, zmiana klimatu, handel, bezpieczeństwo itp. Głosowanie może dać obywatelom coś do powiedzenia na temat tego, jak działa ich rząd i jaką politykę prowadzi.
- Aktywizm online, wykorzystywanie Internetu i mediów społecznościowych do organizowania protestów, podpisywania petycji, podnoszenia świadomości lub bojkotowania produktów związanych z problemami globalnymi. Aktywizm online może wywierać presję na rządy lub korporacje, aby zmieniły swoje zachowanie lub politykę.
- Dołączenie do grupy nacisku lub organizacji pozarządowej (NGO), która opowiada się za konkretną sprawą lub interesem w polityce światowej, np. ochroną środowiska, pomocą humanitarną, budowaniem pokoju itp. Grupy nacisku i organizacje pozarządowe mogą lobbować rządy, wpływać na opinię publiczną lub świadczyć usługi i wspierać osoby w potrzebie.
- Uczestnictwo w konsultacjach społecznych lub dialogach z urzędnikami państwowymi lub przedstawicielami organizacji międzynarodowych, takich jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, Unia Europejska, Bank Światowy itp. Konsultacje społeczne lub dialogi

publiczne mogą zapewnić obywatelom możliwość wyrażenia opinii, zadawać pytania lub sugerować kwestie globalne.

- Edukowanie siebie i innych na temat polityki światowej oraz związanych z nią wyzwań i możliwości. Edukacja może zwiększyć czyjaś wiedzę, świadomość i umiejętności krytycznego myślenia, a także zainspirować innych do zaangażowania się lub podjęcia działań.

To tylko kilka przykładów tego, jak zwykły obywatel może wpływać na światową politykę. Oczywiście wpływ każdego działania może się różnić w zależności od kontekstu, problemu i reakcji grupy docelowej. Jednak każde działanie może coś zmienić i przyczynić się do stworzenia bardziej demokratycznego i integracyjnego świata.”

Wszystko to znamy i praktykujemy jako obywatele. A mimo wszystko nasz głos tak słabo jest słyszalny.

Czy istnieje wszakże jakiekolwiek rozwiązanie systemowe, które wprowadzi do relacji obywatela z polityką światową nową jakość? O tym przy następnej okazji.

(na podstawie wykładu w Amerykańskim Uniwersytecie w Armenii w czerwcu 2019 r.)

VIII. Tożsamość obywatelska: narodowa, europejska, globalna

Od września 2019 r. do sierpnia 2022 r., więc przez trzy lata niemal, doświadczałem rozdierającego moje sumienie zawodowe uczucia. Pozostawałem jako członek służby dyplomatycznej RP lojalnym urzędnikiem mojego państwa, a z drugiej strony – jako jego obywatel – czułem narastającą abominację co do działań mojego państwa wobec obywateli. Przerażała mnie bezczelna inwigilacja, w tym dotycząca nie tylko polityków opozycji, dziennikarzy, adwokatów, ale nawet funkcjonariuszy samego państwa – sędziów, prokuratorów. Wywoływał niesmak styl działania policji, używanie jej jako tarczy chroniącej ludzi władzy, stosowanie przez nią brutalnej siły do zastraszania demonstrujących kobiet, poddawanie protestujących obywateli poniżającym szykanom podczas zatrzymań. Bodło mnie polityczne uwłaszczanie urzędów państwowych i rządowych, obsadzanie ich niekompetentnymi krewnymi i znajomymi władzy.

Nawet w małych sprawach administracyjnych natykałem się na przykłady skrajnego braku profesjonalizmu, który byłby nie do pomyślenia jeszcze kilka lat wcześniej. Rad byłem, że moje dzieci nie muszą posyłać swoich dzieci do państwowych szkół w Polsce i wystawiać je na Czarnkową deformę, że nikt z mojej rodziny nie studiuje na państwowych uniwersytetach w Polsce. Jako urzędnik tego państwa widziałem (a i sam stałem się ofiarą) deprofesjonalizacji służby zagranicznej, widziałem jak bezczelnie usuwa się ze służby państwowej bardzo kompetentnych pracowników, którzy oddali serce pracy dla kraju w ostatnich 30 latach, zastępując ich ignorantami. Jak to przyjęto wtedy mówić: „wyrzucano tych, którzy umieją, przyjmowano tych, którzy umią”.

Turbowało mnie to wszystko setnie.

W swoich książkach przed laty opisywałem narastające napięcie na linii obywatel – państwo. Nigdy nie myślałem, że nabierze ono tak osobistego zabarwienia.

Napięcie to ma naturalne wytłumaczenie. Zarówno państwo, jak i obywatel, stały się tak silne, jak nigdy w historii.

Jednostkę ludzką umocnił w podmiotowości rozwój technologii. Ona to zapewniła jej dostęp do informacji, rozszerzyła jej horyzonty myślenia. Ona spowodowała, że czasu dla siebie ma więcej. A kumulacja dobrobytu wyrwała ją z ograniczeń paradygmatu przetrwania w organizacji życia. Kultura społeczna dała jednostce poczucie bezpieczeństwa. Internet wyposażył w możliwość budowania powiązań sieciowych.

Potęga jednostki przejawia się już działaniach zakłócających, destrukcyjnych – vide terroryzm, przestępczość, prywatne wojny. Nie trzeba organizować się w masowe struktury. Szkodzić na wielką skalę można już w pojedynkę. Rozmiar spustoszeń, jakie potencjalnie może wyrządzić dziś jednostka, jest przerażający. Rozmiar dobrych uczynków – nadal bardzo ograniczony.

Wyzwolenie jednostki, jej upodmiotowienie było w społeczeństwach zachodnich procesem naturalnym. I kluczową w tym rolę odegrała etyka chrześcijańska. Jak kiedyś pisał Larry Siedentop, u źródeł naszej cywilizacji, jeszcze do czasów starożytnych, społeczeństwo rozumiane było jako związek rodzin, grup pokrewieństwa krwi, a nie jednostek. Chrześcijaństwo wpisało w tożsamość Zachodu idee równości dusz, przyrodzonych praw, godności ludzkiej. Wywołało rewolucję moralną, która doprowadziła do rewolucji społecznej. Jednostka stopniowo wypierała rodzinę, plemię lub kastę jako podstawę organizacji społecznej. Oświeceniowe prądy dały początek liberalizmowi. Indywidualizm stał się obowiązującą postawą społeczną na Zachodzie.

Nie brakuje socjologów, którzy obwiniają indywidualizm za wszystkie możliwe grzechy społeczeństw zachodnich – zanik więzi społecznych, egoizm, konsumpcjonizm, a za kryzys demokracji i obyczajów politycznych w szczególności, bo nie ma zdrowej demokracji bez poczucia wspólnoty. Indywidualizm sięgnął więc swojego szczytu i obrócił się przeciwko jednostce ludzkiej.

Są wszakże i tacy, którzy uważają, że szczyt indywidualizmu jeszcze przed nami. Harari wiąże go z wejściem przez jednostkę ludzką, dzięki osiągnięciom biotechnologicznym i informatycznym, na straceńczą drogę ku nieśmiertelności, szczęściu i boskości. Motywowaną egoistycznie, sterowaną przez jednostkę, a nie zbiorowość, choćby państwo.

Państwo wykonuje dziś bezprecedensowo szeroki zestaw funkcji. Pierwotnie były to zadania związane z bezpieczeństwem i sprawiedliwością. Habermas pisał, jak w dodatku do funkcji państwa administracyjnego i fiskalnego pojawiło się po II wojnie światowej państwo socjalne (welfare state) i państwo regulacyjne (Keynsian state). Dziś próbuje mu się dopisywać nowe funkcje (stróża moralności, jak w Polsce za czasów PiS). Z trudem unosi państwo złożony nań ciężar w wymiarze socjalnym. Pojawiły się postulaty zasadniczej przebudowy modelu państwa obowiązującego na Zachodzie. Micklethwait i Wooldridge wieszczili przed dekadą nadejście „czwartej rewolucji” w konstrukcji państwa. Po państwie narodowym, po państwie liberalnym, po państwie opiekuńczym miał przyjść czas na nowe państwo: państwo ograniczone, państwo sieciowe, państwo podwybijające (outsourcing State).

Habermas oceniał, że dzisiejsze państwo narodowe, niezdolne do kompensowania ubocznych skutków globalizacji, winno zostać od zadania tego uwolnione przez przekazanie funkcji państwa socjalnego do instytucji ponadnarodowych. Ale bynajmniej nie do organizacji międzynarodowych, bo to – według niego – rozwiązanie utopijne. Ani do państwa światowego. Słabość państwa narodowego była u Habermasa argumentem na rzecz instytucji stworzonych przez potęgę polityczne, które to generowałyby zobowiązania międzynarodowe w duchu kosmopolityzmu, jak Unia Europejska nie przymierzając. Tylko, że Unia przed uwspólnotowaniem zabezpieczeń socjalnych nadal się wzbrania.

Summa summarum, jednostka ludzka chciałaby więc, aby państwo było jeszcze bardziej sprawne, jeszcze bardziej opiekuńcze, a z drugiej strony państwu coraz mniej ufa, ba, państwa się boi, uważa, że na jego działania ma coraz mniejszy wpływ.

Nowoczesną relację jednostki ludzkiej z państwem odzwierciedla koncepcja obywatelstwa. Wyrosła z oświeceniowych rewolucji, kiedy to na „obywatela” wybił się „poddany”. „Poddaństwo” (feudalna zależność) była zależnością wysoce jednostronną. Ale i „obywatelstwo” pozostaje nadal relacją bardzo asymetryczną. Powinności obywatela wobec państwa są o wiele większe niż państwa wobec obywatela. Akt nielojalności obywatela wobec państwa podlega srogiej karze, nawet najwyższej. Nielojalność państwa wobec obywatela (o czym przekonało się niemało oddanych nowej Polsce ludzi) nie kosztuje państwo niekiedy nic. Państwo może pozbawić obywatelstwa w każdej niemalże chwili i, jak mówiła o tym kiedyś premier Wlk. Brytanii Theresa May, traktować obywatelstwo jako przywilej, a nie jako prawo. Może jednocześnie obywatelstwem handlować, sprzedawać je za pieniądze (jak czyni to otwarcie Bahrajn, a w bardziej zawoalowanej postaci wiele państw zachodnich). Obywatel zrzec się obywatelstwa tak łatwo nie może, a niekiedy nawet nie może wcale. Europejski konwencyjny standard stanowi, że obywatel zrzec się obywatelstwa

nie może, jeśli miałby stać się bezpaństwowcem. Prawo międzynarodowe traktuje bezpaństwowość jako sytuację nadzwyczajną wyjątkową.

Pojawienie się przestrzeni wirtualnej pozwala wyzwolić obywatelstwo spod ciężaru asymetrii. Pojawiły się próby usankcjonowania obywatelstwa wirtualnego. A jednocześnie do słownika weszło poprawiające poczucie suwerenności jednostki ludzkiej pojęcie „netizen”, którego mocy bynajmniej polskie oficjalne tłumaczenie „internauta” nie oddaje.

Państwo może jeszcze, jak w Chinach, próbować zacieśnić kontrolę nad obywatelem metodą totalnej inwigilacji, może próbować mobilizować aparat propagandy do prania mu mózgu, ale wydaje się, że – przynajmniej chwilowo – zniewolić go wobec państwa nie jest w stanie.

Kiedyś mogło za niego decydować, kogo z obcych lubić, a kogo nienawidzić. Dziś zaprogramować jego emocji nie może. Niektórzy PiS-owscy zarządcy polskim państwem sugerowali nam w minionych latach, aby się cieszyć, kiedy Niemcy odpadły z grupy w finałach mistrzostw świata w 2022 r. Każą nam się Niemców bać, że budują pod flagą europejską „czwartą rzeszę”. Kiedyś mogło to nawet wyprowadzać ludzi na ulice w patriotycznym uniesieniu. Dziś działa jedynie na zakompleksionych i słabo wykształconych. Państwo, nawet irańskich ajatollahów, nie dyscyplinuje już skutecznie jednostkowych uczuć.

Coraz słabiej działa tak skuteczna przecież w przeszłości zasada „dulce et decorum est pro Patria mori”. Setki tysięcy młodych Rosjan uciekających za granicę w obawie, że przyjdzie im zasadę tę spełnić na ziemi ukraińskiej jest tego potwierdzeniem. Bo przecież patriotami Rosji być nie przestali. Ale chcą, żeby o zasadności umierania za ojczyznę mogli sami decydować.

Bo w tych rozważaniach rzecz to być może najważniejsza: nieufność wobec własnego państwa nie oznacza osłabienia tożsamości narodowej. Ta tożsamość staje się coraz silniejsza.

Niektórzy zwolennicy integracji europejskiej i globalnej ową silną tożsamość narodową traktują jako hamulec umacniania ponadnarodowych instytucji i form współżycia. Tak jest w istocie, jeśli próbuje się zastąpić tożsamość narodową innymi rodzajami tożsamości (tożsamością europejską i globalną). Tożsamość narodowa na lata naprzód pozostanie podstawową kotwicą naszej tożsamości.

Malujemy sobie twarz w narodowe barwy (nie tylko figuratywnie) z potrzeb przede wszystkim tymotejskich, kiedy ruszamy na spotkanie świata. Bo chcemy, aby świat miał o nas jak najlepsze mniemanie. Traktujemy bohaterską (czasem cierpiętniczą) historię naszego narodu, bohaterów naszych wojen i geniuszy naszej kultury i nauki, a dziś nawet sportu, jako awizo naszej osobniczej wartości. Kopernik, Chopin, Curie-Skłodowska mają być argumentami, aby nie traktować nas w świecie z wysoka, ale godnie i z podziwem. A jeśli Kopernik, Chopin, Curie-Skłodowska mało co obcym mówią, to zawsze Lewandowski jako nasz współplemieniec będzie gwarantem naszej wartości, bo jego zna i szanuje cały świat.

Od sześćdziesięciu lat śledzę wielkie imprezy światowe – olimpiady, mistrzostwa świata. Stały się one z czasem jednym wielkim spektaklem narodowych flag i koncertem narodowych hymnów. Sportowcom nawet flagi wciągane na maszt przestały wystarczać. Otulają się nimi nie tylko na bieżni, na hali, ale i na podium. W telewizji oglądanie zawodów, w których nie startują nasi reprezentanci nie ma już sensu, rzadko kiedy są zresztą pokazywane. Mając do wyboru na olimpiadzie mecz tenisowy wielkich asów tenisa, ale nie naszych, oraz przedbieg eliminacyjny z naszą dwójką bez sternika, która szanse ma marne, wiadomo, że pokażą nam naszą dwójkę. A współzawodnictwo jednostek widzimy przez pryzmat klasyfikacji medalowej.

Bo taką mamy potrzebę zbiorowego uznania. Tak bardzo chcemy, by inni nas szanowali.

Powiem wprost: jako wielki miłośnik sportu i kultury fizycznej wolałbym, aby zniesiono narodowe kwoty udziału w sportach indywidualnych na olimpiadzie, wolałbym budowania drużyn olimpijskich w duchu klubowym, a nie narodowym (bo piłka klubowa jest o wiele bardziej atrakcyjniejsza), wolałbym, aby zwycięzcą był sportowiec, a nie jego flaga. Ale tak się niestety we współczesnym świecie nie da.

Wolałbym też, aby Konkurs Eurowizji promował jakość, a nie narodowe sympatie. Bo okazuje się, że choć na co dzień wszyscy w Europie słuchają brytyjskiej muzyki, to udział w finale Eurowizji Brytyjczykom (Francuzom, Włochom czy Niemcom) trzeba zagwarantować administracyjnie. A Eurowizja dawno przestała być festiwalem piosenki, jest festiwalem narodowej dumy (aż podnosił się głos oburzenia, dlaczego „Bejba” nie śpiewała w 2023 r. po polsku).

Wracając do głównego wątku, jestem przekonany zwolennikiem plemienności, pod warunkiem wszakże, że nie zawłaszcza jej moje państwo. A szczególnie nie chcę, żeby rościło sobie prawa do decydowania, kto jest lepszym Polakiem, a kto gorszym.

Paradoks pozostaje paradoksem: państwo narodowe coraz bardziej staje się przeżytkiem, a niekiedy nawet przeszkodą w rozwiązywaniu problemów świata, a jednocześnie narodowa plemienna identyfikacja jest naszą podstawową potrzebą.

*

Największym wyzwaniem w budowie ponadnarodowych struktur zarządzania światem jest słaba identyfikacja z tożsamością europejską i globalną.

Nie ma co liczyć na to, że państwo narodowe będzie działać na rzecz krzewienia w nas ponadnarodowej tożsamości. Państwo narodowe, zwłaszcza w wydaniu autorytarnym, luzować swoją kontrolę nad obywatelem także względem jego relacji ze światem zewnętrznym nie będzie z własnego wyboru chciało.

Paradoksem (kolejnym do odnotowania w tym rozdziale) jest to, że obywatel, który z taką nieufnością, a czasem niepokojem, patrzy na poczynania aparatu państwa w sprawach wewnętrznych, nadal zawiera mu monopol na prowadzenie polityki

zagranicznej. Zdarzają się oczywiście akty protestu społecznego, aktywizm w różnej postaci, aby poddać politykę zagraniczną państwa ściślejszej kontroli obywatelskiej. Politykę polską wobec Ukrainy określił w lutym 2022 r. masowy odruch solidarności Polaków. Ówczesny rząd nie miał w zasadzie wyboru i musiał pójść odważnie za głosem Polaków. Co nie było tak oczywiste przed rosyjską inwazją. Różne komentarze co do polityki Polski wobec Ukrainy można było wtedy słyszeć w korytarzach PiS-owskich zarządców Polską. Nawet jeśli założyć, że Sikorski w swoich spekulacjach co do zamiarów rządu w pierwszych dniach wojny posunął się za daleko. To, że Morawieckiemu zajęło tyle czasu, aby udać się z pierwszą wizytą do Kijowa i ledwo tam zdążył na trzy tygodnie przed wojną, nie było przecież przypadkiem.

PiS-owski rząd nie myślał, aby pytać Polaków, czy życzą sobie tak konfrontacyjnej polityki wobec Unii Europejskiej. Nie pytał ich, kiedy rozkręcał antyniemiecką histerię. Wystąpił o reparacje w imieniu narodu i państwa. Ani myślał, aby pytać potomków ofiar, ludzi, których członkowie najbliższej rodziny zostali przez Niemców wymordowani, których losy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej, gdyby nie Niemcy, ludzi którzy nie mogli dziedziczyć mienia zniszczonego lub zabranego ich rodzinie przez Niemców, nawet jeśli chodziło tylko o konia i furmankę. Mnie w każdym razie rząd PiS-u nie pytał, a przecież w imieniu ludzi takich jak ja roszczenia zbudował. No przecież nie w imieniu potomków szmalcowników, donosicieli, dekowników i folksdojczów. I nie pytał Polaków, co miałyby zrobić z tymi pieniędzmi, jeśli Niemcy zgodzili się cokolwiek zapłacić.

Arogancja państwa wobec obywatela w polityce zagranicznej nadal więc może utrzymywać się na wysokim poziomie.

Elity polityczne, które po staremu traktują państwo jako element kontroli nad obywatelem i dyscyplinowania jego zachowania, mają zrozumiały opór przed krzewieniem tożsamości ponadnarodowej. PiS-owi przeszkadzały otwarte granice europejskie, jeśli obywatele mogliby wykorzystywać swobodę podróżowania do wymykania się spod jego kontroli nawet w takich sprawach jak zawieranie związków (małżeństw) jedнопłciowych czy przeprowadzanie zabiegów przerywania ciąży. Działalność instytucji ponadnarodowych uwierała, kiedy wstawiały się one w obronie polskiego obywatela przed upolitycznionym wymiarem sprawiedliwości.

Tożsamość europejska i globalna ma sens, jeśli rozwija się w uzupełnieniu, a nie zamiast tożsamości narodowej. A wiemy już z codziennego doświadczenia państw Europy Zachodniej, że świadomość jednostki ludzkiej stała się na tyle pojemna, że może pomieścić kilka wymiarów tożsamości. Masowe migracje spowodowały, że nawet w państwach plemiennie zastałych, homoetnicznych pojawiły się miliony ludzi, którzy tożsamości mają kilka i to harmonijnie koegzystujących. Mogą oni być jednocześnie Turkami i Niemcami, Algierczykami i Francuzami, Marokańczykami i Belgami. Bez wypierania jednej tożsamości przez drugą, bez schizofrenicznych cierpień osobowości.

Więc można być dobrym Polakiem i dobrym Europejczykiem, dobrym Europejczykiem i dobrym obywatelem świata. Można. A czy warto?

(Z wykorzystaniem notatek dla prezentacji w Prisztinie w marcu 2015 r.)

IX. Niewyimaginowana tożsamość europejska i globalna

Każdy ambitny pomysł na pogłębianie europejskiej integracji rozbija się o niepewność co do jego zaaprobowania przez obywateli państw członkowskich.

Porażka Traktatu Konstytucyjnego w 2005 r. na długie lata wpoła politykom, nawet najbardziej przekonanym do potrzeby dalszych impulsów integracyjnych, strach przed opinią obywateli. Cóż z tego, że referenda w sprawach europejskich, jak te przegrane wtedy we Francji i Niderlandach, czy wcześniej w Irlandii, nie były wypowiedzią w sprawie stosunku do Europy jako takiej, lecz typowym odgromnikiem negatywnych uczuć społeczeństwa do własnych rządów. Idea Europy została przez polityków uczyniona kozłem ofiarnym ich własnej nieudolności. Za wszystko, co złe w kraju, przez lata obwiniano Brukselę. Weszło to w nawyk zwłaszcza populistom, nawet tym, którzy sprawują lub dzierżyli stery rządów i pieniądze z Unii chcieli zagarniać garściami, jak Orban na Węgrzech czy Kaczyński w Polsce.

Obowiązująca do 2007 r. jako rutynowa praktyka reform tzw. traktatowa ścieżka rozwijania Unii Europejskiej była przez ostatnie lata skrętnie omijana. Właśnie ze strachu przed obywatelem. Nawet zasadnicze wręcz decyzje, jak choćby uchwalenie Planu Odbudowy w 2020 r., przez wielu nazywanym hamiltonowskim momentem dla Europy, przeprowadzono bez zwracania się do opinii publicznej.

Jednocześnie Unia Europejska zainicjowała w 2021 r. bezprecedensowy dla instytucji międzynarodowych proces konsultacji społecznych w ramach Konferencji dla Przyszłości Europy. Zakończony zresztą bogatym wolumenem idei i propozycji. Które to, znowu ze strachu przed brakiem gwarancji ich konstruktywnego rozpatrzenia, skierowano na boczny tor polityczny. Rządy się do nich nie chciały ustosunkować. Stały więc sobie tam na bocznicach w oczekiwaniu lepszych czasów. W obowiązku poczuł się Parlament Europejski, który odwołał się do nich, inicjując rewolucyjne wręcz zmiany w istniejących traktatach. Tuszę, że głębokie zmiany nastąpią. Prędzej czy później.

Jest zresztą znamienne, jak mikry był polski wkład w przygotowanie raportu Konferencji. Ale to odrębna kwestia.

Wniosek może być tylko jeden: bez europejskiego demos integracja posuwać się dalej nie będzie. Jego rachityczność potwierdza frekwencja na wyborach do Parlamentu Europejskiego. Nie tylko w Polsce. Nikt nie jest w stanie przekonująco wyjaśnić obywatelom, o co w nich chodzi.

Słabiutki ów demos jest być może, ale jednak istnieje. Można oczywiście kwestię tę zbywać i nazywać Europę wymaginowaną wspólnotą, ale przecież każda wspólnota szersza niż rodzina czy ród jest wspólnotą wymaginowaną, nawet naród.

Próbowali definiować europejską tożsamość filozofowie, socjologowie czy wreszcie politycy. Husserl chciał uczynić tożsamość filozoficzną dominującą. Poszukiwanie prawdy, racjonalizm, krytycyzm poznawczy, uniwersalizm, dążenie do zmiany (konwersja egzystencjalna) czy nawet egzystencjalne zwątpienie (refleksja filozoficzna) wymieniane są często jako tzw. czynniki konstytutywne tożsamości Europy. Może jednak rościć sobie do nich prawo zaiste cały szeroko rozumiany Zachód. Ale w sferze debat intelektualnych, refleksji zasadniczej europejska tożsamość nadal jest wyczuwalna. Mówił mi jeden z europejskich wykładowców na czołowym amerykańskim uniwersytecie: „Nie wiedziałem, że jestem Europejczykiem, dopóki nie pojechałem do Stanów. Okazało się, że potrzebę kawiarnianych, totalnie improwizowanych debat intelektualnych po zajęciach na uczelni odczuwali jedynie wizytujący profesorowie, którzy przybyli tam z Europy.”

Również wymiar kulturowy tożsamości europejskiej, ten związany z wartościami, zwłaszcza z państwem prawa, tolerancją, empatią, godnością człowieka, liberalizmem w zasadniczym, niepolitycznym rozumieniu, można rozciągnąć na cały Zachód. Ale jednak w świecie Europa swoim zaangażowaniem na rzecz zniesienia kary śmierci, na rzecz równouprawniania kobiet, poszanowania mniejszości seksualnych jest dystynktywnym znakiem.

Także na poziomie politycznym Europa w skali globalnej jest coraz bardziej rozpoznawalnym podmiotem. Nie zawsze chcą ją widzieć jeszcze niektórzy politycy. Długo nie chciał jej widzieć Putin. Potem dostrzegł, ale demonstracyjnie nie chciał szanować. Nie traktują Europy jako zbiorowego gracza jeszcze w kilku ważnych państwach Globalnego Południa. W Indiach chociażby. Ale w Chinach już tak. Dlatego Macron mógł rozmawiać z Xi w towarzystwie von der Leyen.

Więc europejska tożsamość istnieje, ale jeszcze na co dzień w refleksji obywatelskiej jest zbyt słaba.

Myślano, że wzmocnią ją instytucje. Wprowadzono bezpośrednie wybory do Parlamentu Europejskiego. Wprowadzono europejskich liderów wyborczych i być może pojawiają się ponadnarodowe listy wyborcze. Ale wybory w wielu krajach członkowskich kojarzone są raczej z wyścigami do ciepłych (dobrze opłacanych) posad, a w wśród nowych członków Unii – do synekur wręcz, niż z ważkim sporem politycznym. Parlament Europejski nie jest postrzegany jako realna polityczna siła. Nadal. Dla ambitnych polityków to zsyłka, albo przedemerytalne „roztrenowanie”, swoisty chill-out.

Wprowadzono instytucję obywatelstwa europejskiego, widoczną na okładce naszych paszportów. Ale obywatelem Europy może być jedynie posiadacz obywatelstwa jednego z państw członkowskich (nie pora obejść w końcu w specjalnych przypadkach to ograniczenie?). Jako obywatele Europy możemy głosować w wyborach lokalnych w innych państwach członkowskich, a nawet i krajowych. Mamy

dostęp do ochrony konsularnej oraz prawo do składania petycji i inicjatywy ustawodawczej. Możemy liczyć na równe traktowanie w wielu codziennych sprawach. Ale nadal niektóre kraje odnoszą się do nas jak do cudzoziemców w dostępie do pracy i świadczeń socjalnych, czy przy zakupie ziemi.

Myślano, że tożsamość wzmocnią realne korzyści, jak choćby wymiana studencka w ramach „Erasmusa”, zniesienie kontroli granicznych, zniesienie opłat roamingowych. Ale nadal jednak, nawet w krajach, w których z funduszy europejskich na wielką skalę przeobraża się infrastruktura (nie tylko drogowa), poczucie realnych korzyści z bycia Europejczykiem jest słabe.

Uznano także, że trzeba dbać o wzmocnienie wspólnej tożsamości kulturowej. Wprowadzono europejskie nagrody dla twórców kina, ale także dla twórców architektury czy literatury (inne obszary twórczości też mają swoje europejskie nagrody, ale już nie tak spektakularne). Ale z Oskarami, Cezarami czy Pritzkerami nie są jeszcze porównywalne. Ba, jest Eurowizja i Europejskie Igrzyska. Są Europejskie Stolicy Kultury. Cały czas wszakże dominuje uczucie niedosytu. Unia Europejska porusza się w obszarze kultury nadal z nieporadnością. Jej agenda na rzecz kultury opublikowana na stronach Komisji Europejskiej poraża miałkością. O komisarzu z wydzielonym portfelem kultury mowy długo nie będzie. A szkoda. Bez mocnego wymiaru kulturalnego Europa swojej „miękkiej siły” nie zbuduje.

Narzekać można by długo. I nie brak defetystów, którzy uważają, że europejski demos jest utopią. Bo Europę dzielą języki, religie, kultury, doświadczenia historyczne. Jakże trudno przecież ustalić wspólną europejską interpretację jej własnej historii.

Analizowałem plenarne rekomendacje (propozycje) Konferencji dla Przyszłości Europy z 2022 r. pod kątem ich ewentualnego wpływu na konsolidację świadomości europejskiego demos. Moje wnioski? Szczerze? Niewiele idei znalazłem, które mogłyby zadziałać na wyobraźnię zwykłego obywatela. Europejski paszport zdrowia i powszechne prawo dostępu do usług medycznych w innych krajach? Tak, to miałyby efekt. Ogłoszenie Dnia Europy (9 maja) dniem wolnym od pracy w całej Unii? Symbolicznie dobrze by Unię kojarzyło. Zgromadzenia Obywatelskie? Referenda Ogólnounijne? Tak, ale przy okazji innych czynności wyborczych, bo pewno frekwencja byłaby kompromitująca, przynajmniej początkowo. Stworzenie europejskiej sieci komunikacji publicznej? Tak, ale tylko na zasadzie jednego biletu, jak działa taka sieć w Niemczech. Powszechna dostępność instytucji edukacyjnych (szkół, uniwersytetów) i uznawalność dyplomów? Popieram! Karta obywatela Europy (z zapisem jego praw)? Symbol, ale czemu nie. Ale w sumie, idei tych jest w mojej ocenie bardzo mało. A i tak koszt niektórych z nich byłby zaporowy.

Z dalekiej perspektywy wydaje się, że skonsolidować europejski demos może jedynie wspólne zewnętrzne zagrożenie. W sensie polityczno-militarnym bezpośrednim zagrożeniem niewątpliwie jest w obecnej sytuacji Rosja. Ale jeśli dla bezpośrednich sąsiadów Rosji to zagrożenie wprost egzystencjalne, dla zachodnich krańców Europy czasem wciąż jednak pośrednie. Zagrożenie migracyjne też odbierane było w minionych latach z różnym stopniem przejęcia. Solidaryzm europejski nie był wcale w

tym względzie silny. To co jeszcze? Rywalizacja z Chinami w wymiarze globalnym nie będzie oczywiście miała konsolidacyjnego wpływu.

Innym czynnikiem krzepnięcia europejskiego demos byłoby upatrywanie w Europie instrumentu ochrony praw w przypadku niezadowolenia obywateli z polityki własnego państwa. Dla milionów Polaków pod rządami PiS-u Europa stała się jedyną nadzieją obrony niezależności sądów, wolności mediów czy praw „kulturowo-obyczajowych”. Nigdy tak często nie odwoływano się do wyroków ETS, kiedy podważano legalność reform sądowniczych Ziobry. Polacy zrozumieli, że obywatelstwo europejskie daje im możliwość odwoływania się do trybunałów europejskich, podróżowania do innych państw, aby zawierać związki małżeńskie czy przeprowadzać zakazaną w Polsce aborcję. Europa stała się dla tych Polaków jedyną gwarancją obrony ich wolności w obliczu autorytarne państwa.

Jest też znamienym zjawiskiem, że zwolennicy lokalnych separatyzmów (Szkocja, Katalonia) stali się tak gorliwymi wyznawcami idei europejskiej integracji. Jean-Marc Ferry przypominał, że w XIX w. sens Europy przejawiał się w budzeniu narodów. Denis de Rougemont nazywał zresztą nacjonalizm chorobą romantyczną Europy. Dziś Europą interesują się separatyzmy, bo narody państwowe zaczęły się Europy bać. Nie przypadkiem polscy populistyczni nacjonaści główne zagrożenie dla suwerenności kraju upatrują nie w Moskwie, a w Brukseli.

Francois Heisbourg, który przed kilkoma laty konkludował, że demos europejski nie istnieje, a federalizacja Europy do skutku nie dojdzie, bo zatrzyma ją narodowy opór, wyrokował jednocześnie, że przyszłość Europy nie jest bardziej pewna niż przyszłość ZSRR za czasów Gorbaczowa. Argumentował, że tworzenie Kantowskiego ogródka pokojowej koegzystencji nie wymaga przecież narodowych fuzji (Kanada nie łączy się z USA żyjąc z nimi w pokojowej symbiozie, nie łączy organizmów państwowych państwa skandynawskie mimo wzorcowych między nimi relacji). Więc lepszym i jedynym realistycznym rozwiązaniem byłby swoisty utylitaryzm, czyli pragmatyczne szukanie na ponadnarodowym poziomie rozwiązań, które dają lepsze rezultaty niż poszukiwania na szczeblu narodowym.

Zgoda, Europa jest śmiertelna, jak ostatnio przypominał Macron. Ale tylko wtedy, kiedy jej zwolennicy będą się atakom na nią przyglądać bezczynnie i wierzyć, że sama się obroni.

Ale jest jeszcze jeden wymiar integracyjny, który można by potraktować jako misję niemalże cywilizacyjno-historyczną. Europa stała się poletkiem doświadczalnym budowy kosmopolitycznego modelu zarządzania światem. Jeśli jest bowiem prawdziwą hipotezą, że państwo narodowe wyczerpuje swoje możliwości, że prędzej czy później stanie się modelem niewydolnym czy wręcz dysfunkcyjnym, to szukać trzeba sposobów wypełnienia luki po jego częściowej co najmniej implozji. A Unia Europejska jest testem takiej alternatywnej możliwości.

Francis Cheneval, który spróbował opisać model kosmopolityczny zarządzania światem, oparty na „wolnej, stopniowej i dynamicznej integracji między ludami które uznają i realizują zasady demokracji liberalnej i są związane traktatami”, uznał, że

tylko integracja europejska podąża za tą logiką kosmopolityczną i *eo ipso* pozostaje jedynym poligonem dla sprawdzenia skuteczności tego podejścia.

Więc Europejczycy winni zademonstrować sukces swojego eksperymentu integracyjnego w imię uniwersalizmu, który jest przecież integralnym elementem ich tożsamości. Fuknie ktoś słusznie: „Ożeszty! Jakie to przewrotne! Jakie podstępne!”. Bo to jest w istocie odwrócenie logiki integracji europejskiej. Jeśli jednak tworzenie takich związków kosmopolitycznych w skali regionalnej miałoby być drogą do stworzenia pokojowej formuły dla całego świata, to kto miałby świat ku lepszej przyszłości poprowadzić, jeśli nie Europa. Tak więc wyglądać powinna misja globalna europejskiej integracji. Bo przecież jej celem nie powinno być myślenie w kategoriach tworzenia „imperium europejskiego” na wzór idei Carla Schmitta.

Jean-Marc Ferry zaproponował model „ko-suwerenności” jako przyszłość zarządzania globalnego. I widział w tym szansę na pokazanie przez Europę roli przywódczej. Bo ostrzegał, że przywództwo Europy nie może przecież polegać na obietnicy rozszerzania Europy na cały świat. Kosmopolityczny system globalny będzie, według niego, rezultatem połączenia rozmaitych systemów kosmopolitycznych.

Podobnie na polityczną przyszłość świata patrzył Jeremy Rifkin. Widział potrzebę przejścia w dyskusjach o przyszłym urządzeniu świata od globalizacji do kontynentalizacji. Był zwolennikiem tworzenia związków politycznych w regionach. UE traktował jako pierwszy historycznie związek kontynentalny. Od kontynentalizacji świat miałby poruszać się ku nowej Pangei. Od sfery geopolityki przenieść się do polityki biosfery.

Istnieją oczywiście rozmaite pomysły na nowy model porządku globalnego zrywający z dotychczasowymi paradygmatami równowagi sił i współpracy państw narodowych.

Jedni chcą iść ku quasi rządowi światowemu poprzez umacnianie ONZ i istniejących organizacji międzynarodowych o charakterze uniwersalnym. Wymagałoby to zasadniczej reformy ONZ, wyposażenia jej w nowe prerogatywy. To tzw. pragmatyczna droga. Biorąc pod uwagę dzisiejszą wiarygodność ONZ i jej organiczne ograniczenia, rezultaty mogą okazać się mało zadowalające.

Inna opcją, od dekad propagowaną przez „federalistów”, jest utworzenie nowej instytucji o charakterze zarządczym drogą umowy między rządami państw narodowych, na podstawie konstytucji światowej zatwierdzonej przez ich obywateli. Nowa instytucja przejęłaby w szczególności kontrolę nad zasobami broni masowego rażenia, miałaby monopol na przymus i stosowanie siły, kontrolę nad politykami handlowymi i gospodarczymi w skali krajowej. To niewątpliwie najbardziej utopijna z wizji przyszłości.

Kolejna opcja to stworzenie konfederacji regionalnych związków integracyjnych opartych na modelu Unii Europejskiej. Opisywaliśmy ją wyżej.

I wreszcie opcja najbardziej demokratyczna, to stworzenie swego rodzaju instytucjonalnego i funkcjonalnego pluriwersum, w którym organicznie spletałyby się

sieci współdziałania państw narodowych, instytucji globalnych, miast, regionów, a przede wszystkim obywateli świata, ich związków, organizacji, ruchów.

Daniele Archibugi przedstawił kiedyś wizję „globalnej wspólnoty obywateli” (The Global Commonwealth of Citizens). Opierałaby się ona na zasadach nieużycia siły, respektowania różnorodności kulturowej, samookreślenia narodów, odwracania tendencji autokratycznych w polityce wewnętrznej, partycypacyjnego zarządzania problemami globalnymi. Urzekająca to wizja kosmopolitycznej demokracji.

Ponownie jednak, jak wcześniej w przypadku integracji europejskiej, pojawia się pytanie o siłę tożsamości globalnej. Jej brak niweczy szanse na zbudowanie jakiegokolwiek nowego porządku globalnego opartego na ściślejszej integracji w skali świata.

Nie da się bowiem myśleć o jakimkolwiek nowym modelu zarządzania światem bez wykrystalizowania silnej tożsamości globalnej w oparciu choćby o coś, co postulował prof. Coker z LSE, czyli wspólną tożsamość człowieczą nas jako jednostek ludzkich.

Od lat podpieramy się tezą, że światowe zagrożenia wzmacniają sumienie kosmopolityczne. Ale zagrożenie nuklearne nawet na Zachodzie przestało wyprowadzać ludzi na ulice. W Chinach, Indiach czy w Pakistanie sumienia kosmopolitycznego nie poruszy wcale. Zagrożenie klimatyczne niewątpliwie zauważalnie obudziło tożsamość globalną wśród młodego pokolenia na Zachodzie. Ale zbyt małą wywiera jeszcze presję na elity polityczne w państwach Globalnego Południa. Wydawałoby się, że zagrożenie tak namacalne jak pandemia, a zwłaszcza COVID-19, który przecież nie oszczędził żadnego zakątka globu, stanie się katharsis dla globalnej tożsamości. Ale w wielu społeczeństwach Południa posłużyło jedynie za pretekst do wzniecania antyzachodnich nastrojów. Bo Zachód ze swoimi szczepionkami zadbał o priorytet dla swoich obywateli, nie chciał pójść na tanie licencjonowanie. A Chiny i Rosja swoimi wakcynami, które często posądzano o skuteczność na poziomie placebo, zarzuciły „Trzeci Świat”.

Zawsze jednak można sobie wyobrazić świat jako wspólnotę mało dobrowolną, połączoną jedynie koniecznością podejmowania wspólnych ryzyk. Ot, takie małżeństwo z rozsądku. To jest w chwili obecnej najbardziej prawdopodobny scenariusz budowania nowego ładu globalnego. Nie z chęci, nie z wizji szlachetnej, ale z uświadomionej konieczności. Tu jednak nie widać jeszcze sposobów przełamywania odruchu niechęci wywołanego naturalnie rozwijanym przez wieki egoizmem narodowym. Posłuchajcie zresztą głosu prawicy polskiej o reformie Unii Europejskiej. Każdy niemalże śmiały pomysł reformy kwitowany jest wrzaskiem, że oto Bruksela chce pozbawić Polaków suwerenności.

Oczywiście zawsze pozostaje możliwość, że obudzi w nas wspólną tożsamość człowieczą zagrożenie zewnętrzne, „Marsjan” jakaś agresja, uderzenie cywilizacji pozaziemskiej. Choć w literaturze science fiction nawet takie sytuacje nie zawsze działają na Ziemi mobilizująco. Tym niemniej perspektywa takiego przesilenia jest w realu nadal mało prawdopodobna.

Francis Cheneval sugerował generowanie solidarności globalnej jako rewolty na ograniczanie praw człowieka w skali narodowej. Owa solidarność globalna w jego rozumieniu nie wymagałaby nawet oparcia o jednolity porządek etyczno-polityczny.

W istocie budowanie silnych ponadnarodowych instytucji i procedur w skali globalnej dla ochrony praw ciemniejących ludzi jest najsilniejszą moralno-polityczną przesłanką na rzecz budowy nowego ładu światowego. Bo dotychczasowy, oparty na absolutyzacji suwerenności i nieingerencji w sprawy wewnętrzne, legitymizuje tylko wszechwładzę państwa narodowego nad obywatelem.

No a w dalszej perspektywie coś mogłoby stać się katalizatorem naszej tożsamości jako jednostek ludzkich? Oczywiście tylko bunt maszyn, emancypacja sztucznej inteligencji zwrócona przeciw ludziom, rebelia robotów. O tym jednak nieco później.

Tymczasem głos solidarności obywatelskiej w sprawach globalnych nadal jest bardzo słaby. I w reformowaniu ONZ aspekt ten nie znajduje dotąd należytego uwzględnienia. Polityka światowa nadal prowadzona jest bez wsłuchiwania się w głos obywatela.

X. Instytucje kluczem do zmian?

Instytucje międzynarodowe stają się z reguły poręcznym narzędziem dla wyładowania społecznych frustracji w czasach kryzysów międzynarodowych. Wojna na Ukrainie wywołała wiele krytycznych głosów obwiniających ONZ i OBWE o brak zdolności do skutecznego działania. Słusznie zresztą. W państwach Globalnego Południa powszechnie narzekano na dyktat Międzynarodowego Funduszu Walutowego. A w państwach Unii Europejskiej rytualnym obiektem politycznych ciągów ze strony skrajnej prawicy i populistów jest od dekad Unia Europejska.

Nawet jeśli krytyka to słuszna, bo często nie stają one na wysokości zadania, instytucje międzynarodowe są znakiem postępu w stosunkach międzynarodowych. Zasługują na systemowe docenienie i wsparcie. Dopełniają rozwój prawa międzynarodowego. Służą okiełznaniu dominacji wielkich i krzewieniu postaw kooperacyjnych w środowisku międzynarodowym. Opisywałem w jednej ze swoich książek ich rozwój na przestrzeni ostatnich stu pięćdziesięciu lat. Po II wojnie światowej ich rozrost przybrał formę niemalże kaskadową. Powoływanie do życia wciąż nowych instytucji, rozbudowa istniejących stało się z czasem bezrefleksyjnym wręcz sposobem sprzyjania rozwojowi współpracy międzynarodowej w rozwiązywaniu wspólnych problemów. Logika przyświecała temu taka: pojawił się problem, więc aby go rozwiązać, niezbędna jest instytucja.

We wstępie do publikacji „The Pursuit of Undivided Europe” z 2014 r., zawierającej opinie przedstawicieli środowiska naukowo-badawczego o przyszłości Rady Europy (a z powodów całkiem niemerytorycznych świadomie zignorowanej przez ówczesnych włodarzy Rady Europy) spróbowałem przywołać kilka prostych prawd, które rzutują na efektywność instytucji międzynarodowych. Przypomnę je w skrócie.

Organizacja międzynarodowa znaczy tyle, ile państwa członkowskie chcą, aby znaczyła. Państwa członkowskie kontrolę nad organizacją często stawiają wyżej od jej skuteczności. Chcą lokować w kluczowych miejscach międzynarodowych sekretariatów ludzi, do których mają zaufanie. Nie chcą mieć do czynienia z „nieprzewidywalnymi” liderami na czele organizacji. Tworzenie nowych instytucji lub powierzanie im nowych ról traktują nierzadko jako alibi dla własnej bezczynności.

Każda organizacja międzynarodowa wytwarza swoją własną kulturę instytucjonalną. Jej strażnikiem są międzynarodowe sekretariaty. Międzynarodowe sekretariaty wykazują tendencję do alienacji. Stają się bytami samymi w sobie, wymykającymi się spod kontroli ze strony państw członkowskich. Co doprowadza do nieuniknionego spięcia między państwami a biurokracją. Kierują się biurokraci swoiście pojmowanym interesem organizacji. Jest on czasem podbudowany szlachetną wizją jej celów, choć z reguły ma wymiar pragmatyczny, czyli wypływa z troski o pozycję i zasoby materialne organizacji.

Międzynarodowe biurokracje podlegają mechanizmowi samoreplikacji. Urzędnicy zasiadający w panelach rekrutacyjnych zdecydowanie preferują im najbardziej podobnych, niekoniecznie najzdolniejszych, najbardziej twórczych, wyrazistych.

Wszystkie organizacje międzynarodowe podlegają zjawisku inercji. Wszystkie żyją dłużej niż uwarunkowania, które przywiodły do ich powołania. Dzisiejszy układ instytucji globalnych (w tym skład Rady Bezpieczeństwa ONZ, mechanizmy działania Banku Światowego i MFW) odzwierciedla w dużej mierze realia świata po II wojnie światowej. Wszystkie instytucje (zwłaszcza ich biurokratyczne organy, tj. sekretariaty) wykazują naturalną tendencję do opierania się zmianom. Otwierają się na reformy pod wpływem zewnętrznej presji bądź zagrożenia ich egzystencjalnych fundamentów (zwłaszcza finansowych).

Ani świat, ani Europa nie zdecydowały się na radykalną przebudowę instytucji międzynarodowych po zakończeniu zimnej wojny. W Europie nie powstała wtedy żadna nowa instytucja, poza formatami wspomagającymi współpracę w wymiarze subregionalnym i regulującymi kontakty UE i NATO z partnerami na wschodzie i południu. Presja geostrategicznych okoliczności wymusiła na UE i NATO kolejne fale rozszerzenia. Rada Europy poszła na skróty w nabieraniu ogółouropejskiego charakteru, a OBWE z forum szczerego dialogu przebrzmiała się w biurokratyczne narzędzie operacyjne.

Tu krótka osobista dygresja. Byłem świadkiem, jak już na spotkaniu przeglądowym KBWE w Helsinkach w 1992 r. dyplomaci kluczowych państw zachodnioeuropejskich dążyli do zaprzestania (poważnego ograniczenia) w ramach KBWE tzw. debat implementacyjnych, czyli przedstawiania surowych ocen wykonywania przez inne państwa podjętych zobowiązań. Wtedy jednak Amerykanie, także przy naszym aktywnym udziale, byli w stanie się temu przeciwstawić. Ale na szczycie KBWE w Budapeszcie w 1994 r. już odpuścili. Debaty oceniające utrzymano, ale nie one stanowiły już o istocie procesu KBWE. Logika niemiecko-francuska, bo to francusko-niemiecki motor parł do zmian, była oparta na założeniu, że jeśli państwa byłego systemu komunistycznego deklarują oddanie wartościom demokratycznym, prawom

człowieka i praworządności, to nie ma sensu rozliczać ich z deficytu tych wartości, ale trzeba im w jego wypełnianiu pomagać, szczególnie poprzez działania ekspercko-pomocowe (szkolenia, ekspertyzy, zachęty, etc.). Sceptycznie oceniałem takie podejście. I czas pokazał, że było ono w istocie naiwne. Zachodni Europejczycy zupełnie nie dostrzegali geopolitycznego wymiaru polityczno-mentalnego urazu postsowieckich elit, jakie wywołał nie tylko w Moskwie upadek sowieckiego imperium, zwłaszcza wewnętrznego (ZSRR). A już przy Putinie widać było ewidentnie, że Rosji bynajmniej nie chodzi o asymilowanie zachodnich wartości, co o odbudowę imperium.

Po I wojnie światowej i po II wojnie światowej przemeblowywano świat instytucjonalny w sposób zasadniczy. Po zimnej wojnie wybrano strategię adaptacji. Niektórzy do dziś twierdzą, że było to podejście błędne. Trzeba było, jak twierdzą, przynajmniej w Europie, przyjąć opcję zerową i zbudować coś zasadniczo nowego na miejsce OBWE czy Rady Europy. Ale przeważa jednak pogląd, że adaptacja była jedyną rozsądną drogą.

Kosztom ubocznym procesu adaptacji instytucjonalnej w Europie stała się proliferacja instytucji i duplikacja ich działań. Obserwowałem, jak zazdrośnie Rada Europy patrzyła na mechanizmy ochrony praw człowieka Unii Europejskiej, jak starała się rozgraniczać sfery kompetencji między RE i OBWE. Ze skromnym skutkiem. Koncepcja wzajemnie zazębiających się instytucji, którą promowano w celu uniknięcia rywalizacji międzyinstytucjonalnej jako model dla Europy, okazała się pobożnym życzeniem.

Rozwój procesów politycznych doprowadził do tego, że dominującą rolę w politycznej architekturze Europy zajęła Unia Europejska oraz NATO (w dziedzinie bezpieczeństwa militarnego). Pozostałe organizacje, a zwłaszcza Rada Europy i instytucje subregionalne, popadły w kompleks „unijnego cienia”.

Stosunki międzynarodowe podlegają, jak wszystkie inne wymiary życia społecznego, zasadzie entropii. Stała się ona w dzisiejszych czasach matką wszystkich zasad. Jednym z jej przejawów jest proliferacja aktorów życia międzynarodowego, dywersyfikacja ich interesów i kakofonia ich głosów.

Czyni ona uzgadnianie stanowisk między państwami coraz trudniejszym. Coraz ciężiej zwłaszcza opracowywać jest konsensusowe stanowisko na forum organizacji międzynarodowych, szczególnie instytucji o wymiarze globalnym, gdzie silnie zaznacza się emancypacja świata „niezachodniego”. Męki dochodzenia do konsensusu dotyczą także procesu reformowania instytucji międzynarodowych.

Na początku lat dziewięćdziesiątych spróbowano katalizatorem konsensu w sprawach reform uczynić międzynarodowe biurokracje. W ONZ inicjatywę reform zaczęli brać na siebie sekretarze generalni. Śmiałe raporty inicjujące próby reform opracowywali Boutros-Ghali, Annan czy ostatnio Gutteres. I zaczęli posiłkować się oni opiniami specjalnych paneli, złożonych z byłych polityków, funkcjonariuszy, akademików czy działaczy społecznych. Moda na panele „mędrców” dotknęła też inne organizacje, w tym OBWE (raport Panelu Wybitnych Osobistości z 2005 r.), Radę Europy (Grupa

Refleksyjna Wysokiego Szczebla z 2022 r.), Unię Europejską (wspomnijmy choćby grupę refleksyjną „Europa 2030” i jej raport z maja 2010 r.) czy NATO (choćby NATO Reflection Group powołana w 2019 r.).

Za modą na panele „mędrców” stoi przekonanie dość szlachetne, że autorytet osobisty uznanych (a niekontrowersyjnych) polityków i bezstronnych ekspertów przytłumi egoizmy narodowe, poskromi ego czynnych polityków i dyplomatów, pomoże ulepić załączek wspólnego stanowiska.

Kiedyś tak nie było (pomijam oczywiście Raport Harmela z 1967 r., który nie tylko w ramach NATO nabrał statusu kultowego). Kiedyś postulaty i plany reform wychodziły bezpośrednio od państw członkowskich. W ramach OBWE czy Rady Europy obywano się kiedyś bez paneli wybitnych osobistości. A było ich, tych osobistości, wtedy co niemiara, może nawet więcej niż teraz. I wprowadzano dalekosiężne reformy, zwłaszcza na początku lat dziewięćdziesiątych.

Pisałem onegdaj o moim niewątpliwie dość wystudzonym entuzjazmie wobec tych paneli. Po pierwsze, mają one dla mnie ograniczoną wiarygodność. Emerytowani politycy nagle nabierają odwagi (i mądrości) do głoszenia poglądów, których za czasów ich aktywności nie proponowali, nie forsowali, a nawet żadnej wizji reform w swojej działalności nie zdradzali. Ktoś im przeszkadzał? Krępowali się? Potrafią myśleć dopiero na instytucjonalne zamówienie, bo ktoś zaliczył ich do grona mędrców? W skład Grupy Refleksyjnej Rady Europy w 2022 r. wchodził m.in. Mary Robinson, Evangelos Venizelos, Federica Mogherini, Bernard Cazeneuve i inni. Poza Josepem Dalleresem (z Andory) nie zapisali się oni w mojej niedawnej pamięci (a w Strasburgu spędziłem prawie dziesięć lat) ze szczególnej aktywności na forum Rady Europy i nie demonstrowali szczególnej wiedzy o mechanizmach jej działania. A teraz jednak na zamówienie ją ujawnili.

Po drugie, ich raporty noszą wyraźne ślady inspiracji ze strony międzynarodowych biurokratów. Bo politycy operują w swoim działaniu na czasami dość wysokim poziomie abstrakcji. Nie znają dorobku programowego instytucji, mechanizmów decyzyjnych, rozkładu sił politycznych, o uwarunkowaniach finansowych i administracyjnych nie wspominając. A tu nagle sypią oni jak z rękawa propozycjami konkretnymi i szczegółowymi, operacyjnymi częstokroć. Ktoś im musiał to podpowiedzieć, zasugerować. Zgadnijcie kto? Dobrze, jeśli biurokraci-ekspersi, jak choćby Adam Day czy David Passarelli w przypadku raportu grupy doradczej SG ONZ z 2022 r., ujawniają swoją pomocną dłoń. Gorzej, jeśli udają, że ich przy tym w ogóle nie było. Pozują na niewidzialną rękę.

Problem z reformatorskimi raportami przygotowywanymi bądź inspirowanymi przez międzynarodową biurokrację polega na tym, że bardzo często pomijają one (świadomie lub nie) kwestie o wymiarze głęboko politycznym, a zwłaszcza takie, które wywołują polityczne podziały wśród państw członkowskich, wymagają decyzji strategicznych, a nawet wręcz przełomowych. Dobrym przykładem był raport Sekretarza Generalnego ONZ „Our Common Agenda” z września 2021 r. Można było chwalić autora za odwagę głoszenia tezy o dramatycznym charakterze momentu historycznego, o krytycznym stanie ONZ, o potrzebie radykalnej zmiany perspektywy

czasowej w myśleniu o świecie i współpracy międzynarodowej. I zawierał raport wiele słusznych ocen i propozycji. Ale słowem nie wspominał o czynniku politycznym, który jest jedną z głównych przyczyn, jeśli nie najważniejszą, paraliżu decyzyjnego i operacyjnego ONZ, a mianowicie o ponownym rozplątaniu się świata na gruncie aksjologicznym, o konfrontacji między światem demokracji i światem dyktatur, światem wolności i światem opresji. Można zrozumieć, że nie zawsze ujawnia się ten podział w głosowaniach w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ; ideologiczne spory nie wróciły na fora ONZ, a na czele Sekretariatu ONZ, MFW, Banku Światowego i innych ważniejszych instytucji nie stoją jeszcze nominaci Biura Politycznego KPCh czy agencji FSB (GRU), co uświadomiłoby Zachodowi, że traci kontrolę nad organizacjami globalnymi. Ale podział ten jest realny a deficyt wzajemnego zaufania między przeciwstawnymi obozami wrócił już do poziomów zimnowojennych. Czy ONZ może poprawić swoją skuteczność, jeśli podział ten będzie wypychać ze swojej świadomości?

Krótko mówiąc, myślą moją przewodnią na tych stronach jest teza, że nie będzie przełomu w rozwiązywaniu problemów świata bez pokonania głębokiego podziału aksjologicznego w społeczności międzynarodowej i związanej z tym rywalizacji (a nawet konfrontacji) geopolitycznej, a Sekretarz Generalny ONZ nie dostrzegał w tym podziale żadnego problemu. Bo chyba sam fakt podziału dostrzegał. Chciałem nie mieć racji, że z jego wizji głębokich reform nic nie wyjdzie, póki nie uzna tych realiów, ale okazało się, że miałem. Nie oczekiwałem więc zbyt wiele od Szczytu Przyszłości planowanego na wrzesień 2024 r. I rzeczywiście dokumenty przyjęto na nim sążniste, ale dla codziennej praktyki ONZ niewiele one znaczą.

W raporcie SG z 2021 r. nie padło słowo demokracja. Nic nie było o dyktaturach, przewrotach wojskowych, państwach niewydolnych, etc. Nic nie było o praworządności. Termin „prawa człowieka” przemykał w tekście tak, żeby nikogo nie dotknąć. Bo przecież Chiny (i nie tylko one) mogłyby użyć akcentu na prawa człowieka w raporcie jako pretekstu do zignorowania całego raportu.

Lista spraw ważnych, a w raporcie pominiętych była zresztą dłuższa. Nic nie napisano o wojnach i konfliktach, zwłaszcza tych, których społeczność międzynarodowa z pomocą ONZ i bez jej pomocy próbuje bezskutecznie rozwiązać od dziesięcioleci. Czy ONZ może dokonać przełomu (o jakim marzył SG) bez rozwiązania impasu, w jakim znalazła się jej działalność antykryzysowa? A po publikacji raportu doszła jeszcze wojna rosyjsko-ukraińska i rozpalenie sytuacji na Bliskim Wschodzie, kolejne egzemplifikacje niemocy ONZ.

Nie znajdziecie Państwo w raporcie nic o sprawie migracji, a o prawach migrantów (w tym migrantów zarobkowych – vide casus Kataru nagłościony w związku z mistrzostwami świata w 2022 r.) tym bardziej. A przecież dla wielu państw, nie tylko bogatej Europy, migracja to nadal problem o charakterze strategicznym. Dużo by mówić.

Albo choćby problem zasad funkcjonowania przestrzeni wirtualnej. Dla mnie i wielu – kluczowy. Ograniczanie wolności w Internecie, cenzura, inwigilacja, manipulacja stały się z punktu widzenia bezpieczeństwa obywateli wyzwaniami globalnymi. O skutkach

rewolucji związanej ze sztuczną inteligencją nie wspominając. Raport do kwestii tych odnieść się nie miał odwagi.

Szanse wypełnienia luk miał powołany przez SG ONZ Doradczy Komitet Wysokiego Szczebla ds. Skutecznego Multilateralizmu. I opublikował on przepastny raport w 2023 r. pt. :*“A Breakthrough for People and Planet: Effective and Inclusive Global Governance for Today and the Future”*. Rzeczywiście niektóre z oczywistych luk zostały w nim wypełnione. Ale bynajmniej nie ta najważniejsza.

Raport opublikowano, kiedy wojna w Ukrainie trwała w najlepsze. Wielu analityków i polityków na Zachodzie widziało w niej najpoważniejszy cios w wartości i wiarygodność ONZ. Oto bowiem Rosja – stały członek Rady Bezpieczeństwa gwałci Kartę NZ, dokonuje zbrodni wojennych, a za jego przywódcą zostaje wystawiony międzynarodowy list gończy za przestępstwa kryminalne. Wielu analityków i polityków na Zachodzie w klęsce Rosji lokowało nadzieję na swoisty katharsis, który pomoże przebudować także mechanizmy zarządzania globalnego. Otóż, proszę Państwa, odwołania do wojny w Ukrainie, jej globalnych reperkusji, w raporcie z 2023 r. nie znajdziecie w ogóle. Dla jego autorów to czynnik nie wart nawet formalnego odnotowania. Rozumiem, że w składzie Komitetu mógł dominować pogląd, że to po prostu jedna z wielu doświadczanych przez świat wojen w ostatnich latach. Ale pod raportem stoją m.in. podpisy byłego prezydenta Słowenii, byłego premiera Szwecji, byłej szefowej sztabu planowania Departamentu Stanu USA.

Jeszcze bardziej rozczarowujący brakiem politycznego spojrzenia był raport Grupy Refleksyjnej Wysokiego Szczebla ws. Rady Europy opublikowany w październiku 2022 r. Podpisało się pod nim grono bardzo zasłużonych i zacnych ludzi. Nie brakowało im odwagi do wygłoszenia krytycznych uwag, np. o stanie demokracji w Europie („democracy is in decline”), ale uwagi te uczyniono hurtowo, czyli miały one praktyczną przydatność porównywalną z określeniem „średniej temperatury pacjentów w szpitalu”. A przecież inne problemy z demokracją ma Francja, inne Polska czy Węgry, inne Turcja, a Azerbejdżan tym bardziej. Mniejsza z tym. Bo odwagi zabrakło zdecydowanie (być może za sprawą tzw. niewidzialnej ręki Sekretariatu), aby krytycznie spojrzeć na samą Radę Europy i jej działalność w ostatnim okresie. To zresztą znamienne, że ten reformatorski raport milczkiem potraktował błędy i słabości tkwiące wewnątrz organizacji. Można zrozumieć, że biurokraci (nie tylko w Radzie Europy) mają naturalną tendencję do popadania w nastrój samozadowolenia, a jeśli przyznają się do słabego działania instytucji, to obwiniają za to państwa członkowskie (bo za mało na organizację łożą, bo nie traktują jej z należytą powagą, etc.). Ale „mędracy”? Im przecież krytycznie spojrzeć na skuteczność instytucji i jej funkcjonariuszy nic nie broniło.

Tym bardziej, że moment aż się o to prosił. Albowiem wyrzucenie Rosji z Rady Europy w 2022 r. winno było posłużyć za impuls do refleksji, i to zasadniczej, a przynajmniej odpowiadającej na pytanie, dlaczego polityka Europy Zachodniej wobec Rosji uprawiana na forum Rady Europy poniosła taką klęskę.

Przypomnijmy, że do początku lat dziewięćdziesiątych Rada Europy funkcjonowała jako klub demokracji. Kiedy dochodziło do ataku na zasady demokratyczne w

państwach takich jak Grecja czy Turcja, natychmiast podejmowano sankcje (Grecja wyprzedzająco opuściła Radę w 1969 r., by wrócić w 1974 r. po obaleniu junty) a Portugalia i Hiszpania mogły doszłusować do Rady dopiero w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. Państwa bloku komunistycznego nie miały szansy o członkostwo się nawet ubiegać. Polska musiała przeprowadzić pierwsze wolne wybory w 1991 r., aby pozytywnie rozpoznano jej wniosek.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych strategię tę zmieniono. Przystano na przyjmowanie państw (postsowieckich i postkomunistycznych) mimo, że nie spełniały do końca wszystkich kryteriów ustrojowych (demokracja, praworządność, prawa człowieka). Obowiązywała strategia organiczno-adaptacyjna. Państwa te w chwili przyjęcia deklarowały zamiar usunięcia niedostatków, a członkostwo w Radzie Europy miało im w tym pomagać. Ale bardzo szybko okazało się, że niektóre z nich, a Rosja pod rządami Putina w szczególności, zamiast zaległości nadrabiać, coraz bardziej oddalały się od standardów RE, i to w sposób świadomy, wykalkulowany, cyniczny. Kierownictwo Rady Europy fiaska tej strategii nie wiedziało jak przyjąć do wiadomości. A w latach 2010-2021 z jawną ostentacyjnością już nie tyle nie wiedziało jak, ale nie chciało w ogóle przyjąć do wiadomości. Kiedy Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy zawiesiło delegację rosyjską w prawie do głosowania po aneksji Krymu 2014 r., władze RE postawili sobie za cel mimo wszystko Rosję udobruchać zmieniając tę decyzję. I przy współudziale m.in. ówczesnego polskiego ministra spraw zagranicznych udało im się swego w 2019 r. dopiąć.

A tu nie tylko o Rosję chodziło. Spójrzcie, co się działo wtedy z wartościami Rady Europy w Turcji czy Azerbejdżanie. Spójrzcie na jej bezsilne reagowanie na zwijanie demokracji na Węgrzech czy w Polsce.

Strategicznym więc pytaniem winno się stać, czy nie pora na zmianę podejścia, przynajmniej w pracach Komitetu Ministrów i Sekretariatu (bo Zgromadzenie Parlamentarne i tak będzie chodziło własnymi ścieżkami udając przy tym, że Rada Europy to właśnie oni, co śmiech może tylko wywoływać, bo statutowo rolę ono ma tylko doradczą, a decyzje polityczne leżą w kompetencji Rady Ministrów). Nie znajdziecie Państwo żadnej odpowiedzi na to pytanie. Pojawia się co prawda w raporcie wątek zintensyfikowania działań na rzecz wykonywania orzeczeń strasburskiego trybunału i możliwości wprowadzenia w tym kontekście nieokreślonych „stopniowanych sankcji”, ale przecież orzeczenia ETPCz to tylko część problemu.

Nic nie ma w raporcie odnośnie do przełamania dość poważnego ograniczenia w kompetencjach Rady Europy. Statut wyłącza z jej mandatu kwestie dotyczące obrony narodowej. Stało się tak w końcu lat czterdziestych z powodu znanych i zrozumiałych uwarunkowań politycznych. Dziś jednak zupełnie przebrzmiały. Ale w praktyce RE szerokim łukiem obchodziła więc kwestie bezpieczeństwa militarnego. Oczywiście zajmowała się ona (zwłaszcza Zgromadzenie Parlamentarne) problematyką konfliktów (ale nigdy w sposób czynny, np. przez próby mediacji), wojen (sankcje wobec Rosji), praw człowieka w konfliktach. Czy w czasach, kiedy bezpieczeństwo nabrało tak szerokiej definicji, kiedy samo pojęcie praw człowieka, interesów jednostki ludzkiej tak bardzo splata się z zagrożeniami bezpieczeństwa, nie pora na

rewizję dotychczasowych samoograniczeń? Oczywiście bez prób podciągania Rady Europy pod instytucję bezpieczeństwa zbiorowego, a tym bardziej zbiorowej obrony. Szczyt RE w Rejkiawiku w grudniu 2022 r. zresztą zdominowała kwestia wojny w Ukrainie i solidarności z Ukrainą. Nie pora więc na głębszą refleksję? Zwłaszcza kiedy OBWE została sparaliżowana, a Rosja blokować Rady Europy już nie jest w stanie.

Kolejna sprawa – Rada Europy z racji postawienia w centrum jej działalności praw człowieka mogłaby podjąć głębszą refleksję nad przybliżeniem głosu zwykłych obywateli ku jej działalności i w jej działaniach. Trudno o coś bardziej bliższego jednostce ludzkiej niż jej prawa. Nic z tego. Grupa Refleksyjna bardziej myślała o tym, jak przyciągnąć bliżej do organizacji liderów państw (i zaproponowała, aby częściej organizować spotkania na szczycie), Unię Europejską (postulując z nową mocą akcesję UE do Konwencji Praw Człowieka), ONZ (zapewniając wkład RE do przeglądów w ramach UPR), ale nie obywateli. Szkoda. A przecież mogłaby odegrać pionierską rolę. Pomysłów brakuje strasburskim strategom?

Spis poważnych pytań mógłbym mnożyć. Można łatwo je zbywać. Bo zmiana mandatu Rady nierealna, bo zmiana Statutu nie wchodzi w grę, bo głos obywateli nie może przytłumić głosu państw. Znam te śpiewki od biurokratów. Tylko po co angażować wybitne osobistości, jeśli one nie mają odwagi pomyśleć odważnie, a przynajmniej postawić trudnych pytań. Bo jeśli tak zacni byli politycy a obecnie „mędracy” ich nie chcą stawiać, państwa członkowskie nigdy do nich nie dojrzejają. Rada Europy (podobnie jak ONZ czy OBWE) kontynuować będzie swój strategiczny dryf. Dryf ku totalnej marginalizacji.

Niezdolność do adaptacji powoduje, że instytucje zamiast być rozwiązaniem stają się częścią problemu. Ich dewizą heraldyczną stało się: *Volui, sed non potui*.

Ale bynajmniej nie wolno ich postponować. Droga ku lepszemu światu wiedzie przez umacnianie instytucji, budowanie nowych, tworzenie z ich pomocą nowej kultury współpracy międzynarodowej – nie ma sporu.

XI. Instytucje międzynarodowe i obywatel

Co tu kryć (bo dla czytelnika tych rozważań jest to już ewidentne) – jestem zwolennikiem zmian śmiałych (choć niekoniecznie radykalnych) w funkcjonowaniu instytucji międzynarodowych, zwłaszcza globalnych, które, jak ONZ, nie nadążają za przemianami w świecie. I mam świadomość, że nie ma pomysłów idealnych, nie ma rozwiązań gwarantujących powodzenie. Ale nie mogę jakoś pogodzić się z tym, że autorzy tych wszystkich reformatorskich raportów, o których wspominałem wcześniej, już na samym wstępie stawiają mury dla własnej wyobraźni, boją się podejmować kwestii zawikłanych i kontrowersyjnych, nie chcą wprowadzać do dyskusji pomysłów odważnych i trudnych w realizacji. Podążają bezpiecznie sprawdzoną koleiną. Czy status „mędrca” musi wiązać się z bojaźliwością?

Nikt nie ma monopolu na dobre pomysły. Ale z doświadczenia wiem, że często rodzą się one pod wpływem ostrych dyskusji i sporów. A jeśli od razu wykluczamy z dyskusji kwestie trudne i kontrowersyjne, to nic wielkiego się z debaty nie narodzi.

Kierunek zmian w organizacjach międzynarodowych można sobie intuicyjnie wyobrazić. Jednym z punktów orientacyjnych daleko na horyzoncie jest wyzwolenie instytucji międzynarodowych spod monopolistycznej władzy rządów, wykorzystanie ich do budowy sieci wspólnego działania wszystkich aktorów polityki międzynarodowej, w tym zwłaszcza zwykłych obywateli, krzewienie tożsamości globalnej.

Raport „A Breakthrough for People and Planet...” sporządzony w 2023 r. w ramach przygotowań do oenietowskiego Szczytu Przyszłości opierał się na trafnym założeniu, iż multilateralizm winien wyjść poza krąg państw i objąć szerokie spektrum aktorów międzynarodowych (ślad ręki prof. Slaughter?). Ale już w sferze rekomendacji unikał raport rozwiązań odważnych, niesztampowych, choć i kontrowersyjnych. Nie stawiał nawet pytań. Proponował zatem wzmocnić głos społeczeństwa obywatelskiego, pozwalając przebywać przedstawicielom NGOs w korytarzach części konferencyjnej siedziby ONZ, sugerując im wykorzystywanie kanałów internetowych do komunikacji z organami ONZ. Słusznie chciał wzmocnić rolę kobiet i młodzieży, nadać specjalny status miastom i regionom, wprowadzić do prac ONZ przedstawicieli sektora prywatnego. Tylko, że są to rozwiązania bardziej symboliczne, a wręcz nawet pozorowane. Pozostają daleko w tyle za oczekiwaniami globalnych ruchów obywatelskich. Członkowie Panelu nie odnieśli się bezpośrednio do składanych przez te ruchy propozycji, chociażby dot. utworzenia ciała parlamentarnego czy ciała obywatelskiego. Wiadomo, że pomysły te teraz nie przejdą, bo niektóre wielkie państwa do tego nie dopuszczają, ale dlaczego nie podnieść statusu tych idei opisując je w raporcie?

W świetle rosyjskiej agresji na Ukrainę kluczowym dla wiarygodności ONZ stała się jej rola jako instrumentu bezpieczeństwa zbiorowego. I pierwotnie właśnie to miała być jej konstytutywna misja. W raporcie Panelu problem „skutecznego bezpieczeństwa zbiorowego” ujęto w oddzielny blok, ale ulokowano go jako piąty (przedostatni) w strukturze raportu i rekomendacji. Na samym już początku rozdziału autorzy postulowali rozszerzenie definicji bezpieczeństwa zbiorowego, aby jednoznacznie objęła ona tzw. potrójny kryzys planetarny (klimat i środowisko), przestępstwa ponadgraniczne i nierówności społeczno-ekonomiczne. Rozumiem, że autorzy milcząco zakładali, że definicja bezpieczeństwa obejmuje już naruszenia praw człowieka, praworządności i demokracji. Pisząc to umieszczam między wierszami tzw. mrugnięcie porozumiewawcze. Bo pewno nie zakładali.

Funkcjonariusze ONZ potępiają często przewroty wojskowe, jak choćby ostatnio ten w Nigrze (Gabonie, Burkina Faso, Mali, Czadzie), ale jako zagrożenie dla bezpieczeństwa organy ONZ ich nie zawsze traktują. Rada Bezpieczeństwa zareagowała na przewrót w Nigrze w 2023 r., ale tylko w formie oświadczenia Przewodniczącego. Praktycznych działań (sankcji) nie rozważano. Podobnie rzecz się ma z reakcją RB ONZ na masowe naruszanie praw człowieka czy standardów demokratycznych. Dyktatury i autokracje mają się w ONZ dobrze i żadnego dyskomfortu nie odczuwają.

Kluczowym dla skutecznego bezpieczeństwa zbiorowego autorzy Raportu uznali reformę Rady Bezpieczeństwa. Tu kolejna dygresja. Reformą RB zacząłem się zawodowo zajmować w 1996 r., czyli prawie u zarania dyskusji. Śledzę jej losy do dzisiaj. Dyskusja trwa 30 lat, a rezultatów nie widać. Propozycje Panelu poszły utartym szlakiem: zwiększyć liczebność Rady, ograniczyć prawo weta, rozważyć miejsca dla regionów kontynentalnych, rozciągnąć kadencję niestałych członków, uruchamiać ZO ONZ, kiedy RB jest niezdolna do działania.

Moja opinia jest jednoznaczna: Radę Bezpieczeństwa należy zlikwidować (zawiesić, hibernować, etc. na wzór Rady Powierniczej), a jej kompetencje przekazać do Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Koniec, kropka. Rada Bezpieczeństwa była produktem powojennych czasów. Miała utrwalić szczególną odpowiedzialność zwycięskich mocarstw za pokój w świecie. Miała zagwarantować ich materialny wkład w gaszenie konfliktowych pożarów. Miała zapewnić możliwość szybkiego działania. Już nawet nie chodzi o to, że świat dziś wygląda inaczej niż 75 lat temu, kiedy Radę tworzone. Ale większość tych oczekiwań niestety nie została spełniona. Radę Bezpieczeństwa należy więc rozwiązać. Zbudować zaś należy na bazie rezolucji ZO „Uniting for Peace” nowy algorytm działania i podejmowania decyzji (odpowiednio wysoką większością kwalifikowaną) Zgromadzenia Ogólnego dotyczących zwłaszcza wprowadzania sankcji i wszczynania działań przymuszających (włącznie z użyciem siły).

Podpuszczam? Prowokuję? Ależ owszem. Nie byłbym sobą. I wiem, wiem: społeczność międzynarodowa jeszcze do tego nie dojrzała. Ale naprawdę żaden „mędrzec”, żadna „osobistość wysokiego szczebla” zatrudniona do podpisywania owych reformatorskich raportów nie ma śmiałości opowiedzieć się za takim rozwiązaniem? Ej, moi kochani polityczni celebryci, pora, abyście się w końcu odważyli puścić się poręczyć.

A skutek tej jazdy na zaciągniętym hamulcu jest taki, że losy ONZ i wielu innych instytucji już dawno przestały obywatela interesować. A pojawił się za to, niewątpliwie wzorowany na podejściu Trumpa, ruch DOGE-UN, który postuluje szokową terapię odchudzającą. Sekretarz Generalny zareagował przedkładając własną wizję cięć (UN80). Szkoda, że tak późno i skromnie. I

pod presją finansową, bo zaległości składowe państw sięgnęły poziomu połowy budżetu organizacji. Ale systemowego problemu wiarygodności ONZ te pociągnięcia nie rozwiążą.

Nie dziwota, że żadnego zainteresowania w naszym kraju nie wywołało nawet sprawowanie przewodnictwa w OBWE w 2022 r. Może to i dobrze, bo było to przewodnictwo bez wizji i ambicji. Jedyne, co może zostać zapamiętane, to zablokowanie udziału Ławrowa w spotkaniu ministerialnym OBWE w Łodzi i umieszczenie Łodzi na mapie dyplomacji ministerialnej.

Co dalej z OBWE? W lutym 2022 r. polska prezydencja podjęła inicjatywę ożywienia OBWE jako platformy dialogu, czyli inicjatywę tzw. Renewed OSCE European Security Dialogue (RESO). Lektura wygłoszonych w ramach owego dialogu przemówień nie pozostawiała złudzeń: osiągnięto tam himalaje myślenia życzeniowego. I tyle z tego dialogu pozostało. Po pierwsze, dialogiem muszą być zainteresowane wszystkie strony, a Rosja nim nie była. Po drugie, musi być prowadzony na szczeblu istotnym, a nieobecność kilku ministrów spraw zagranicznych Zachodu (w tym USA) i samego Ławrowa (słusznie zbanowanego) choćby na spotkaniu łódzkim, rangi OBWE jako forum dialogu nie podniosła. Bo nie był to czas na dialog. I nie da się go administracyjnie zadekretować.

OBWE od końca lat dziewięćdziesiątych przeżywała kryzys egzystencjalny. Za Putina Rosja nie kryła już zamiarów zniszczenia organizacji. W styczniu 2005 r. Putin powiedział to wprost Kwaśniewskiemu. Bo przeszkadzały Rosji opinie ODIHR w sprawie wyborów, działalność misji OBWE, jej wkraczanie w sprawy „wewnętrzne” na tzw. obszarze post-sowieckim. A nawet wcześniej, jeśli chciała Rosja rozmawiać o bezpieczeństwie europejskim, to przecież nie w formacie ponad 50 państw, ale w formacie „koncertu mocarstw”. I takie propozycje składała jeszcze przed dwoma dekadami. Dialog ogólnoeuropejski ją tak naprawdę nie interesował.

Stany Zjednoczone w międzyczasie wyraźnie obniżyły skalę swojego zaangażowania politycznego w OBWE, zwłaszcza po 11 września 2001 r., i postanowiły wykorzystywać OBWE w celach pomocniczych (zaangażowanie w Azji, Afganistan, Mongolia, etc.).

Unia Europejska inwestowała zaś we własne instrumenty polityczne (i słusznie), czyli we wspólną politykę zagraniczną, Partnerstwo Wschodnie, proces berliński dot. Bałkanów Zachodnich i in.

Marginalizację roli politycznej OBWE kompensowano rozlicznymi programami operacyjnymi, które dublowały działalność RE, UNDP, UE, Banku Światowego. A w wymiarze dialogu dyskusje na forum OBWE przekształcały się „shouting

match” Zachodu z Rosją i Białorusią, i to strywializowanego propagandą na poziomie debat w ZO ONZ.

Sugerowałem przed dekadą, że to właśnie Unia Europejska powinna zainicjować (choćby teraz w ramach tzw. Europejskiej Wspólnoty Politycznej) poważną debatę nad przyszłością OBWE. Tak się nie stało. Szkoda.

Od ponad dwóch lat zachodni politycy i eksperci boją się postawić wprost pytanie, czy OBWE z Rosją Putina i Białorusią Łukaszenki ma w ogóle sens. Bo jeśli nie ma, to trzeba wyciągać z tego jakieś konsekwencje. Odważne. Ja, broń Boże, wygaszać OBWE czy ją rozwiązywać nie postuluję. Ale oczekuję przynajmniej trzeźwego spojrzenia na jej możliwości.

KBWE potrafiła trafić do masowej świadomości społecznej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (a jeszcze do dziś funkcjonują przecież „komitety helsińskie”). Dziś OBWE do świadomości zwykłego obywatela zupełnie nie dociera. Nawet w Azji Centralnej i w Mongolii.

Rozszerzona Europa jako konstrukt geopolityczny ma nadal sens. Ale dopiero po demokratyzacji Rosji i Białorusi, i wtedy trzeba będzie zbudować jej nowe podstawy. Z aktywnym udziałem nowej Rosji.

Co stworzyłoby przy okazji szansę wprowadzenia do nowej instytucji wymiaru obywatelskiego.

Męczyć może już państwa ten „obywatel” wtykany przeze mnie do rozważań o reformie instytucji międzynarodowych. Powtórzę moje przekonanie, że to właśnie obywatel jest dla mnie najsolidniejszym nośnikiem czynnika moralnego w stosunkach międzynarodowych. A bez tego daleko się już nie zajdzie w naprawianiu świata.

W swoich wykładach „Obywatel i polityka światowa” (plik do pobrania na moim blogu) opisywałem, że problemem dla stosunków międzynarodowych od zawsze było to, że moralność wewnątrzplemienna (wewnątrznarodowa) i moralność międzyplemienna (międzynarodowa) kierowały się dwiema odmiennymi filozofiami moralnymi. Kodeksy moralne ewoluowały, ale, jak twierdzą słusznie badacze, etyka międzynarodowa pozostawała wieki opóźniona w stosunku do etyki wewnątrz państw, etyki ludzkiej. Czy kiedykolwiek etyka międzynarodowa może zostać oparta na kanonach etyki ludzkiej? Brak uniwersalnego kodu moralnego wyrasta jako przeszkoda nie do pokonania. Do tego jeszcze dochodzi dodatkowa komplikacja, wynikająca z tego, że etyka zbiorowa zawsze różnić się będzie od etyki indywidualnej. Jest więc tylko droga okrężna – rozwijanie prawa międzynarodowego. Dla wielu ekspertów prawo międzynarodowe jest niewątpliwie formą kodu moralnego,

bo jego stosowanie w bardzo znaczącej części nie jest podparte sankcją, a prawo bez sankcji bardziej przypomina normę moralną niż prawo sensu stricto.

Traktowanie instytucji międzynarodowych jako platformy dialogu międzyrządowego jest więc dziś podejściem wysoce minimalistycznym.

Unia Europejska jest jedyną organizacją, która chce pokazać, że ceni sobie głos obywatelski, że chce mu nawet nadać moc sprawczą. Ma w tym oczywiście interes polityczny, albowiem, jak pisałem w poprzednim rozdziale, boleśnie się przekonała, że bez obywatelskiej zgody, a przynajmniej zrozumienia, rozwijać się dalej nie może. Ale nawet i w przypadku Unii mechanizmy łączenia się z obywatelem są nadal dość okazjonalne i płytkie. A i obywatel nie za bardzo ma głowę do prowadzenia regularnego dialogu. Wykorzystują to tzw. ruchy aktywistyczne, które czasami wręcz obywatelską bierność wykorzystują i się pod głos obywateli podszywają. Bo obywatel zawsze działać będzie w sposób reaktywny, kiedy wyczuje w powietrzu ze strony instytucji politycznych zagrożenie. W społeczeństwach dobrobytu, jak kiedyś opisywał to Habermas, naturalnym odruchem jednostki ludzkiej jest ochrona przestrzeni prywatnego życia („lifeworld”), czyli rodziny, życia osobistego, wyborów konsumpcyjnych przed widzialną i niewidzialną ręką państwa i rynku. Wykorzystują to zresztą przechennie autokraci (w Rosji czy Chinach) i proponują diabelskie pakt nienaruszalności przestrzeni prywatnej i rodzinnej w zamian za rezygnację jednostki z aktywności na politycznej i społecznej agorze.

A ja jednak będę powtarzał, że jedyną nadzieją na znalezienie dobrych odpowiedzi na wyzwania współczesnego świata jest nie tyle zbiorowa mądrość państw, czy instytucji międzynarodowych, ale zbiorowa mądrość obywateli.

XII. Pax technologica – Pax mechanica – Pax post-humana – Pax Gaia

Postęp techniczny napędza historię. To, że dokonująca się obecnie rewolucja technologiczna zmienia świat, nie podlega dyskusji. Możliwości, jakie stworzyła cyfrowa technologia i Internet, były pierwszym impulsem uruchamiającym naszą wyobraźnię. Jeremy Rifkin przed laty do Internetu dodawał jeszcze jako faktor zmiany energię odnawialną. Miały nowe źródła energii zdemokratyzować energię, przeobrazić ekonomikę, społeczeństwo, politykę. Demokratyzacja energii zaś miała przeorganizować władzę. Potęgę miała układać się horyzontalnie. Rifkin wprowadził pojęcie „lateral power”. Kapitalizm funkcjonowałby w sposób rozproszony. Mastodontowe twory gospodarcze i polityczne miałyby wymrzeć. Tyrania własności

zastąpiona byłaby przez prawo dostępu. Gospodarka funkcjonowałaby na zasadzie współdzielenia. Prawo własności intelektualnej przestałoby obowiązywać. Któż by tego nie chciał? Nic tylko kibicować udanej realizacji ambitnych celów „Fit for 55”.

Jeszcze bardziej emocjonalnie poruszyło naszą wyobraźnię wykorzystanie możliwości „big data”. Społeczeństwo miałoby otrzymać narzędzia przewidywania przyszłości i kształtować ją z pomocą gotowych algorytmów.

Dziś wstąpiliśmy na wyższy jeszcze poziom rewolucji – poziom związany ze sztuczną inteligencją. Już Hawking zapowiadał, że rozwój sztucznej inteligencji oznaczać będzie kres rodzaju ludzkiego. Dekady temu Fukuyama chciał opisywać „post-ludzką cywilizację”. Kurzweil wieszczył, że około roku 2040 „osobliwość”, wynikająca z organicznego połączenia sztucznej i ludzkiej inteligencji, zacznie przejmować rządy nad światem. Nawet jeśli przyjąć, że znów zadziała prawo prognostyczne stanowiące, że wszystko stanie się później i inaczej niż planujemy, to wizja Kurzweila zmusza do zadumy.

Dziś badanie następstw cyfrowej rewolucji, big data i sztucznej inteligencji w odniesieniu do stosunków międzynarodowych skupia się na militarnym wykorzystaniu nowych technologii. Cyfrowe narzędzia wykorzystywane są już teraz do prowadzenia hybrydowych wojen. Automatyzacja wyboru celów, masowe wykorzystanie bezpilotowych statków i pojazdów, zdalne paraliżowanie sieci zarządzania i kluczowej infrastruktury stały się bazowymi elementami sztuki wojennej. Sprawdzono już w użyciu roboty-zabójców (Izrael ponoć zgładził irańskiego naukowca nuklearnego Mohsena Fakhrizadeha z pomocą automatycznej broni). Testowane są w praktyce autonomiczne pociski (które cel wybierają sobie same w sposób inteligentny). Dochodzą do tego nowe możliwości biofizycznego udoskonalenia zdolności bojowych żołnierza.

Nie dziw, że tuż myśli strategicznej zaczęły badać skutki sztucznej inteligencji dla polityki międzynarodowej. Nawet sam Henry Kissinger dobiegający wtedy setki lat współfirmował znaczącą publikację poświęconą sztucznej inteligencji. Główne zmartwienie strategów sprowadza się do tego, że sztuczna inteligencja przyspieszy tempo decyzji militarnych, w tym dotyczących wydarzeń na polu boju, i wywoła nieznane w przeszłości ryzyko niezamierzonych uderzeń, zmasowanych odpowiedzi na fałszywe alarmy czy przypadkowe incydenty. Tempo wydarzeń wyprzedzać będzie sprawność ludzkich procesów decyzyjnych. Jeśli zaś wojna przejdzie pod dowództwo sztucznej inteligencji, nie będzie możliwości uruchamiania także niezbędnych mechanizmów politycznych i dyplomatycznych ją zapobiegających lub zatrzymujących.

Wysokie ryzyko nieopanowania skutków awarii nuklearno-rakietowych towarzyszy nam od wprowadzenia atomu na uzbrojenie armii. Incydentów, które mogły wywołać globalny konflikt nuklearny, było w minionych 60 latach co najmniej kilkanaście. Wszystkie udało się rozładować. Przede wszystkim dlatego, że sygnały alarmowe interpretował człowiek. W przyszłości jednak nie będzie dla niego już miejsca. Dobrze, że uznane mocarstwa nuklearne zdają sobie z tego sprawę. Mają procedury postępowania w przypadkach fałszywych alarmów. Ale co robić, jeśli grupy

przestępcze, terroryści międzynarodowi, a nawet państwa występne zaczną czynić użytek ze sztucznej inteligencji, aby celowo zaśmiecić przestrzeń sygnałami o fałszywych atakach po to, aby zwyczajnie sprowokować algorytmy państw nuklearnych do wojny? Znamy taki scenariusz już od czasu „Żyje się tylko dwa razy” z serii filmów o Jamesie Bondzie.

Jednakowoż możliwe zastosowanie sztucznej inteligencji wykracza daleko poza sferę twardego bezpieczeństwa. Można ją stosować także w miękkich celach polityki zagranicznej. Także niestety w celach niecnym.

Technologie cyfrowe są już teraz wykorzystywane w sposób agresywny do osłabienia innych państw i społeczeństw. Z ich pomocą próbuje się wpływać na wyniki wyborów i nastroje społeczne. A co najgorsze, stosuje się te technologie dla autorytarnej kontroli nad własnymi społeczeństwami. Chiński system społecznego zaufania uświadamia, że jest czego się bać.

Cieszy, że w listopadzie 2023 r. udało się uzgodnić na spotkaniu w Bletchley pierwszą międzyrządową deklarację, pod którą podpisały się m.in. i Unia Europejska, i USA, i Chiny, analizującą ryzyka związane ze sztuczną inteligencją i sygnalizującą chęć współpracy międzynarodowej.

Chciałem się przekonać, co sama sztuczna inteligencja sądzi o swoim wpływie na dyplomację. Oto uzyskana już jakiś czas temu odpowiedź (po angielsku). Znamienne, że sztuczna inteligencja widzi głównie same pozytywy. Naiwność to czy dalekowzroczny podstęp?

„AI can influence diplomacy and international relations in various ways, such as:

- Improving national policymaking processes by using AI to identify problems, analyze data, generate solutions, and evaluate outcomes.
- Supporting diplomatic activities by using AI to assist in negotiations, research, communication, translation, and information management.
- Enhancing diplomatic security by using AI to monitor personnel, detect anomalies, and prevent cyberattacks.
- Creating new challenges and opportunities by using AI to disrupt the global balance of power, foster cooperation or competition, and raise ethical and legal issues.”

A zachodni prorocy wpływu rewolucji technologicznej na świat opisują przecież od lat przyszłość w dystopijnych barwach. Jedni, jak kiedyś Robert Gordon, zapowiadają rozwojową stagnację, „gospodarkę post-wzrostową”. Już dziś sztuczną inteligencję widzi się jako czynnik upadku wielu dziedzin gospodarki, źródło masowego bezrobocia, obniżenia poziomu płac, zwiększenia nierówności społecznych. Piketty wystraszył nas parę lat temu wystarczająco perspektywą rentierskiego świata, w którym to renta z nagromadzonego bogactwa, a nie zysk i praca, staje się przepustką do dobrobytu. Tyler Cowen zaś opisując „społeczeństwo post-pracy”, oparte na tyranii kompetencji („tyrany of merit”), większą jego część traktuje jako ludzi zbędnych, wypełniających czas zajęciami społecznie zupełnie bezproduktywnymi.

Fukuyama zapowiadał nowe podziały klasowe, wielkie pęknięcia na tle kryterium sprawiedliwości, związane z dostępem do technologii przedłużających życie.

Co pociesza, to fakt, że życie wnosi korekty do sporządzanych dekadę temu wizji przyszłości. Technologie cyfrowe jednak powodują wzrost gospodarczy, nierówności aż tak nie rosną, pojęcie „zbędności” jest wysoce względne.

Zachodni badacze przyszłości nawet jeśli uznają, że nowe technologie zapewnią człowiekowi zdrowie, wydłużą mu niesłychanie życie do granic nieśmiertelności, napełnią (jak pigułki Huxleya) szczęściem, wyposażą w nadludzkie możliwości, to zawsze gdzieś znajdą „dziurę w całym”. Jak Harari, który wystraszył nas, że wszystkie te zdobycze okupimy utratą najwyższego dobra człowieka – utratą osobistej wolności. Algorytmy będą przewidywać, kształtować i zaspokajać wszelkie nasze potrzeby. Staniemy się kukiełkami w teatrze cyfrowych dyktatur.

Sławoj Żiżek radził wszakże nie traktować wolności jako absolutu. Pisał, że wolność to słaby fundament kapitalizmu, pusty w środku. Zachód wykoślawił pojęcie wolności, a zachodnie społeczeństwo zmusza nas do dokonywania „wolnych” wyborów.

Ludzie Zachodu uciekają więc od wolności, a nowe technologie tylko im w tym pomogą.

A tak na poważnie, będą ludzie gotowi ją poświęcić w imię wyższych wartości. Tak jak dla wyższych wartości są obecnie gotowi poświęcić poziom dobrobytu. Nie spełniła się przepowiednia konsumpcyjnego amoku. Czyste i bogate środowisko naturalne okazało się dla wielu ludzi Zachodu (zwłaszcza młodych) celem istotniejszym od konsumpcji. Nie chcą oni jeździć samochodami, jeść mięsa, latać samolotami, bo szkodzi to klimatowi.

Rewolucja technologiczna ma także wstrząsnąć kodeksami etycznymi. Harari prorokował powstanie nowej (świeckiej) religii, czyli dataizmu.

Co ciekawe, opisy przyszłości w Chinach i innych państwach Azji, zamieszczane choćby w literaturze science fiction, barwy mają zdecydowanie bardziej różowe. Na Zachodzie dystopie bardziej dostrajają się do ogólnych nastrojów w społeczeństwie. Starzejące się społeczeństwa pełne są zmęczenia i strachu, co Bauman i spółka dawno już wnikliwie opisali. Jeśli pojawiają się nutki utopijne, to w wydaniu nostalgicznym jako retrotopia.

Spółeczeństwo nowych podziałów, nowych konfliktów społecznych będzie musiało przebudować istniejące instytucje, w tym państwo i mechanizmy zarządzania, instytucje polityczne. Czy ostaną się nam partie polityczne? Czy parlament w takiej postaci, w jakiej uformował się trzysta lat temu, będzie miał w ogóle sens? Czy sens będą miały oparte na rywalizacji politycznej wybory?

A jeśli na nowo ułożą się mechanizmy funkcjonowania życia społecznego i politycznego w obrębie tradycyjnie pojmowanych państw, to jak wyglądać będzie

współzycie międzynarodowe w epoce, którą Ayesha i Parag Khanna przed dekadą ochrzczili jako Pax Technologica? Czy państwa ją w ogóle przetrwają?

Czy rządy technologii mają być jedyną nadzieją na radykalną przebudowę porządku międzynarodowego? Wielu sądzi, że tak. Bo tak same z siebie obecne elity polityczne kluczowych państw nic przełomowego nie wymyślą. W tytule wpisu dałem zresztą kilka alternatywnych określeń na nowy kształt porządku. Mnie najbliższy jest Pax post-humana.

Obietnica dobrej przyszłości w stosunkach międzynarodowych opiera się na kilku filarach.

Po pierwsze, wedle wielu prognoz, straci na znaczeniu przestrzeń, a tym samym – terytorium i imperatyw kontroli nad nim. Kluczem do bogactwa przestaną być fizyczne zasoby. Kluczem do społecznego szczęścia przestanie być fizyczny „Lebensraum”. Upadną więc główne przyczyny konfliktów i wojen.

Po drugie, potęga przestanie mieć znaczenie. Ulegnie rozproszeniu. W gospodarce i polityce dominować będą mikropotęgi (jak zapowiadał Moises Naim). Dominacje i hierarchie zostaną zastąpione przez sieci. Argument siły nie będzie przynosić zakładanych skutków.

Po trzecie, w decyzjach politycznych przeważać będzie racjonalność. Sztuczna inteligencja wyeliminuje z procesu decyzyjnego emocje, zwłaszcza te niedobre, jak gniew, strach, nienawiść, żądza zemsty. W stosunkach międzynarodowych zaniknie dyktat honoru, przymus wychodzenia ze sporu „z twarzą”. Czy dobre emocje, jak empatia i solidarność, uda się przemycić do maszynowych algorytmów, to wątpliwa sprawa. Bo maszyny zdaje się nie rozróżniać emocji dobrych od złych. Ale może te dobre emocje jakoś ocalić się uda. Przyzwyczaić się jednak trzeba, że komunikaty polityczne przypominać będą monologi kapitana Spocka ze „Star Treku”.

Po czwarte, zaniknie przemoc jako problem systemowy. Racjonalizacja zachowań politycznych spowoduje uznanie siłowych metod za nielogiczne i szkodliwe dla wszystkich stron konfliktu interesów. Przemoc przestanie się opłacać. Bauman twierdził co prawda, że dopóki istnieć będzie przymus, będzie konieczność przemocy. Ale przecież, jak pokazują to chociażby doświadczenia Unii Europejskiej, dla egzekwowania wyroków Trybunału Sprawiedliwości, czy dyrektyw Komisji Europejskiej nie trzeba używać argumentu czołgów.

Po piąte, zbiorowością rządzić będą prawa, a nie narzucona moralność. Sztuczna inteligencja nie potrafi myśleć w kategoriach moralnych. Ale jednostka ludzka nie przestanie być istotą moralną. Uwolni się ona wszakże od balastu norm zbiorowej poprawności.

Po szóste, dominować będzie kultura współdziałania i wspólnej korzyści. Nie będą musiały czuwać nad nią instytucje, ani państwa światowego, ani państw narodowych (cokolwiek by się z nimi miało stać). Ludzie przestaną upatrywać w migracji jedyny sposób na zapewnienie sobie godnego życia.

Tę listę dobrych zmian można kontynuować. I stworzyć nawet katalog przykazań nowej religii technoutopijnej w stosunkach międzynarodowych.

Nie ma to jednak większego sensu. Przede wszystkim dlatego, że nie potrafimy stworzyć wspólnej marszruty prowadzącej nas do spełnienia owej obietnicy. Nowa rzeczywistość Pax technologica nie może liczyć na katalityczne działania ze strony istniejących struktur i instytucji. Ona będzie powstawać spontanicznie, częstokroć wchodząc z nimi w zware.

Strategia przejścia nie została dotąd przez nikogo przekonująco przedstawiona. A musi ona podsunąć pomysły na rozwiązanie kilku co najmniej nierozwiązywalnych w dzisiejszych warunkach problemów.

Po pierwsze, musi pokazać, jak uwolnić świat od broni nuklearnej. Dopóki broń ta istnieje, zawsze będzie ryzyko, że do Pax post-humana nigdy nie dojdziemy. A nie pozbedziemy się jej (mimo pięknych wizji prezydenta Obamy z początków jego rządów), dopóki tak silny będzie pogląd, że to dzięki jej istnieniu świat nie pogrążył się w globalnej wojnie wszystkich ze wszystkimi w czasie zimnej wojny i do chwili obecnej. Nie pozbedziemy się jej, dopóki państwa upatrują w jej posiadaniu będącą jedyną solidną gwarancję własnego bezpieczeństwa, a nawet istnienia. Bo tak myśli już nie tylko Korea Północna, ale i Rosja, a z czasem tak myśleć będą Chiny, jeśli kontynuować będą kurs na konfrontację z Zachodem.

Po drugie, strategia przejścia musi dać odpowiedź na pytanie, jak zapewnić równowagę w środowisku naturalnym, zapobiec jego degradacji, uszczupleniu zasobów naturalnych niezbędnych do zapewnienia godnego życia cywilizacji, która za lat kilka-kilkanaście osiągnie maksymalny pułap z punktu widzenia wydolności Ziemi do podtrzymania jej funkcjonowania. Za 40 lat nie będzie już dostępnych, a nieodkrytych, zasobów ropy i gazu, nie będzie rezerw pól uprawnych, a przede wszystkim zasobów pitnej wody do zaspokojenia potrzeb dziesięciomiliardowej populacji. Oczywiście technologia pomoże. Ale turbulencje wywołane niekontrolowanymi zmianami klimatycznymi mogą rozkołysać cały system stosunków międzynarodowych, mogą podzielić i zbarbaryzować świat.

Względem zmian klimatu udało się społeczności międzynarodowej uzgodnić cel działania (powstrzymać wzrost temperatury nie wyżej niż o 2 stopnie Celsjusza, a jeśli się da, to o 1,5 stopnia) i stworzyć procedurę negocjacyjną (COP), ale zobowiązania podjęte przez państwa nie mają w pełni uniwersalnego charakteru, a co najgorsze, mimo ich prawnie wiążącego charakteru, są one dość miękkie, bo sankcji żadnych przecież nie zakładają. Może cel uda się osiągnąć, ale co, jeśli się nie uda? Czekają nas wstrząsy gospodarcze, przemieszczenia ludności, zniknięcie kilkunastu państw wyspiarskich z mapy świata? Czy rewolucja sztucznej inteligencji pomoże w poradzeniu sobie z tym wyzwaniem? Niektórzy twierdzą, że tak. Twardych dowodów jeszcze brak.

Po trzecie, musimy mieć gwarancje zapewnienia wewnętrznej kohezji naszych społeczeństw w warunkach gwałtownych zmian technologicznych. Będą bowiem mieć miejsce poważne zmiany w strukturze siły roboczej. Nałożą się na to zmiany

demograficzne, które mogą spowodować nie tylko kryzys w systemach emerytalnych. Spadek przyrostu naturalnego będzie dotyczył nie tylko Zachodu czy Chin. Najdłużej będzie mu się opierać Afryka Subsaharyjska. Ale nim sytuacja demograficzna się ustabilizuje, problem migracji i napięć na tle nierówności dochodowych będzie się pogłębiał. Teraz tzw. nawis migracyjny (liczba potencjalnych migrantów) przekracza miliard ludzi, i to w sytuacji, kiedy już prawie trzysta milionów ludzi w świecie to migranci. Będzie ów nawis rósł i się uwalniał? Bo COVID-19 dał tylko chwilowe osłabienie presji migracyjnej.

Większość analityków przyszłości uspokaja, że do rewolucji społecznych w świecie już nie dojdzie. Nie będzie erupcji gniewu na miarę rewolucji francuskiej 1789 r., a tym bardziej rewolucji bolszewickiej 1917 r.. Gniew się rozprasza, uziemia. Jak chciał Sloterdijk, przestał gniew podsycać zachowania społeczne. Ruchy protestu na Zachodzie po kryzysie 2008 r. okazały się efemerydą. Nawet masowe protesty we Francji w l. 2022-2023 (na tle reformy emerytalnej) były dla reszty świata widowiskiem stricte telewizyjnym. Tu i ówdzie mogą padać dyktatury, tu i ówdzie pobić się między sobą generałowie, tu i ówdzie wojna domowa może doprowadzić do rozkładu państwa. Ale rewolty mas na skalę powszechną na horyzoncie nie widać.

Całe też szczęście, że nie pojawiła się żadna ideologia, która rewoltę mogłaby podgrzewać. A kiedy sztuczna inteligencja zapanuje nad światem, to miejsca dla ideologii (i tak już dziś bezprecedensowo skurczonego) po prostu zabraknie.

Czy na tle skutków społecznych działania sztucznej inteligencji dojdzie do poważniejszych napięć? Raczej wątpliwe. Co bynajmniej nie powinno demobilizować społeczeństwa i polityków w opracowaniu zasad stosowania sztucznej inteligencji.

Po czwarte, powinniśmy mieć zabezpieczenia łagodnego przebiegu konwergencji kulturowej w świecie. Całe szczęście upadła przepowiednia Huntingtona o starciu cywilizacji. Konfrontacja na tle religijnym w świecie będzie prawdopodobnie tracić na ostrości. Głównym argumentem jest postępująca laicyzacja społeczeństw. Nikt, zdaje się, nie będzie w stanie jej się oprzeć, nawet kraje islamskie. Mogą oczywiście przejściowo nasilić się wojny kulturowe w ramach społeczeństw. Dziś niepokoi taka perspektywa w Stanach Zjednoczonych (podział na tle prawa do aborcji i nie tylko). W niektórych państwach część sił politycznych widzi w wojnie kulturowej sposób na sukcesy wyborcze (w Polsce, na Węgrzech), albo wręcz na legitymizację autorytarnej władzy (Rosja).

W polityce międzynarodowej aspekt ten jest marginalizowany. Być może słusznie. Być może da się zapewnić społeczeństwom poczucie bezpieczeństwa kulturowego bez uciekania się do regulacji międzynarodowych.

Z powyższego przeglądu wynika, że najważniejszym zagrożeniem dla Pax post-humana byłyby wojna nuklearna. No i oczywiście, uderzenie wielkiego meteorytu (atak ze strony pozaziemskiej cywilizacji w przewidywalnej przyszłości wykluczamy). Jacques Attali proponował zresztą kiedyś utworzenie światowej agencji, której zadaniem byłoby wczesne wykrywanie podobnych pozaziemskich zagrożeń i im zapobieganie. Nikt nie potraktował go poważnie. I nadal nie traktuje. W ten sposób

godzimy się zdawać na potęgę technologiczną Stanów Zjednoczonych. Bez niej z meteorytowym zagrożeniem (nawet siłami Chin czy Rosji) rady sobie świat nie da. A i z zagrożeniem nuklearnym świat bez USA też sobie przecież nie poradzi.

Bez USA świat więc w dobrą stronę daleko nie zajdzie?

(Na podstawie wykładu na seminarium w Sztokholmie/Lidingö w maju 2015 r.)

XIII. Demokracja i przywództwo

Wszystkie państwa są równe (pod względem prawnomiędzynarodowym), ale pod względem politycznym (na skutek różnic w potędze) – jedne są równiejsze od innych. Prawda to stara i niepodważalna. Te zasadnicze nierówności powodują, że system współżycia międzynarodowego opiera się na hierarchii potęg. Stosunki międzynarodowe mają więc charakter hierarchiczny (bo jedne państwa są ważniejsze od innych) i anarchiczny (bo nie ma żadnej legalnej władzy nadrzędnej). W sposób więc spontaniczny relacje między poszczególnymi państwami układają się w formuły dominacji (hegemonii), rywalizacji (współzawodnictwa), walki (konfrontacji), współpracy (sojuszu) bądź izolacji (tj. braku relacji, bo brak relacji jest formą relacji).

W przeszłości potęga była utożsamiana z przywództwem. Politycy nadawali ton najsilniejsi.

Dzięki Tukidydesowi wiemy dokładnie, jak wyglądała rywalizacja o miejsce w hierarchii potęg greckich państw-miast. Wiemy też, na czym polega wielki dylemat w obliczu nabierania potęgi przez jednego z partnerów, rosnącej ponad rozmiar i zagrażającej dotychczasowemu hegemonowi, czyli tzw. pułapka Tukidydesa.

Pamiętamy z lektur o starożytności, jak gwarantować stabilność może totalna dominacja, czy to w wydaniu rzymskim czy chińskim.

Paul Kennedy, znakomity badacz imperiów, na gruncie europejskiej historii sformułował był zasadę trzech supermocarstw. W wieku XVIII upostaciowił ją trójkąąt Hiszpania – Anglia – Francja. W wieku XIX zaś: Wlk. Brytania – Prusy – Rosja. Początek XX wieku zdominował układ Niemcy – Wlk. Brytania – USA.

Po 1945 r. zasada trzech supermocarstw obowiązywać przestała. Do 1990 r. świat obracał się pod muzykę odgrywaną przez duet USA i ZSRR. Po zimnej

wojnie zdaliśmy się na jednobiegunowość „Pax Americana”, koncert solowy Amerykanów.

Od dobrej dekady najwybitniejsze umysły stosunków międzynarodowych przekomarzają się, ileż to mocarstwowych biegunów powinien i mieć będzie nowy system światowego przywództwa. Jak państwo już wiedzą, mnie udział w tej dyskusji, a nawet jej śledzenie, od strony koncepcyjnej zupełnie nie ciekawi. Politycznie oczywiście trochę tak, ale tylko trochę. Bo relacje między biegunami określają pogodę w polityce międzynarodowej.

Dziś potęga utożsamiana z przywództwem już tak ściśle nie jest. Stoi za przywództwem zdolność do definiowania agendy międzynarodowej, wyznaczania kierunków polityki międzynarodowej, zdolność do pociągania za sobą (przykładem, perswazją, ale też niestety i naciskiem, a nawet siłą) pozostałych członków społeczności międzynarodowej. Ale niestety od pewnego czasu prymat gołej potęgi wraca. Hołdowała jej Rosja w doktrynie putinizmu (a i Chiny), a po powrocie Trumpa do władzy znalazła też odbicie w doktrynach amerykańskich („pokój przez siłę”).

Można dziś jednak nadal dysponować olbrzymią potęgą, w tym militarną czy gospodarczą, ale aspiracji do przywództwa nie zdradzać żadnych. Przez lata Niemcy nazywano ekonomicznym olbrzymem i politycznym karłem. Dziś dysonans ów egzystencjalny przeniesiono na Unię Europejską jako taką. Unia, będąc największym blokiem gospodarczym świata, w politycznych sporach dyszkancikiem słabowitym się wypowiada. Japonia – gigant przecież gospodarczy, co najmniej od lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku, żadnego szerokiego fanklubu ciągnąć za sobą nawet w Azji nie zamierza. Chciałyby być może Chiny przewodzić nawet całej grupie państw rozwijających się, ale nie zawsze się im to przecież udaje. Xi zgłaszał nawet zajawkę na odgrywanie roli rzecznika procesu globalizacji. Indie aspiracje deklaratywnie mają globalne, ale nadal realizują je regionalnie i regionalnie są one nadal kontestowane (nie tylko przez Pakistan). A już Rosja tęsknoty do przywództwa musi godzić z oczywistymi porażkami, bo wypchnięto ją z Bałkanów, a erozja wpływów na tzw. postsowieckim obszarze postępuje. Nie dość, że definitywnie wyrwały się spod przywództwa rosyjskiego Ukraina, Mołdowa czy Gruzja (okazuje się, co prawda, że nie do końca nieodwracalnie), to jeszcze czekać, aż wyswobodzi się Armenia.

Śmieszą mnie więc próby zadekretowania sześciu czy nawet więcej biegunów w polityce światowej, czynione tu i ówdzie przez polityków i strategów, bo większość tych biegunów albo nie przejawia energii przywódczej, albo nie posiada elementarnej atrakcyjności, aby ku nim inne państwa chciały same, z własnej nieprzymuszonej woli ciążąć.

Cóż więc dziś znaczy przywództwo? Posiłkując się moimi rozważaniami z „Klepsydry i tronu”, rzekłbym, że przywództwo to zdolność kreowania czasu i zasad jego konsumpcji, ale musiałbym długo wyjaśniać, jak polityka i przywództwo sprzęgają się z paradygmatem czasu, więc zaproszę tylko chętnych wyjaśnień do lektury mojej o czasie książki.

Przywództwo kosztuje. Przekonali się o tym Amerykanie po zimnej wojnie. Wydali tryliony na rozwiązywanie problemów, co do których wielu amerykańskich wyborców wątpiło, że wymagały akurat amerykańskiego wysiłku i pieniędzy. A Trumpowi nawet na NATO amerykańskich pieniędzy łożyć się nie chciało. Abdykacja USA ze światowego przywództwa marzeniem jest wielu autokratów i zwykłych międzynarodowych oprychów. I cieszą się z transakcyjnej natury polityki globalnej Trumpa. Bo transakcjonizm wyklucza altruizm, a bez altruizmu trudno o moralną legitymację dla przywództwa.

Państwo może posiadać potęgę predestynującą ją do przewodzenia. Ale robi z niej użytek zawsze konkretny człowiek, ludzie – klasa rządząca, przywódca kraju.

Oczywiście istnieje zasadnicza różnica między sposobem sprawowania władzy przez przywódcę w państwie autokratycznym i w państwie demokratycznym. Autokrata ma inną percepcję czasu i inną miarę sukcesu swojej polityki. I niewątpliwie dzisiejsze napięcie między obozem demokracji (Zachodu) i obozem autokracji (Rosja, Chiny) jest zderzeniem perspektyw czasowych w polityce, zderzeniem paradygmatów czasu. Pisałem o tym w „Klepsydrze i czasie”, więc znów muszę do książki Państwa odesłać.

Co łączy przywódców demokratycznych i autokratycznych, to niewątpliwie poczucie samotności przy podejmowaniu ważkich decyzji. Polityka zagraniczna w chwilach trudnych, momentach decydujących, jest uprawiana w samotności i jest testem zdolności przywódczych lidera. Bo rady radami, racjonalne analizy racjonalnymi analizami, ale w polityce ostatnie słowo zawsze należy do intuicji. I dlatego wybitnym politykiem można zostać nie tracąc czasu na czytanie książek. (Zresztą czytanie książek generalnie szkodzi, jak słusznie zauważył kiedyś znany polski reżyser filmowy. Albowiem od czytania psuje się wzrok. Więc w czytaniu nie tyle chodzi o ilość, co o jakość książek. Nie tylko dlatego teza znanego reżysera ma wielu fanów wśród polityków, zwłaszcza na prawicy. Tam do dziś spotkać można nawet pogląd, że warta przeczytania jest tylko jedna księga, ale jeśli ją tam czytają, to niestety wybiórczo i bez zrozumienia). A jeszcze do tego skomplikowanie świata obnaża bezsilność intelektualnego nad nim zapanowania. Siłą rzeczy zaczynamy polegać na przecuciach i nastrojach.

Intuicja polityczna wyrasta z osobowości, a osobowość, niezależnie od naturalnych, genetycznie zaprogramowanych predyspozycji i ograniczeń,

formowana jest w kulturze środowiska, pokolenia, jednostkowych doświadczeń. Inaczej patrzyli na Europę liderzy polityczni, którzy przeżyli wojnę, nawet jako dzieci, inaczej patrzą ci, którzy uczyli się o niej jedynie w szkole. Inaczej patrzyli na świat przywódcy, którzy osobiście doświadczali na sobie statusu obywateli drugiej kategorii w rządzonych przez obcych panów koloniach, inaczej patrzą ci, którzy się na niepodległości kraju potrafili uwłaszczyć.

Problem współczesnego przywództwa polega na tym, że do władzy wynoszeni są ludzie, których ocenia się na podstawie narodowej wewnątrz krajowej agendy oferowanej wyborcom. Rzadko kiedy mają oni jakiegokolwiek międzynarodowe doświadczenie, rzadko kiedy też gruntowniejszą znajomość świata. A dotyczy to państw, które w świecie mają rolę przywódczą do odegrania, np. USA. Trudno odmówić logiki głosom, żeby wpływ na wynik wyborów w USA udostępnić choćby w symbolicznej mierze obywatelom świata. Bo ten wybór ma dla świata kolosalne znaczenie.

Jest zastanawiające, zwłaszcza w Europie, jak elity polityczne odstają jeszcze od globalizującej się galopująco, kosmopolitycznej świadomości młodego pokolenia. W Polsce kolejne wybory wygrywała i rządziła przez osiem długich lat partia, której przywódca zagranicą w ogóle nie znał, znać nie chciał, a o polityce międzynarodowej pojęcie miał dość wulgarne (zagranica czyha, wróg wszędzie się czai, bierz co swoje i uciekaj).

Po drugie, rządzenie się tak spragmatyzowało, że jego istotą stało się sprawne menedżerskie zarządzanie i to pod kątem zwycięstwa w kolejnych wyborach. Kalendarz wyborczy zaczął więc rządzić polityką międzynarodową, a brak jego zsynchronizowania rozregulowuje wysiłki dyplomatyczne. Bo nikt nie chce iść na ustępstwa w przeddzień wyborów, podkreca się wtedy muzykę nacjonalistyczną, a wybory w jednym roku tam, a w innym gdzie indziej, więc trzeba czekać na ich wynik, bo ich wynik wpłynąć może na zachowanie stron. Polityków na dodatek ubezwłasnowolnia strach przed nieprzewidzianymi konsekwencjami ich własnych decyzji, a te w polityce zagranicznej są kosmiczne, bo wymykają się narodowej kontroli. Archetypicznym politykiem tej szkoły rozważności była niewątpliwie Angela Merkel. Jej metodą domyslną uprawiania polityki zagranicznej była zwłoka, a głównym instrumentem kinetyki politycznej hamulec. W połączeniu z objawiającym przywódczy ADHD stylem prezydenta Sarkozy'ego, to mogło dawać Europie jakieś poczucie balansu. Ale wobec Rosji oddawało pole ignorującemu nieprzewidziane skutki polityki i wierzącemu w sprzyjającą mu fortunę Putinowi.

Trzecią wreszcie słabością współczesnej klasy przywódców jest inercja. Są oni w trakcie sprawowania urzędu z reguły niezdolni do zakwestionowania słuszności swojego dotychczasowego stanowiska, rewizji zasadniczej poglądów i radykalnej zmiany kursu. Jak Bohdan Łazuka w „Nie lubię poniedziałku” idą

przez rzeczywistość prowadząc korbę po położonym już i sprawdzonym torze. Ani w głowie im zawrotka.

Konwencjonalna prawda o kwalifikacjach przywódczych powiada, że dobry lider nie powinien ani zanadto wybiegać przed tłum, bo wtedy traci z nim kontakt i może społeczeństwo stracić go z pola widzenia i pójść własną drogą, ani też nie powinien podążać za tłumem, bo wtedy żaden z niego przywódca. Powinien więc dobry lider zawsze być o ten jeden krok, dwa kroki w przedzie.

Ale prawdę tę konwencjonalną zachwiało współczesne uprawianie polityki w warunkach gigantycznej kompresji czasu. Rozmiar tej kompresji zwłaszcza w polityce międzynarodowej jest bezprecedensowy. Dziś reagować i działać trzeba pod niesamowitą presją czasu. Jeśli polityka międzynarodowa przypominać ma partię szachów, to są to w niektórych sytuacjach już szachy nawet nie typu „blitz”, co wręcz „bullet”. A przywódca staje się więźniem społecznych emocji, które Kissinger nazwał „masowym konsensem”. A te emocje mogą czasami nabierać paranoicznych kształtów. Jared Diamond co prawda twierdził, że przywódcy i państwa powinni od czasu do czasu praktykować „konstruktywną paranoję”, czyli przejawiać ponadnormatywną czujność i lęk. Ale czasami paranoja może zwyczajnie paraliżować.

Celebrycki sposób uprawiania polityki odciska swoje piętno na mentalności osób sprawujących władzę. O wiele szybciej niż w przeszłości rozwija się u nich dolegliwość opisywana jako zasada hybris, czyli syndrom zadufania, osłabiający zdolność do krytycznej oceny własnego postępowania. Wystarczy przypomnieć sobie, jak szybko po objęciu urzędu kilka lat temu pewien czołowy VIP uwierzył, że jest urodzonym mówcą politycznym (nie tylko pod względem przemówień treści, ale i formy ich wygłaszania z mimiką i pauzowaniem włącznie) i znakomicie posługuje się językiem angielskim.

A przywódców zachodnich zgubiła pustka po ideologii (słusznie wyrugowanej z polityki), którą w polityce zagranicznej zagospodarowało myślenie liberalne. Bo dwa wielkie obozy w demokracji zachodniej – socjalistyczny i chadecki, w polityce międzynarodowej uległy urokom liberalnej wizji świata.

Liberalizm grzechów ma sporo. Przede wszystkim opiera się na ślepej wierze w logikę historii. Bo jeśli postęp ma swój wektor, to prędzej czy później przyszłość musi się zmaterializować, nawet jeśli nic podejmować na jej rzecz nie będziemy. Nawet marksiści tak pasywnie deterministyczni nie byli, a już komuniści tym bardziej. Bo zakładali, że skoro odkryto już logikę historii i cel końcowy postępu, to po co zwlekać, trzeba historię przyspieszać, trzeba historii pomagać. A liberałowie bynajmniej takiego zapału nie mają. No może poza krótkim okresem, kiedy Amerykanie ogłosili politykę „regime change” w świecie. Ale szybko palce sobie sparzyli, więc chęć przyspieszania historii zarzucili.

Po drugie, słabością zachodniego liberalizmu jest transakcjonizm. Politycy zachodni wychodzą z założenia, że wszystko da się wynegocjować, że z każdym trzeba rozmawiać i z każdym da się dogadać. Także z Putinem, także z Kimem. I zaczęli negocjować prawdę, godząc się najczęściej, że prawda leży pośrodku. A prawda przecież, jak powiadał Bartoszewski, nie leży pośrodku, tylko leży tam, gdzie leży. Trudno o lepszą ilustrację dla ślepego toru transakcjonizmu, jak pielgrzymki polityków zachodnich do Putina przed rosyjską agresją na Ukrainę.

Dziś selekcja przywódcy w demokratycznych społeczeństwach Zachodu jest bardzo ograniczona, i satysfakcji nie daje. Wyborca staje przed zasadniczym dylematem, co ważniejsze: uczciwość czy kompetencja polityka? Wybór to trudny. Bo piękno (fizyczna atrakcyjność polityka) utożsamiane jest zarówno z dobrem (uczciwością), jak i mądrością (kompetencjami). Ale tak ułożyła się logika elektorальной polityki w czasach okulocentrycznej transparentności.

Mało kto pyta o szerokość horyzontów polityka. A o jego wizję świata tym bardziej.

Z jednej strony świat chce dobrego przywództwa, narzeka na deficyt przywództwa, ale z drugiej strony domaga się demokratyzacji.

Demokratyzacja stosunków międzynarodowych stała się flagowym hasłem Globalnego Południa. A podchwyciły je i Rosja, i Chiny. Politycznie jego wymowa jest oczywista: chodzi o ograniczenie dominacji Zachodu w polityce zagranicznej. Jeśli potraktować je uczciwie, to winno zakładać, aby każde państwo mogło współdecydować o wszystkim, co dotyczy polityki międzynarodowej. Oczywiście do posiadania głęboko usadowionego w interesach narodowych poglądu na wszystkie punkty agendy globalnej zdecydowana większość państw nie aspiruje. W sensie politycznym rzeczywiście globalną agendę realizują USA, Unia Europejska, siłą historycznego rozpędu Wielka Brytania, a stara się bardzo ją prowadzić Rosja (choćby na zasadach spoilera, bo zasobów brak) i coraz bardziej Chiny.

Głosowanie w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ daje każdemu państwu głos, nawet jeśli sprecyzowanego poglądu w przedmiocie głosowania dane państwo nie posiada. Kiedyś przeprowadzając konsultacje w kilku państwach Afryki Wschodniej w kwestii reformy ONZ w 2004 r., usłyszałem w jednej ze stolic dość sporego państwa wyjaśnienie, że w większości spraw globalnych stanowisko jego kraju określane jest w Nowym Jorku, w stałym przedstawicielstwie tego kraju przy ONZ, a nie w centrali. I wynika ono bardziej z oglądania się na innych niż z własnej analizy politycznej, bo jest Grupa 77, są państwa regionu, jest Unia Afrykańska, etc. Odnotowałem to zjawisko jako kolejną ilustrację siły płynnej dyplomacji.

Demokratyzacji domagają się też państwa, które bynajmniej same demokratycznych referencji nie posiadają. Czy państwa autorytarne mogą wiarygodnie wypowiadać się na temat demokratyzacji stosunków międzynarodowych? Ba, nie dość, że się wypowiadają, to w tym wypowiedaniu się one są, jak Chiny czy Rosja, najgłośniejsze.

Czy jest moralnie słusznym dopuszczanie do demokratycznych procedur decydowania w polityce międzynarodowej państw rządzonych przez dyktatorów, despotów, autokratów? Jakąż to oni mają legitymację od swojego narodu, aby wypowiadać się o losach świata? Więc jeśli już demokratyzować stosunki międzynarodowe, to tak, aby przebijająca się do nich demokratyczna wola ludności. Ale wymagałoby to zasadniczej przebudowy nie tylko instytucji międzynarodowych, ale stosunków międzynarodowych jako takich. Prędzej tygrysy przejdą na wegetarianizm.

Demokratyzacja stosunków międzynarodowych jest sprowadzana do formuły: jedno państwo – jeden głos. Nie uwzględnia dysproporcji w liczbie ludności, wielkości PKB (nb. doświadczyliśmy nierówności wyborczych i w Polsce, uświadamiając sobie w 2023 r., że głos wyborcy na warszawskim Żoliborzu wart był połowy głosu wyborcy w Osieku). Taka formuła w żaden sposób nie odzwierciedla polaryzacji poglądów wewnątrz jednego państwa. Demokratycznie przegłosowany pogląd tzw. społeczności międzynarodowej, czyli tzw. ogółu państw, może znakomicie różnić się z poglądem zdecydowanej większości mieszkańców Ziemi.

Nie widać wszakże w przewidywalnej przyszłości najmniejszych szans, aby reforma porządku międzynarodowego kierowała się zamiarem harmonizowania polityki międzynarodowej z vox populi świata.

Dobrze, powie ktoś, wszystkie państwa w jakiejś mierze cierpią na deficyt demokracji. Zachód zmagają się z populizmem i nieliberalną demokracją. W Azji nawet Indie nie chcą odgrywać rolę ilustracji kontrtezy dla consensu pekińskiego i dowodzić, że demokracja może napędzać modernizację. W Afryce subsaharyjskiej znów rozlała się plaga przewrotów wojskowych. A w Ameryce Łacińskiej populistyczne (Wenezuela) lub zamordystyczne (Kuba) dyktatury, na szczęście nieliczne, trzymają się mocno.

Kilka co najmniej prezentacji poświęconych demokracji wygłosiłem w latach 2011-2018. Przestrzegałem przed demo-entuzjazmem po Arabskiej Wiosnie, ale i walczyłem z demo-defetyzmem, kiedy demokracja zaczęła się w niektórych regionach „zwijać”.

Nie widzę dla demokracji alternatywy. Z pewnością nie jest nią merytokracja, o czym szerzej w innym miejscu. Ale jestem zwolennikiem poszukiwań. Praktykowany model demokracji trzeba nieustannie odświeżać. Wspieram więc

całym duchem pomysły na jej usprawnienie: subsydiarność (dekoncentrację władzy), uspołecznienie polityki (likwidację zawodu polityka, w tym przez ograniczenie liczby sprawowanych kadencji poselskich), włączenie obywatela w proces decyzyjny (panele obywatelskie, referenda), ograniczenie monopolu merytokratycznego (finalny wybór na stanowiska drogą losową po odsianiu kandydatów pod względem merytorycznym), burzenie hierarchicznego systemu zarządzania (na rzecz sieciowości), inwestowanie w mechanizmy sprawiedliwości w dostępie do edukacji, ochrony zdrowia, etc.

Powiedzmy sobie szczerze, nic nie osłabia demokracji bardziej niż polityka. Także w wymiarze międzynarodowym. W czasach kryzysu opada chęć do rozmowy, komunikacji, konsultacji, demokracji. Silniejsi egzekwują swoje aspiracje do decydowania, jak czynił to Bush po 11 września 2001 r., a Sarkozy i Merkel po kryzysie finansowym w Europie w 2008 r.

Jedyny wniosek: tylko zapewniając silniejszy głos obywatelski możemy spowodować, aby, parafrazując kultową frazę o zawartości cukru w cukrze, było mniej polityki w polityce.

(W oparciu o wykład w Szkole Liderów w Erywaniu w listopadzie 2018 r.)

XIV. Starcie cywilizacji czy konwergencja?

Zachodnia wizja świata zakładała oryginalnie (przed dwustu laty) jego cywilizacyjną i kulturową homogenizację w oparciu o zachodnie wartości. Takim piętnem naznaczony został uniwersalizm. A rozlewający się po świecie od XIX wieku kapitalizm i jego globalizacyjne przeznaczenie miały obiektywnie homogenizować kultury, bo wymagały jednolitej etyki gospodarowania i robienia pieniędzy. Wierzano też naiwnie, że kapitalizm sprzyjać będzie demokratyzacji społeczeństw. Okazało się wszakże, że nawet w dzisiejszych czasach kapitalizm w wydaniu państwowym (Chiny) czy też oligarchicznym (Ukraina, Mołdawia) demokrację tłumił.

Nie musiało jednak dziś dojść do zderzenia Zachodu, aby utrwaliło się przekonanie, że kulturowa westernizacja świata nigdy nie nastąpi. Regionalne tożsamości regionalnymi tożsamościami, ale co jeśli zaczną one wchodzić ze sobą w zware. Widmo świata rozplatanego na przeciwstawne bloki cywilizacyjne niepokoił badaczy stosunków międzynarodowych od zakończenia zimnej wojny. Huntington zderzenia cywilizacji chciał uczynić osią polityki w świecie na lata. O ile tzw. cywilizację islamską miałyby spajać wartości organicznie wyrastające z religii, to cywilizacja sinocentryczna miałaby mieć podłoże głównie kulturowe (konfucjańskie i nie tylko). Wystraszył Huntington

wielu. Do dziś straszy. Niedawno nawet Netanyahu przekonywał, że konflikt palestyńsko-izraelski jest przejawem zderzenia cywilizacji.

Ale to z Azji Wschodniej i Południowo-Wschodniej wyszła w latach dziewięćdziesiątych najbardziej zwarta ideologiczna opozycja do zachodniej koncepcji wartości.

Koncepcja tzw. wartości azjatyckich pojawiła się z politycznej potrzeby. Po upadku światowego systemu komunistycznego i dyskredytacji samej ideologii komunistycznej trzeba było znaleźć dla funkcjonujących w Azji reżimów autorytarnych i dyktatorskich nową zasłonę ideologiczną. W tym też celu zaczęto posługiwać się koncepcją tzw. azjatyckich wartości. Dialog na forum globalnym w sprawach demokracji i praw człowieka znów nabrał ostrego politycznie kolorytu. Fukuyamowska wizja liberalnych wartości jako przystanku końcowego rozwoju cywilizacyjnego została oprotestowana. Mahathir i Lee Kuan Yew stali się prorokami nowej azjatyckiej tożsamości. Nie wolność jednostki i jej egoistyczne dążenia, ale polityczna stabilność i ład społeczny stały się priorytetem w ich polityce, bowiem to na nich zasadzać się jedynie może wzrost gospodarczy. A wzrost gospodarczy dla ubogich społeczeństw jest matką wszystkich priorytetów. Tezy te w praktyce otrzymały co prawda potężny cios w wyniku tzw. azjatyckiego kryzysu gospodarczego w l. 1997-1998. Ale szybko odżyły za sprawą sukcesu gospodarczego Chin. Pojawił się tzw. konsensus pekiński, głoszący, że wzrost i dobrobyt mogą być skuteczniej zapewnione w warunkach rządów autorytarnych.

Gospodarcze dokonania Chin dodawały im pewności siebie w polityce, głos ich czyniły asertywniejszym także w debacie o prawach człowieka. Nie uciekały Chiny od niej. Miały za sobą silny argument, już nie tyle związany z ideologią komunistyczną i eksploatowaną przez Sowietów w latach 50-ych tezą o wyższości praw społecznych nad prawami politycznymi, co podparty tzw. wartościami azjatyckimi aksjomat o wyższości praw zbiorowych nad prawami indywidualnymi. A jeszcze, rozwijając bezprecedensową akcję pomocową w państwach azjatyckich i afrykańskich, kupowały sobie klakę w debatach oenzetowskich. Chińska pomoc świadczona na zasadzie „no strings attached” osłabiała zachodnią presję na demokratyczne reformy w państwach Południa. Aż rosnać musiały wątpliwości, czy tzw. wartości zachodnie są dla wszystkich najlepszym wyjściem.

Błędem zasadniczym było wstąpienie przez Zachód w bezsensowne dyskusje porównawcze z Chinami i Globalnym Południem i przekomarzanie się o tym, czyje wartości są lepsze. A demonstrował przy tym Zachód ostentacyjną megalomanię.

Oczywiście tzw. wartości azjatyckie mają prawo do istnienia, cokolwiek miałyby znaczyć. Ale w żaden sposób nie muszą one przeczyć wartościom zachodnim.

Z pewnością i w Chinach, i w innych azjatyckich społeczeństwach istnieje silnie zakorzeniony szacunek dla władzy, postulat dyscypliny i podporządkowania się władzy, akceptacja hierarchii. Sam zresztą Mao musiał jakoś szukać uzasadnienia dla tumultu rewolucji kulturalnej i znalazł je w konieczności drastycznego rozkruszenia tradycyjnych nawyków społecznych, które dla komunizmu stanowiły zaporę.

Skrajny trybalizm jest niewątpliwie praktykowanym w wielu krajach Azji anachronizmem. Nie jedynym.

Bo czyż nie jest niesionym od wieków anachronizmem w Indiach (czy w Nepalu) system kastowy? Kreuje on społeczność prawie 70 milionów dalitów, pozbawionych poczucia równej godności, upośledzonych społecznie. A w sumie ponoć ponad 150 milionów ludzi ślepo stosuje kodeks kastowy. Mimo, że jest w Indiach konstytucyjnie zdelegalizowany, a kolejne rządy robią, co mogą, aby go wyplenić. Nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie systemu kastowego kojarzył z azjatyckimi wartościami.

A co ma do azjatyckich wartości okaleczanie żeńskich narządów płciowych? Rząd malezyjski sam ocenia, że ponad 80 proc. dzieci (noworodków) płci żeńskiej wyznania islamskiego przechodzi zabieg obrzezania, a w Indonezji – prawie 50 proc. W społeczności Bohra żyjącej w Indiach, Pakistanie i Sri Lance powszechnie okalecza się dziewczynkom narządy płciowe.

A sposób traktowania kobiet przez Talibów?

A seppuku jako prawo i obowiązek klasy samurajów w Japonii (od kilkudziesięciu lat na szczęście nie praktykowane)?

Jasne jak słońce, że nie na takich anomaliach opierać się mają tzw. wartości azjatyckie.

Bo wymóg ślepego posłuszeństwa, kastowej dyskryminacji, religijnego okaleczania czy honorowych samobójstw nie sposób zaliczać do pojęcia wartości. Nawet jeśli były praktykowane przez tysiąclecia.

Jeśli spojrzeć uczciwie, to i na Wschodzie, i na Zachodzie trzonem koncepcji praw człowieka jest godność jednostki ludzkiej. Cała reszta to kulturowa nadbudowa.

I dlatego w praktyce widać przekonująco, że wiara w Dharma nie przeszkadza w budowie demokracji w Tajlandii, a nauki Konfucjusza nie komplikują funkcjonowania demokracji na Tajwanie, a rzekomy brak słowa „prawa” w sanskrycie nie uniemożliwia odwoływania się do praw człowieka w Indiach. Być może, jak pisał Fukuyama, boskie pochodzenie cesarstwa w Chinach utrudnia zrozumienie koncepcji „praworządności”. Być może praktykowane u zarania islamu sklejenie władzy świeckiej i religijnej, jak opisywał tenże Fukuyama, tak utrudniało pochod demokracji nie tylko wśród Arabów i Persów, ale nawet wśród Pakistańczyków. Być może buddyzm nie sprzyja budowaniu silnych i sprawnych aparatów państwowych. Tym niemniej emancypacja jednostki ludzkiej, katalizowana przez wychodzenie z ubóstwa i dostęp do technologii informatycznych, jest zjawiskiem powszechnym i nieodwracalnym. A emancypacja polega na krzewieniu samoświadomości. A gdzie samoświadomość, tam godność. Gdzie zaś godność, tam pragnienie wolności. A pragnienie wolności zawsze zaprowadzi do demokracji, rządów prawa i praw człowieka.

Oczywiście chińscy (i nie tylko chińscy) propagandiści przestali już dawno dowodzić, że demokracja jako taka kłócić się zawsze będzie z komunitaryzmem, z szacunkiem wobec władzy, zbiorowym posłuszeństwem i dyscypliną, propagowaną przez tzw. azjatyckie wartości. Tak jak Putin wymyślił ideologiczną protezę „sterowanej demokracji” dla zawłaszczenia państwa, tak oni zaczęli propagować „minben” jako formę azjatyckiej demokracji, alternatywę dla zachodniej demokracji liberalnej. O ile w demokracji liberalnej władzę legitymizują wybory, to w demokracji minbenowskiej władzę legitymizują jej dokonania.

I liderzy chińscy, a już Xi Jinping aktywniej jak nikt, biczowali zachodnią demokrację elektorálną bez zahamowania. Produkuje ona, według nich, tylko chaos i napięcia, jest w istocie władzą bogatych, dyktaturą kapitału. A Xi poczuł się tak pewnie, że wymówka o azjatyckich wartościach dla przykrycia własnej polityki dokręcania autorytarnej śruby do niczego już nie była mu potrzebna.

Minben jest dla odmiany utożsamiany z władzą merytokratyczną. Tenże Fukuyama przyznawał, że w podejmowaniu decyzji na dużą skalę pod presją czasu, merytokracja bije demokrację na głowę. Ale COVID-19, choć początkowo posłużył Chińczykom jako manifestacja skuteczności ich scentralizowanej władzy w radzeniu sobie z jego skutkami, doprowadził do kompromitującego dla rządzących ponownego rozlania się pandemii, kiedy zachodnie społeczeństwa już sobie z nią w zasadzie poradziły, a jeszcze do tego polityka władz wyzwoliła społeczny gniew i protesty.

Jedno jest pewne – dla Zachodu tzw. azjatyckie wartości zagrożeniem nie są. Próby ich przeflancowania na nasz grunt są skazane na niepowodzenie. No,

może przemyczone będą w postaci jakiegoś eurazjatyzmu. Ale i w Rosji otwarcie do czystej azjatyckości elity przyznawać się nie będą. Nawet w Azji Centralnej elity polityczne tak otwarcie z nimi identyfikować się nie będą.

Postulowałem kiedyś zintensyfikowanie dialogu międzykulturowego z Azją, wyrzeczenie się przez Zachód paternalistycznej maniery. Zachód podjął taką próbę rozmowy ze światem islamu (inicjatywa dialogu międzycywilizacyjnego), ale świat Azji zostawił samemu sobie. Nie próbował też tworzyć Zachód wspólnych politycznych projektów, choćby w zakresie praworządności. Wydawało mi się kiedyś, że oczywistą propozycją wspólnego działania z Azją winna stać się światowa walka z korupcją. Nie zdziwiło mnie, kiedy eksperci armeńscy, próbujący (za pieniądze Unii Europejskiej) studiować i przenosić na rodzimy grunt dobre praktyki antykorupcyjne, za wzorce godne naśladowania u nich nie wzięli bynajmniej rozwiązań polskich czy rumuńskich (transformacyjnych), ale mechanizmy instytucjonalne i prawne Singapuru, Hongkongu czy Filipin. Nie próbowano wszakże żadnych wspólnych inicjatyw i w tym zakresie.

Po dekadach ćwiczeń erystycznych na tzw. forach międzynarodowych doszedłem do wniosku, że dyskusje na temat tzw. wartości liberalnych i tzw. wartości azjatyckich, tylko legitymizują wypaczanie ogólnoludzkiego charakteru praw godnościowych. Teraz więc radzę – dyskusji nie podejmować, zdjąć temat z politycznych debat. Rozmawiać na gruncie prawa międzynarodowego, standardów prawnych.

Inną kwestią jest, jak ewoluować będzie dalej tożsamość Zachodu. Huntington traktował cywilizacje północnoamerykańską i europejską jako jedność, ścisły blok. A jednak są w tym bloku subtelne pęknięcia. Wspólnota globalnych politycznych interesów Zachodu je przed dociekliwym wzrokiem przysłaniała. Czy będą się te rozczepy zaogniać?

Pytaniem zasadniczym jest, czy Zachód jest konstruktem realnym nie tylko jako wspólnota polityczna, ale także jako wspólnota aksjologiczna. Bo po przyjsciu Trumpa do władzy pojawiła się dość powszechna teza, że Zachodu jako takiego w sensie politycznym już nie ma. A co dopiero mówić o wspólnocie aksjologicznej.

Dialog USA-Unia Europejska w sprawach demokracji, praw człowieka i praworządności ma charakter bardzo intensywny. Dotyczy on wszakże przede wszystkim państw trzecich, możliwości wspólnego działania Zachodu na forach globalnych w tej dziedzinie. O różnicach między sobą rozmawia się niewiele, choć je się porusza, np. sprawę zniesienia kary śmierci. Jest ona publicznie znanym punktem, w którym stanowiska stron zdecydowanie się rozchodzą. Inaczej w USA, inaczej w Europie patrzymy też na prawa socjalne, inaczej na

granice wolności słowa, inaczej na sprawiedliwość naprawczą (politykę penitencjarną i in.).

Można wszakże czasem odnieść wrażenie, że w ostatnich latach drogi aksjologiczne społeczeństw europejskich i amerykańskiego coraz bardziej się rozjeżdżają. Europa wyraźnie przyspieszyła na kursie drogą liberalizacyjną, legalizując masowo aborcję na życzenie, eutanazję czy małżeństwa osób tej samej płci. Liberalizacja dokonuje się w sposób społecznie spokojny, nawet jeśli są siły polityczne kurs ten kontestujące. W Stanach Zjednoczonych, chociażby w sprawie aborcji, zaistniał konserwatywny backlash, teraz odreagowywany politycznie w wielu stanach. Społeczeństwo głęboko się podzieliło, a spór przybiera niekiedy postać wojny kulturowej.

Czy różnice te między społeczeństwami europejskimi a amerykańskim będą się pogłębiać? Europejskie i amerykańskie podejście do spraw człowieka, demokracji i praworządności ma oczywiste i mocne wspólne korzenie. Rewolucja francuska i rewolucja amerykańska były siostrzanymi płodami oświecenia i koncepcji praw przyrodzonych. Co prawda koncepcyjnie przez lata prawa człowieka w USA bardziej identyfikowano z tzw. prawami konstytucyjnymi, a w Europie rozszerzano je (pod niewątpliwym wpływem ideologii socjalistycznej) na prawa społeczno-ekonomiczne.

Inaczej w USA i w Europie kształtowała się wrażliwość na dyskryminację, nierówności, nietolerancję. Europa przez lata wyczulona była szczególnie na skutki podziału klasowego (zwłaszcza Wlk. Brytania, Francja, Niemcy), Stany Zjednoczone – na podział rasowy. Rosnące dysproporcje w dochodach zwróciły dopiero ostatnio w USA uwagę na różnice klasowe, zaś masowy napływ emigrantów do Europy uświadomił rolę czynnika odmienności etniczno-religijnej. Specyfika imigracji do USA (główny potok idzie z Ameryki Łacińskiej) powoduje, że religia (chrześcijaństwo) stało się głównym amortyzatorem napięć etnicznych. W Europie odmienność religijna (główny napływ migrantów to wyznawcy islamu) nasila napięcia etniczne.

Społeczeństwa europejskie i amerykańskie przechodzą przez okres burzliwych zmian. Wynikają one i ze zmian demograficznych, technologicznych, ekologicznych, a i przede wszystkim gospodarczych (spowolnienie wzrostu). Każde reaguje po swojemu. Czy wynikające ze zmian nastroje społeczne przekładać się będą na politykę? Trump, nie przymierzając, ogłosił przed laty Unię Europejską przeciwnikiem, wrogiem (przynajmniej na polu handlu).

Czy populiści po obu stronach Atlantyku rozwalą nie tylko Unię Europejską, ale i Zachód jako taki?

Najważniejsza różnica o konotacjach politycznych między Europą i USA w wymiarze międzynarodowym, przekładająca się na podejście do praw

człowieka i praworządności, polega na odmiennym podejściu do roli trybunałów międzynarodowych i prawa międzynarodowego w zapewnieniu stosowania praw. Stany Zjednoczone nie dość, że nie upatrują w prawie międzynarodowym żadnej gwarancji dla zabezpieczenia praw człowieka w USA, to jeszcze a priori odrzucają możliwość podporządkowania się jurysdykcji trybunałów ponadnarodowych. Jeśli mamy jako Zachód popychać świat ku wspólnocie aksjologicznej, jeśli mamy tworzyć zręby nowego globalnego systemu zarządzania, to drogi USA i Europy mogą się niestety rozejść. A jeśli się rozejdą, to nic ze śmiałych wizji przyszłości nie będzie?

I to zapatrzenie w stojącą ponad wszystko suwerenność Ameryki widzę jako poważną przeszkodę w budowaniu instytucji „Jednego Świata”, nawet kiedy upadnie już obóz autokratyczny, a w Rosji, Chinach i świecie islamu zapanuje prawdziwa demokracja, w Afryce Subsaharyjskiej zaś wojsko na zawsze zamknie się w koszarach.

W czym rozejście Europy i USA byłoby pożądaną, to niewątpliwie w kwestii wzięcia przez Europę całkowicie na swoje barki odpowiedzialności za stan demokracji i praw człowieka na szeroko pojmowanym obszarze Europy. Przez dekady zimnej wojny to Stany Zjednoczone były przede wszystkim gwarantem walki o prawa człowieka w Europie (komunistycznej). Wiadomo, tylko amerykański głos miał siłę, z którą liczyć musieli się Sowieci i reżimy totalitarne w ich strefie. Okazało się jednak, że w ostatnich trzydziestu latach, kiedy przychodziło do silnej artikulacji niezgody na łamanie praw człowieka, czy to w Rosji, czy gdziekolwiek indziej, to Europa znowu oglądała się na USA i czekała aż one przemówią. Ostatnie lata, a już od prezydentury Trumpa z pewnością, Europa przestała się na szczęście już oglądać. Nawet jeśli Rada Europy głosik ma anemiczny, to Unia Europejska, w trosce przede wszystkim o własną spójność, została zmuszona do „strategicznej autonomii” w polityce praw człowieka i demokracji.

Prawem praw w stosunkach międzynarodowych jest entropia. Oznacza ona postępujące rozdrobnienie tożsamości i interesów. Ale także konwergencję podmiotów stosunków międzynarodowych.

Zwolenników nowej teorii konwergencji, tym razem konwergencji nazywanej wielką, zainspirował do śmiałych tez przełom rozwojowy, jaki dokonał się w Chinach i innych krajach azjatyckich. I jej zwolennicy pojawili się także w państwach Globalnego Południa. Uwierzyli w wizję Jednego Świata. Jego nieuchronność wyprowadzili z ekonomicznej globalizacji, zacieśnienia sieci powiązań gospodarczych, tendencji do powstawania jednego światowego rynku. Dostrzegali, że globalizacja służy nadrabianiu zapóźnień ekonomicznych i technologicznych, wyrównywaniu poziomów życia, doganianiu a nawet przeganianiu Zachodu. I gdyby tylko jeszcze Zachód przestał mendzić o konsensusie waszyngtońskim, wartościach i demokratycznych standardach.

Więc zaczęli Zachód uspokajać, że ten nowy jednolity świat nieuchronnie się zharmonizuje także pod względem zasad. Bo postęp technologiczny spowoduje, że wszędzie ustanowiony zostanie prymat współczesnej nauki, zasady logicznego rozumowania, nowy kontrakt społeczny i zasada multilateralizmu w polityce międzynarodowej. A jeśli tak ma się stać nieuchronnie, to Zachód powinien zaprzestać polityki ostracyzmu, izolacji, sankcji wobec państw, które jeszcze do zachodnich oczekiwań nie dojrzały.

W tych „wschodnich” wizjach Jednego Świata nie ma miejsca na rozważania aksjologiczne. Chyłkiem też przemyka się obok ewidentnych sprzeczności w tym rozumowaniu. Z jednej strony, pokazuje się, że we wszystkich wschodzących gospodarkach przechodzi się na zachodni model życia uniwersyteckiego i związany z nim wymóg racjonalności, ale pomija się, że niekoniecznie stosuje się go w niektórych państwach do nauk społecznych, gdzie nadal wolności badań naukowych i wypowiedzi nie uświadczysz.

Zachód ma być wszakże uspokojony perspektywą nieuchronnego wyłonienia się wspólnej globalnej etyki, w oparciu o zasadę „nie czyni drugiemu, co tobie niemiłe”. A pewność w doprowadzeniu do lepszego świata ma nam wszystkim dać powierzenie sterów rządów w świecie nowej merytokracji. Nieważna będzie procedura i legitymacja (czyli demokracja), ważne będą kwalifikacje i skuteczność (czyli tzw. output legitemacy), twierdzą oni. I nie ma co deliberować, według nich, nad usprawnianiem demokracji. Przyszłość to merytokracja. Bo to postęp technologiczny niechybnie wyniesie ją do władzy. I będzie to merytokracja totalnie globalnie skonwergowana. O tym, że to kolejna złudna iluzja, związana z Pax Technologica, już wkrótce.

(W oparciu o moje notatki z wystąpienia i dyskusji na seminarium w Harvard Law School Uniwersytetu Harvarda (Cambridge, USA) we wrześniu 2014 r.)

XV. Mit światowej merytokracji

Nie brakuje wiary, zarówno na Zachodzie, jak i na Globalnym Południu, że jedyną szansą na pokonanie wyzwań stojących przed światem jest powierzenie steru rządów merytokracji. W merytokracji pokładane są nadzieje na uchronienie się przed dyktatem plutokracji (władzy bogactwa i pieniądza), a i plagą populizmu, która pogrążyłaby nas w nowej odmianie ochlokracji.

Spór o rolę demokracji w wyłanianiu elit byłby wtórny, bo ważniejsze byłby skutki selekcji, czyli powierzanie urzędów ludziom o odpowiednich kompetencjach. Rosnący wpływ technologii na organizację życia społeczeństw siłą rzeczy miałyby zapewnić prymat kwalifikacji w doborze ludzi na stanowiska, bo technologia wymaga do dobrej obsługi odpowiedniej wiedzy i bystrości umysłu. No żaden debil, nawet z najlepszego

polecenia i z najlepszymi koneksjami, nie będzie w stanie zawiadywać czymkolwiek (jak spółkami skarbu państwa jak za rządów PiS-u) w erze nowej rewolucji technologicznej.

Cokolwiek też by nie mówić o urządzaniu świata, chcielibyśmy już teraz, aby instytucje globalne były kompetentne, aby ludzie zatrudnieni tam byli uczciwi, sprawni, sumienni, pracowici. Aby byli uczciwsi, sprawniejsi, bardziej sumienni i bardziej pracowici od tych, którzy kierują naszymi sprawami krajowymi. Bo jeśli miałyby być odwrotnie, a światowe biura zatrudniałyby złodziei, leni, ludzi tępych i nieudolnych, to jaki byłby to pożytek z polegania na instytucjach międzynarodowych w rozwiązywaniu naszych wspólnych problemów?

Od dwustu lat świat zachodni tkwi w kulcie merytokracji. Narodził się on z oświeceniowym ideałem społeczeństwa opartego na wiedzy i wykształceniu. I już Napoleon, ogłaszając zasadę „la carrière ouverte aux talents”, chciał rozbić zmurzałe struktury państwa feudalnego, gdzie urzędy podlegały dziedziczeniu, kupczeniu, służyły korumpowaniu ludzi. Nie wszędzie rewolucja torowała drogę dla kompetencji. Bo Stany Zjednoczone, na „ten” przykład, podążyły początkowo drogą obsadzania stanowisk administracyjnych na zasadzie łupów politycznych i dopiero w końcu XIX w. oddały pierwszeństwo kompetencjom (Pendelton Reform Act). Rewolucja przemysłowa i jej kolejne fale wymuszały podporządkowanie systemów zarządzania, także państwem, paradygmatowi wzrostu, rozwoju, akumulacji. I to wszędzie – nie tylko w republikach, ale i w monarchiach. A w paradygmacie wzrostu źródłem powodzenia była wydajność, skuteczność, kreatywność, dynamizm. Takim sposobem merytokracja opanowała Zachód.

Zachodu wynalazkiem oczywiście nie była. Stosowały ją konsekwentnie starożytne Chiny w myśl konfucjańskich nauk. Przejęły starożytne Indie. Wschodnie i zachodnie pojmowanie merytokracji do dziś wszakże obciążone jest uwarunkowaniami historycznymi. Azjatycki system edukacji nastawiony jest na przygotowanie kandydatów do zdawania egzaminów. Zachodni system ma zaś przygotowywać młodych do osiągania sukcesów. W Azji merytokratyczni urzędnicy mają skupiać się na codziennym „zdawaniu egzaminu”, na Zachodzie rozwiązywanie problemów nie jest celem samym w sobie, jest środkiem do sukcesu życiowego, czyli do robienia kariery.

Postmodernizm nadał merytokracji wymiar niemalże religijny. Społeczeństwo opanowała tyrania osobistego wyczynu, zawodowego sukcesu. Potrzeba uznania stała się w dostatnich zachodnich społeczeństwach powszechnym motorem postępowania. A postmodernizm obiecał każdemu choćby pięć minut sławy. Od najmłodszych lat ludzie wpadają w wir neurotycznego biegu, podążania za coraz to nowym celem, gonitwy za coraz to nowym sukcesem.

W bogatych społeczeństwach, a już w Stanach Zjednoczonych ponad wszelką wątpliwość, merytokracja zdegenerowała się do postaci karykatury. W USA pojawiły się śmiałe tezy, że merytokracja stała się ledwo przykrywką dla nowej oligarchizacji społeczeństwa. Krytycy amerykańskiego wydania merytokracji grzmieli, że merytokracja sprzyja koncentracji bogactwa, a koncentracja bogactwa pogłębia

nierówności, powoduje skostnienie społeczeństwa, ogranicza możliwości cyrkulacji na drabinie społecznej. Merytokracja wykształciła elitę, w której więzy powinowactwa krwi silniejsze są od zapotrzebowania na talent. Kryteria merytokratyczne stosowane są tylko wtedy, kiedy działają na korzyść naszych dzieci i pociotków.

W europejskich społeczeństwach koncentracja bogactwa na taką skalę nie występuje i w tak dewastacyjny sposób na funkcjonowanie merytokracji nie wpływa. Ale już „elitaryzacja” wykształcenia tak. Bo merytokracja splata się z paradygmatem społeczeństwa opartego na wiedzy. Uczynienie z ENA czy Oxfordu niezbędnej przepustki do kariery zakłóca dynamikę społeczną.

Zamykanie się w sobie merytokratycznej elity (czy opartej na bogactwie, czy na elitarnym wykształceniu) jest jednym z powodów wzrostu notowań ruchów populistycznych.

I w Polsce do niedawna, a na Węgrzech jeszcze wciąż, gdzie populizm zawłaszczył władzę w ostatnich latach, w imię tworzenia nowej elity powszechnie promowani byli dotychczasowi nieudacznicy, prowincjonalni frustraci, zaściankowi cwaniaczkowie. W trymiga z wiejskich wójtów wyrastali na zawiadowców miliardowego majątku, z liczydłowych księgowych awansowali na menedżerów wielotysięcznych zespołów pracowniczych, z ekspedientów sklepowych na prezesów, z powiatowych doradców na ministrów. Takiego tsunami nepotyzmu w imię wymiany elit te społeczeństwa nie widziały od czasów niepamiętnych.

A w Chinach merytokracja stała się alternatywą dla demokracji. Bo przecież, koniec końców, twierdzi chińska władza, chodzi o sprawność zarządzania państwem i społeczeństwem. Legitymizuje elity nie tyle demokratyczne pochodzenie, co ich merytoryczna wartość, czyli kwalifikacje. Już przecież John Stuart Mills chciał, aby osoby wykształcone dysponowały większą ilością głosów na wyborach niż „ciemna masa”.

Organizacje międzynarodowe miały stać się najwyższym piętrem merytokracji, jej modelem, jej wzorcem z Sevres, jej udzielnym królestwem. W organizacjach międzynarodowych wprowadzono przykładowy mechanizm naboru – przejrzysty, oparty na precyzyjnych kryteriach, wielostopniowy, podlegający ocenom i nawet zaskarżeniom, wykluczający nepotyzm, kolesiostwo, korupcję. Najuczciwszy wydawałoby się pod słońcem.

A jednak jego stosowanie w praktyce wywołuje niezbyt czasem pożądane skutki. Okazuje się, że przez niesłuchanie gęste sito przemykają osoby nieudolne, nie potrafiące współpracować z innymi, uprawiające mobbing, psychopatyczne nieraz, ulegające pokusom korupcyjnym, uwikłane w skandale obyczajowe.

Organizacje międzynarodowe oferują luksusowe warunki pracy. Stworzone przez nie zasady zatrudnienia czynią je bardzo atrakcyjnymi pracodawcami, nawet na rynkach pracy bogatych państw zachodnich. Oczywiście nie dają takiej przepustki do dochodów i statusu, jakie w bogatych państwach może dać praca w sektorze finansowym czy prawniczym, ale są nawet tam w stosunku do lukratywnych

zawodów dość konkurencyjne. Nabór do ONZ czy do Unii Europejskiej wywołuje masowe zainteresowanie, skutkuje tysiącami kandydatów na jedno miejsce. De Gaulle'owi przypisywano radę, aby do pracy w instytucjach brukselskich delegować najmniej rozgarniętych urzędników, ale stanowiska międzynarodowe okazały się mieć niezłą siłę przyciągającą. Nawet unijna dyplomacja przygarnęła do swoich szeregów czasem dość wybitne jednostki, nawet jeśli tylko czasem i tylko dość (wybitne). Można dużo złego wkładać w pojęcie „międzynarodowej biurokracji”, ale nie sposób jej zarzucić braku wysokich standardów naboru.

A jednak czasami selekcja okazuje się wadliwa.

Byłem funkcjonariuszem trzech organizacji międzynarodowych - OBWE, Rady Europy i Unii Europejskiej. Dodatkowo pracę sekretariatów ONZ i NATO, w tym procesy naboru, poznałem dość blisko z racji obowiązków służbowych w polskim MSZ. Wielokrotnie uczestniczyłem w panelach selekcyjnych, kilkakrotnie przed nimi stawałem.

Uważam, że generalnie instytucje międzynarodowe cechują się wysokim poziomem zawodowym i etycznym pracujących tam ludzi, wyższym niż w urzędach zdecydowanej większości państw członkowskich, także zachodnich. Zwłaszcza na średnim poziomie menedżerskim jakość urzędników może imponować. Gorzej się ma sytuacja na szczeblach najwyższych i najniższych (obsługowych).

Dobre międzynarodowe wzorce biurokratyczne na prawach osmozy przesiąkają do urzędów krajowych. Po wejściu Polski do NATO i Unii Europejskiej można było zauważyć z satysfakcją, jak poprawiają się nawyki działania MON, MSZ czy innych instytucji. Akcesja do tych organizacji była więc także dobrym impulsem modernizacyjnym dla naszej rodzimej biurokracji. Publicznie sugerowałem przed laty możliwość delegowania naszych urzędników na staże do instytucji międzynarodowych tylko w celu czysto szkoleniowym. Popierałem inicjatywę „Erasmus dla wszystkich”, licząc, że wysyłanie naszych urzędników do Niemiec, Szwajcarii czy Szwecji rozszerzy ich profesjonalne horyzonty.

Nie znaczy to, że biurokracja międzynarodowa działa idealnie. Z moich obserwacji wynika, że biurokratom międzynarodowym, zwłaszcza w Unii Europejskiej, o wiele więcej wysiłku niż krajowym potrzeba na przygotowanie procedur do podjęcia nowego zadania. Tzw. rozbieg zajmuje im o wiele więcej czasu niż nam w kraju. Analizom i dyskusjom, jak najlepiej wykonać nowe zadanie, nie ma końca. Ale jak już niezbędne algorytmy zostaną opracowane i uruchomione, to działania podejmowane są gładko i sprawnie, bezusterkowo. Sprawniej niż w kraju.

Niekiedy wszakże zastanawiać może, jak ten wyższy niż w przypadku krajowych administracji poziom nie odzwierciedla się w całościowym obrazie sprawności działania instytucji. A już termin „brukselski biurokrata” stał się niemalże inwektywą. Uczyniono go synonimem działania mechanicznego, bezdusznego, bezwolnego, bezwzględnego, oderwanego od rzeczywistości. Brukselski tryb procedowania nadal wywołuje co najmniej wątpliwości. Bo brak w nim przestrzeni dla improwizacji,

woluntaryzmu, uznaniowości, do jakiej przyzwyczaiła nas miniona epoka w pracy urzędów w naszym kraju?

Problem z jakością biurokracji międzynarodowej jest realny, choć głębszy niż krążące powszechnie stereotypy. Pisałem kiedyś na bazie moich smutnych obserwacji z pracy instytucji międzynarodowych, że na własne oczy widziałem, jak merytokracja przekształcała się w przeciętnokrację (meritocracy turning into mediocritocracy).

Kilka jest temu powodów.

Po pierwsze, państwa nie tyle chcą mieć w organizacjach międzynarodowych, zwłaszcza na szczeblach kierowniczych, ludzi kompetentnych, co swoich. Klinicznym przykładem jest Komisja Europejska, której składu nie da się ograniczyć, ponieważ każde państwo chce mieć w Komisji swojego przedstawiciela. Zaufanie znaczy więcej niż kompetencje. A jeszcze zaufanie to musi mieć tak wysublimowany charakter, że państwa wystawiają kandydatów, którzy często kompromitują się na przesłuchaniach w Parlamencie Europejskim swoim dyletanctwem. Bo najważniejsze, żeby był swój. Już nawet nie chodzi o to, aby załatwiać tam nasze narodowe interesy, ale chodzi o to, żeby przynajmniej spraw pilnował. O tym, że nawet najbardziej swój człowiek nie jest w stanie zapewnić realizacji partykularnych interesów, można było się przekonać widząc niemoc „polskiego” komisarza do spraw rolnictwa w dbaniu o interesy polskich rolników w 2023 r.

Państwa więc nie tylko walczą o nominowanie swoich ludzi na topowe stanowiska, forsują swoich także i na te pomniejsze. Kilkakrotnie obserwowałem, jak polscy kierownicy dyplomacji energicznie zabiegali o stanowiska dla pewnych ludzi, a bynajmniej nie byli to najlepsi polscy kandydaci, jakich moglibyśmy wystawić. Ale dawali rękojmię zaufania. Często jednak napotykali na twardy opór decydentów międzynarodowych.

Innym powodem słabości jest stosowanie w organizacjach międzynarodowych zasady kwot, przede wszystkim geograficznej. Państwa dbają o to, aby skład narodowościowy personelu odzwierciedlał zróżnicowanie i odpowiadał wielkości państwa (mniej więcej). Czasem więc to nie najlepsi pod względem merytorycznym wychodzą zwycięzcami z konkursów selekcyjnych. Decyduje kraj pochodzenia.

Ale jeszcze gorsze skutki daje polityka państw, zwłaszcza dużych, które nie chcą powierzać kierowniczych stanowisk w organizacjach międzynarodowych ludziom o silnym charakterze, samodzielnym, a więc często nieprzewidywalnym i nie poddającym się zewnętrznej kontroli. Wolą ludzi ostrożnych, podążających głównym nurtem, sprawnych, ale bez misjonarskiego zacięcia. A że pozbawionych często wszelkiej charyzmy, to takie już koszty własne polityki.

Najbardziej fatalne rezultaty daje jeszcze coś innego. Mój przygnębiający wniosek z wielokrotnego udziału w procesach selekcyjnych sugeruje, że biurokracja międzynarodowa instynktownie dąży do samoreplikacji. Przewagę zawsze będą mieć kandydaci, którzy przypominają decydentom w organizacjach międzynarodowych ich samych, są ich osobowości wiernym odbiciem. Oryginalność, nietuzinkowość,

nieszablonowość rzadko kiedy popłaca. Dla poparcia mojej tezy gotów jestem nawet przyznać, że moje sukcesy w aplikowaniu na stanowiska w organizacjach międzynarodowych są wyjątkiem potwierdzającym regułę. A i to tylko do pewnego stopnia. (To żarcik taki był – przypis mój).

Jestem zwolennikiem kadrowej rotacji personelu instytucji międzynarodowych. Kiedy w 1993 r. pomagałem pierwszemu sekretarzowi generalnemu OBWE tworzyć model kariery w tej organizacji, bardzo wspierałem jego propozycję, aby wszystkim pracownikom programowym (merytorycznym) oferować kontrakty o ograniczonym czasie obowiązywania, a umowy bezterminowe (stałe) proponować jedynie pracownikom obsługi (sekretarkom, kancelistkom, kierowcom i in.). Taki model jest jednak trudny do utrzymania. Presja ze strony pracowników na powszechne obowiązywanie kontraktów stałych jest we wszystkich organizacjach przeogromna. I jest podpierana mocnymi opiniami trybunałów pracowniczych. Bo czasowe umowy o pracę osłabiają ich szanse przy powrocie na krajowy rynek pracy, bo uniemożliwiają im robienie kariery, bo demotywują, bo zniechęcają najlepszych do pracy w instytucjach międzynarodowych. Argumenty te w ogóle mnie nie przekonują, nawet w odniesieniu do pracowników instytucji wyspecjalizowanych, technicznych, wymagających specyficznej wiedzy i doświadczenia. Bo jest właśnie na odwrót: umowy na czas nieograniczony odklejają pracowników od rzeczywistości, wypłukują inicjatywę i energię, fiksują na robieniu kariery, odcinają dopływ, zwłaszcza na szczeblu średnim i wyższym, zdolnych kandydatów. Nie ma bowiem jak zdrowy przepływ kadr między instytucjami międzynarodowymi i krajowymi. I jest on bardziej w interesie struktur międzynarodowych niż krajowych. Ale, jako się rzekło, umowy stałe (na czas nieokreślony) dominują w organizacjach międzynarodowych.

Można jeszcze było kiedyś w przeszłości żywić nadzieję, że tak wykreowana dożywotnio grupa międzynarodowych urzędników sprzyjać będzie konsolidacji kosmopolitycznej elity, która stanie się społeczną podporą procesu integracji globalnej. Ale okazało się, że ich wpływ jest żaden. Od 1975 r. istnieje nawet międzynarodowa federacja byłych urzędników międzynarodowych (FAFICS), zrzeszająca ponad 20 tys. byłych pracowników, ale interesuje ją przede wszystkim dbałość o prawa emerytalne i socjalne. Kampaniom o lepsze zarządzanie światem nie lideruje.

Biurokraci międzynarodowi nie chcą być podejrzewani o poczucie misji („nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż biurokrata z misją”). Próbowano kiedyś tworzyć dla Unii Europejskiej legendę instrumentu załatwiania konfliktu interesów między państwami członkowskimi metodą biurokratycznej procedury. Ba, nadal się próbuje. Ale każda biurokracja bez politycznych impulsów buksuje. Każda biurokracja bez publicznej presji się degeneruje.

Słabości i wynaturzenia biurokracji opisano obszernie i szczegółowo. Długo by je wymieniać. Merytokratyczna biurokracja pozostaje wszakże najlepszym modelem zarządzania, jak chciał tego Max Weber.

Nowa elita świata zglobalizowanego musi być merytokratyczna. Bo jednak nie ma lepszego od merytokracji sposobu na ład i społeczną sprawiedliwość. Także w

wymiarze globalnym. Globalna merytokracja wszakże nie uniesie na sobie ciężaru, jaki miała unieść w zjednoczonej Europie, czyli rozwiązywania napięć metodą biurokratycznego procedowania. Bo jest ona kulturowo obca w zbyt wielu regionach świata, chociażby i przede wszystkim w USA.

Istnieją już instytucje akademickie i programy, które stawiają sobie za cel kształtowanie nowej kosmopolitycznie nastawionej globalnej elity. Ale ich dyplomy przepustką do kariery międzynarodowej nie są.

Problemem pozostaje, że szansę na karierę, także międzynarodową, mają tylko ci, którzy chcą, i to bardzo tego chcą, aby karierę tę robić. Nie zawsze ci, którzy na to zasługują. W organizacjach międzynarodowych stanowisko powierza się tylko tym, którzy o nie aplikują. W sporcie, sferze kultury, na wyższych piętrach zarządzania w biznesie, talentów aktywnie się poszukuje, energicznie się o nie zabiega. W administracji publicznej, a w sekretariatach międzynarodowych tym bardziej, scoutingu się nie praktykuje.

Poza tym o kompetencjach rozstrzygają ci, którzy już tkwią wewnątrz instytucji, a nie ci na zewnątrz, na rzecz których pracę instytucja świadczy. Nieśmiali, skromni, niepewni swojej wartości, choćby geniusze, szans w organizacjach międzynarodowych nie mają. A w pokonywaniu szczybli kariery pomaga bezwzględność w dążeniu do celu, nawet na skróty, nawet „po trupach”, podkopywanie konkurentów, manipulowanie, a nawet kłamstwa i inne rzeczy uchodzące za niemoralne, ale mieszczące się w granicach prawa i procedur. A nie wszyscy się do tego nadają.

Często w procesie rekrutacji udaje się wyłonić grono osób o wyrównanych kompetencjach, porównywalnych zdolnościach, na tym samym poziomie umiejętności. Niech wtedy nie decydują względy polityczne, geograficzne, osobiste sympatie selekcjonerów. Niech decyduje po prostu los. Tak zawsze będzie uczciwiej i zdrowiej dla merytokracji. Niech kariery spełniają się przez rotację, a nie wyłącznie przez awanse. Niech obowiązują czasowe kontrakty. I oczywiście żadnych dynastii i rodzinnych koneksji w instytucjach międzynarodowych. Spotkałem na swojej drodze kilka małżeństw na kierowniczych stanowiskach w instytucjach międzynarodowych. Oczywiście działali unikając konfliktu interesów, w sposób etycznie czysty. Ale spekulacji co do niektórych ich działań wcale to nie ucinało. Może sobie prezydent Azerbejdżanu mianować małżonkę wiceprezydentem, ale na szczytach organizacji międzynarodowych tego rodzaju koneksje nie powinny być dopuszczane.

Dziś w karierach, kiedy rzeczywistość tak przyspieszyła, premiowana jest sprawność, wydajność. Widziałem to także w polskim MSZ. Był czas, kiedy w karierze pomagała tam nie tyle mądrość i kreatywność, co dyspozycyjność, organizacyjna zaradność i szybkość (w odpowiadaniu na maile szefa w szczególności).

Sztuczna inteligencja zmieni być może paradygmaty kompetencji. Liczyć się będzie to, czego jej samej brakuje, czyli kreatywność i wycucie moralne. Bo sztuczna inteligencja zastąpi większość biurokratycznych czynności. Najbystrzejszy nawet urzędnik jej w sprawności nie dorówna. Także międzynarodowy. Ale tym bardziej

doceniane będą kompetencje, których sztuczna inteligencja jeszcze długo, długo nie będzie w stanie opanować.

(Z wykorzystaniem notatek do wystąpienia w Odessie we wrześniu 2014 r.)

XVI. Potęga i porządek

Kluczem do polityki międzynarodowej od czasów niepamiętnych jest potęga. Potęga pozostaje też (przynajmniej na razie) narzędziem fundamentalnym w zapewnieniu porządku międzynarodowego. Jeśli potęgę definiować jako zdolność do wymuszenia pożądanego zachowania u partnerów, to bez potęgi jako gwaranta żadnego porządku nie będzie. Prawda to stara jak świat. Podobnie jak w dobrze funkcjonującym państwie nie sposób wyobrazić sobie ładu publicznego bez „stróżów prawa”, całego aparatu przymusu, który zapewnia respektowanie prawa. Opisywał Jared Diamond, że godziliśmy się już na etapie pierwotnych wspólnot na podporządkowywanie się władzy zwierzchniej w imię zapewnienia przez nią dwóch z naszych elementarnych potrzeb: bezpieczeństwa i sprawiedliwości.

W życiu międzynarodowym, gdzie żadnej władzy zwierzchniej nie ma, porządek zasadza się na zdolności społeczności międzynarodowej, czyli instytucji międzynarodowych, a tak naprawdę głównych mocarstw i mocarstwowym bloków, do egzekwowania regulujących porządek norm, czyli przede wszystkim zobowiązań wynikających z prawa międzynarodowego, innymi słowy do wymuszania odpowiedniego postępowania uczestników polityki międzynarodowej.

Zmieniał się na przestrzeni wieków sposób pojmowania potęgi. Utożsamiany był od zarania z rozmiarem siły militarnej. Dziś samą armią wiele się w polityce nie zwojuje. Kurczy się przestrzeń dla rozwiązywania problemów w stosunkach między państwami odwoływaniem się do argumentu siły. Doszliśmy do etapu, kiedy trzeba było wymyślić pojęcie „soft power”, czyli potęgi miękkiej. W niej liczy się polityczny autorytet, zdolność do określania agendy międzynarodowej, a nawet czysta społeczna sympatia, którą darzą nas za granicą. Siła militarna nadal jest argumentem, czego m.in. dowiódł Azerbejdżan obezwładniając militarnie Armenię i doprowadzając siłą do likwidacji (z jego punktu widzenia) problemu karabaskiego. A azerbejdżańskiej sile nikt albo nie chciał (Rosja), albo nie był w stanie (Zachód) przeciwstawić siły własnej.

Dziś na potęgę wpływają dwa megatrendy globalizacyjne: kosmopolityzacja świadomości społeczeństw (rozrywająca gorsety tożsamości narodowych) oraz emancypacja międzynarodowa jednostki ludzkiej (jej wyjście na arenę międzynarodową jako podmiotu polityki).

Wszyscy chcielibyśmy, aby nowy zglobalizowany świat żył według sentencji poety Maksymiana „Plus ratio quam vis caeca valere solet”. Nie muskuły, ale zwoje szarych komórek winny decydować o tym, kto ma rację. I jest prawdą, jak udowodnił to bezapelacyjnie Steven Pinker, skala przemocy w stosunkach międzynarodowych, na

przestrzeni wieków spada. Ale nadal państwa właśnie w potencjale militarnym (własnym i sojuszników) upatrują rękojmię bezpieczeństwa. Nie liczba noblistów, nie liczba wybitnych pisarzy czy kompozytorów, ale jakże często to liczba wyrzutni, czołgów, samolotów, głowic i jakość generałów decyduje o pozycji politycznej państwa (nie tylko w przypadku Rosji czy KRLD). Jak na cywilizację o dumnej nazwie cywilizacji człowieka myślącego, to jakże smutna konstatacja.

Badaczy, analityków i komentatorów od dobrych kilkunastu lat pasjonuje przede wszystkim zjawisko przesunięcia w układzie potęg. Raptowny wzrost potęgi gospodarczej Chin, połączony z dynamiką rozwojową innych państw tzw. Globalnego Południa, dał asumpt do wieszczania o kresie dominacji politycznej Zachodu w świecie, o jego cywilizacyjnym zmierzchu, o przemieszczaniu się ośrodka światowego przywództwa do Azji. Straszono perspektywą globalnej konfrontacji Zachodu z resztą świata, bo emancypacja owej reszty świata musiałaby oczywiście dokonywać się pod akompaniament tonów zdecydowanie antyzachodnich. Próbowano podsycać te antyzachodnie nastroje jeszcze bardziej putinowska Rosja. Kremlowscy stratedzy postawili wszystkie karty na perspektywę zapaści Zachodu. W analizach zaś wielu zachodnich znawców zaczęły dominować dystopijne, neospenglerowskie prognozy. Świat pozbawiony cywilizacyjnego przywództwa Zachodu miał pogrążyć się w chaosie. Stosunki międzynarodowe miały utracić sterowalność.

A już w prawdziwą depresję wpędzała zachodnich futurologów wizja świata rządzonego przez biednych gigantów, czyli Chiny, Indie i inne demograficznie pęczniejące państwa Południa. Bo nie dość, że państw tzw. Globalnego Południa jest zdecydowanie więcej niż państw zachodnich, i gdyby zwały się w spójny blok, przegłosowałyby Zachód w każdych demokratycznych głosowaniach na forum ONZ i innych organizacji globalnych, ale jeszcze dominowałyby nad światem ludnościowo. Samą ludnościową masą stanowiłyby wielką gospodarkę, wielki rynek, wielki potencjał. A jeszcze do tego, koncentrując wysiłki i nakłady, jak na przykład w Chinach, rzucić by mogły Zachodowi wyzwanie technologiczne czy naukowe.

Sam próbowałem przed laty oswoić się mentalnie z układem, w którym to nie USA, ale Chiny będą największym gospodarczo państwem świata, od stanu gospodarki którego uzależniona byłaby kondycja całego świata, od decyzji finansowo-walutowych którego zależeć miałyby polityka monetarna innych państw.

Wyobraziłem sobie Chiny jako stolicę światowego postępu technologicznego, patentami kontrolującą dostęp świata całego do nowych technologii. Wyobraziłem sobie Chiny jako centrum naukowo-edukacyjne świata, ściągające do swoich uczelni i ośrodków badawczych najtęższe umysły świata, monopolizujące nagrody Nobla w naukach ścisłych tudzież ekonomicznych. Wyobraziłem sobie Hengdian World Studios wypychające z globalnego rynku filmowego Hollywood i Bollywood razem wzięte. Wyobrażałem sobie nawet język chiński jako podstawowy język obcy w europejskich szkołach. Ba, o mało co sam nie zacząłem się uczyć chińskiego.

I co? I nic. Wizja świata pod przywództwem chińskim jest dziś w roku 2025 r. wizją odległą jak dla Słońca faza „czerwonego olbrzyma”, albo i nawet „białego karła”. Chiny nie dość, że nie są w stanie podtrzymać dynamiki wzrostu, to jeszcze

społecznie zaczęły się pograżać w stagnacji, pod względem zaś demograficznym weszły w stadium zwijania się.

A ten skazywany na zagładę Zachód okazuje się bynajmniej nadal wydolny gospodarczo i technologicznie, i jeszcze do tego kulturowo twórczy i atrakcyjny. Światowa kultura masowa jest kulturą zachodnią. A już Stany Zjednoczone nie dość, że Chinom jako motor postępu technologicznego dogonić się nie dały, to jeszcze lukę przewagi powiększyły. Militarnie, a i owszem, są Chiny dla USA już realnym rywalem, ale nie pod względem jakości technologicznej uzbrojenia. Chińska „miękka siła” zdruzgotana została ich „wilczą dyplomacją”, przechernym szpiegostwem gospodarczym, łamaniem praw człowieka, polityką w Sinciangu i w Hongkongu. Cały efekt pekińskich olimpiad na nic.

Wizja świata, w którym ton zadawaliby ubodzy giganci, a w podtekście – cywilizacyjnie bynajmniej niezbyt przodujące państwa, przywołuje znane z historii całkiem podobne przypadki. Choć w dzisiejszej sytuacji tego rodzaju porównania grzeszą polityczną niepoprawnością. Są wręcz uwłaczające. Ale jednak populistów na Zachodzie to nie powstrzymuje. Straszą „dziczą”.

Depresję mają u nas wywoływać paralele z opisami Rzymu (zachodniej części imperium) opanowywanego przez Ostrogotów, Longobardów, Wandali, Wizygotów, Franków czy Hunów. Często w tych opisach umyka, że barbarzyńskie plemiona były plemionami chrześcijańskimi, choć co prawda wyznającymi heretycki arianizm. Nie potrafiły jednak gospodarować, administrować, żyły z wojen i łupów, kultury były niskiej, w gruncie rzeczy prymitywnej. Były z perspektywy ludzi wychowanych w tradycyjnej kulturze rzymskiej dopustem bożym. Ale przecież przyczyniły się walenie do rozsądzenia skamielin „pogaństwa”, jego instytucji, pozwoliły Zachodowi przejść katharsis, który po wiekach zaowocował przyspieszeniem cywilizacyjnym. A ocalone przed barbarzyńcami Bizancjum pograżyło się przecież w stagnacji, aż legło w gruzach pod ciosami Arabów i Turków.

Barbarzyński ucisk w pamięci zbiorowej Rosjan, Hindusów, Chińczyków czy Persów wiązany jest z najazdem Mongołów. Ci jednak i w Chinach, i w Indiach uznali wyższość kulturową podbitych i sprawnie się z nimi zintegrowali. A w Rosji nawet dziś dominacja „Mongołów” uważana jest za mniejsze zło w porównaniu z dyktatem Zachodu. Polityczna elita woli być wasalem Chin niż wasalem Zachodu.

W Polsce rządy pod zaborem rosyjskim i w ramach „obozu państw socjalistycznych” były traktowane jako upokarzające panowanie niższego nam kulturowo plemienia Słowian. Nic to, że Sowietów wysyłali rakiety w kosmos i posiadali technologię atomową. Myśmy przecież byli jako Polacy, w naszym twardym mniemaniu, częścią wysublimowanego Zachodu i w codziennych manierach wyżej staliśmy od Rosjan na piętra wręcz licząc. Choćby z tego powodu przyniesiony z Moskwy komunizm w Polsce przyjąć się nie mógł, bo traktowany był jako ochlokracja. Czy gdyby komunizm dotarł do nas z Paryża (bo na pewno nie z Berlina), miałby większe szanse społecznej akceptacji, można raczej wątpić.

Parag Khanna analizował kiedyś zjawisko państw sierocych. Wyliczył (przed dobrą dekadą), że ponad 130 państw w świecie jest beneficjentami pomocy żywnościowej. Co najmniej 20 państw pokrywa swój budżet w ponad 50 proc. przez dopływ pomocy zagranicznej.

Oczywiście dziś „biedni” nie znaczy prymitywni, barbarzyńscy. Choć niestety bieda będzie się wielu kojarzyć z zacofaniem. I jest bieda nadal symbolem upośledzenia. Z pewnością jednak państwa i społeczeństwa ubogie inaczej widzą priorytety świata. Widać to codziennie na forum ONZ.

Nie wypada o tym otwarcie pisać, ale dla wielu, także zachodnich polityków, rządy „biedoty” (cóż, że „oświeconej”) nad światem byłyby dla Zachodu mało kuszącą perspektywą.

Trzy na jej uniknięcie sugerowano sposoby.

Pierwszy to konsolidacja Zachodu. W ramach tego trendu intelektualnego pojawiła się teza o konieczności przekształcenia Europy w „liberalne imperium”, bo przyszłość świata określać będzie kondominium gigantów, a głosiły te tezy wybitne oksfordzkie umysły przecież, co wyjściu Wielkiej Brytanii z UE i pójściu jej w wyniosły samopas na forum globalnym nie zapobiegło. Mówiłem i pisałem wielokrotnie, że owe geopolityczne względy nie powinny być postrzegane jako wyznacznik europejskiej tożsamości. Ja wolałbym, aby europejska tożsamość zasadzała się głównie na wspólnocie wartości. Przyjęcie Ukrainy w skład Unii Europejskiej miałoby niewątpliwie ważny walor geostrategiczny, ale nie chciałbym, aby dokonywało się kosztem pójścia na ustępstwa w sferze wartości. W przypadku akcesji Turcji tym bardziej.

Ale Zachód niewątpliwie, jak pisałem wielokrotnie, winien się konsolidować. Inna sprawa, że wiązanie przyszłości świata z dominacją „liberalnych imperiów” wątpliwa to dla mnie perspektywa. Ale o tym wkrótce.

Druga opcja – odgrodzenie się Zachodu, jego zamknięcie w sobie, zajęcie się własnymi sprawami (i w efekcie sprzeniewierzenie się traktowanemu jako część jego tożsamości uniwersalizmowi). Do tego zmierzał przecież trumpizm w polityce zagranicznej USA przed laty i tak jest też interpretowany w nowym wydaniu. Wezwania do odgrodzenia i zajęcia się własnymi sprawami przejęli w Europie różnej maści populiści. A postmodernizm legitymizował prawowitość wszystkich kultur, ich równoważność. Więc mogłyby sobie systemy różnych wartości po prostu w świecie geograficznie koegzystować. Nikt nie rościłby sobie prawa do przywództwa. Czy kultura, na ten przykład, w której honorowe zabójstwa czy bicie żony są normą, prześladowanie gejów boskim prawem, pozbawianie jednostki swobodnego głosu wymogiem spokoju społecznego, korupcja i rozkradanie państwowych środków tradycyjną metodą oliwienia gospodarki, może być uznana za równoważną naszej zachodniej kulturze, przy wszelkim poszanowaniu zasad poprawności politycznej, teza to budząca uzasadniony sprzeciw. Nie tędy więc chyba droga.

Trzeci wreszcie sposób zapobieżenia globalnym rządóm „biedoty” – rząd światowy. Ktoś tłumaczył mi kiedyś, że podejrzliwość, z jaką na ideę rządu światowego patrzą

stratedzy Południa, wynika z tego, że węższą w niej podstęp, z pomocą którego Zachód przedłużyłby swoją polityczną dominację w sytuacji, kiedy tzw. przesłanki obiektywne skazywałyby go na drugoplanową rolę.

Ale, ale, bardziej jednak znaczącym dla zrozumienia stanu współczesnego świata od zmian w hierarchii potęg, jest potęgi dyfuzja. Przekonuje mnie to jako wyznawcy teorii entropii politycznej bezdyskusyjnie. Środowisko międzynarodowe tak się zagęszcza i komplikuje, że w sposób naturalny ogranicza swobodę działania państw jako podmiotów polityki międzynarodowej. Państwa tracą monopol na stosowanie siły, na kontrolowanie przepływu ludności i informacji. Na arenę międzynarodową wkroczyła jako podmiot jednostka ludzka. W kontakty wstępują rozliczne instytucje państwowe rozbijając monolit państwa jako podmiotu, nawiązują bezpośrednie kontakty miasta, rośnie aktywizm organizacji pozarządowych. Powstaje nowa globalna sieć. A podstawowa cecha zdrowej sieci, jakby nie było, polega na tym, że połączeni są wszyscy, ale nikt nie jest w stanie jej kontrolować. Stosunki międzynarodowe weszły (przywołując Baumana) w stan płynny. Wszystko się rozlewa, płynie nieprzewidywalnym nurtem, rwie ustalone brzegi. Ani to zawrócić ku źródłu, ani poddać się niesieniu bezwolnie prądom, bo co i rusz mielizna jakaś, ślepa odnoga.

Moises Naim przed paru laty obwieścił kres potęgi. I to we wszystkich obszarach życia – i w gospodarce, i w polityce. Mikropotęgi zaczęły ograniczać dyktat makropotęgi.

Po latach można powiedzieć, że Naim przesadził. Ale prawdą jest: stara definicja potęgi opierająca się na sile militarnej coraz mniej okazuje się przydatna. Bo, paradoksalnie, zgromadzony obecnie jej nadmiar (broń nuklearna) łączy się z coraz większą trudnością w jej zastosowaniu. Bogactwo państw rośnie, ale koszty wojny są coraz bardziej horrendalne. Na szybką operację militarną można sobie pozwolić, ale długotrwałą wojnę wytrzymać mogą tylko państwa dysponujące niezakłóconym dopływem gotówki (dopływu, jaki na przykład z tytułu eksportu surowców ma Rosja, co może zachęcać Putina do szykowania się na długą wojnę, lecz jeśli Zachód będzie solidarnie wspierał Ukrainę, gospodarczo Putin konfrontacji nie wydzierży). I rośnie krąg społeczeństw, gdzie spada akceptacja dla ludzkich ofiar, które z wojną się wiążą (nie tylko po własnej stronie). Pisano przed dwoma dekadami, że dzisiejsze wojny, to wojny biedaków, w których to wojnach na szali nie stawia się własnego dobrobytu jako ceny wojny, bo i tak nie ma czego stawiać.

Pojmowanie potęgi się zmienia, ale o tradycyjnie pojmowane źródła potęgi nadal wypada dobrze dbać. Dbać nadal trzeba o rozmiar i jakość gospodarki. O stan armii. O jakość sojuszy. Nasz wzrost gospodarczy był rękojmą rosnącej potęgi Polski. Poprzednie rządy generując potężne zadłużenie i zaniedbując udział inwestycji w PKB procesy budowy naszej potęgi obiektywnie skomplikowały.

A do tego dochodzi czynnik czysto polityczny. Jesteśmy co prawda szóstą pod względem wielkości gospodarką w Unii Europejskiej, ale nasza pozycja w Unii, w mniemaniu wielu komentatorów, bynajmniej nie tylko z powodu polityki lat minionych stała się pozycją politycznie marginalną. Dopiero teraz jest odbudowywana.

Nawet jeśli szczodre inwestycje w uzbrojenie armii wywindowały Polskę w rankingu potęgi militarnej w ramach NATO bardzo wysoko, bo pod względem wielkości stanów osobowych aż na miejsce trzecie, pod względem siły uderzeniowej na miejsce drugie, to nie przekłada się to jeszcze na nasz wpływ na politykę Sojuszu.

Widać wyraźnie, że nasza „miękka potęga” wyraźnie nie nadążała w ostatnich latach za naszymi aspiracjami wynikającymi z „czystej potęgi”. Polskiej elicie politycznej brakowało niewątpliwie finezji w polityce zagranicznej. Często wskazywano w krytycznych analizach, że brakowało jej zrozumienia dla świata, brakowało instrumentów (w tym języka, także w rozumieniu dosłownym) w komunikowaniu się ze światem. Polskie życie polityczne trąciło prowincjonalizmem, i to nie tylko za sprawą obozu prawicowego i jego świadomej polityki.

Kiedy byłem w Armenii, bardzo introwertycznej i skupionej na sobie, przekonałem się, że ministrowie i wiceministrowie we wszystkich, nawet trzeciorzędnych resortach, znali co najmniej dwa języki obce. I to w sposób co najmniej dobry. A u nas? Był przecież nawet czas i to nie tak dawno temu, kiedy nasz ambasador w jednej z ważnych dla nas instytucji bez tłumacza na angielski nie prowadził żadnych z partnerami rozmów.

A dyplomacja polska aż przerażała wielu publicystów swoim prowincjonalizmem w codziennym działaniu. Zajęta była w tych opisach wyłącznie tzw. polskimi sprawami, czyli Polonią, polskimi kościołami, organizacją wizyt czynowników z Warszawy. Wyżywała się w zarządzaniu majątkiem, personelem i sprawami konsularnymi. Sam się przyznam, że kiedy w 2016 r. zostałem zaproszony jako gość na doroczną naradę polskich ambasadorów, miałem wrażenie, że zjechali się na nią kierownicy administracyjni, bo tylko problematyka finansowo-administracyjna potrafiła ożywić atmosferę na sali. Ja wiem, że paraliżował im gardło w sprawach merytoryczny zwykły strach. Ale też niejednokrotnie i brak poglądu. Jeden z polskich ministrów spraw zagranicznych chciał, aby polski ambasador zawsze „boksował ponad swoją kategorię wagową”, czyli znaczył w miejscu urzędowania nawet więcej niż jego kraj (i tezę jego gorąco popierałem). Pytało wielu znawców, czy ostał się na koniec 2023 r. choć jeden taki „egzemplarz”?

Wielu obserwatorów uważa, że dyplomacja polska przez ostatnie lata dokumentnie znikczemniała, a nawet że Polską dyplomację wprowadzono w stan wegetatywny.

Ale czy jest tzw. zapotrzebowanie społeczne na bardziej ambitną dyplomację?

Polskie media interesują się światem przeważnie przez pryzmat katastrof, wojen i skandali celebryckich. Dominują sprawy krajowe. Szerokiego świata nie ma. Tu kolejna ilustracyjna dygresja: aby tezę tę uzasadnić rozłożyłem kiedyś przed znajomym egzemplarze Neuer Züricher Zeitung i Gazety Wyborczej. NZZ to bynajmniej nie Financial Times czy FAZ, a Szwajcaria to ponoć skupiony na sobie, słabiej niż my zintegrowany z Europą i światem kraj, i to ponad czterokrotnie mniej ludny od Polski. A Polska wiadomo – „serce Europy”, skrzyżowanie magistral transkontynentalnych, przeciąg strategiczny. GW to niewątpliwie dziennik o najszerzych międzynarodowych horyzontach na polskim rynku. A jednak porównanie

ilości i jakości materiałów poświęconych zagadnieniom międzynarodowym w tych dwóch dziennikach wypadło dla Polski druzgocąco źle.

Konkluzja prosta: nie uda nam się jako Polsce zbudować zdrowej „miękkiej potęgi” i odrodzić dyplomacji bez przełamania prowincjonalizmu w naszym myśleniu o świecie.

(Z wykorzystaniem elementów wykładu w Pradze w maju 2024 r.)

XVII. Pojednanie i pamięć

Kiedy w 1992 r. poproszono mnie o sugestie do polskiego przemówienia na szczycie KBWE w Helsinkach, zaproponowałem, aby do dekalogu zasad regulujących stosunki między państwami w Europie, przyjętego w 1975 r., dopisać dwie dodatkowe zasady. Pierwszą z nich miałyby być zasada pojednania. Zgodnie z nią, częścią procesu budowy lepszego jutra dla Europy winno być rozliczenie się z historią i wzajemne przebaczenie win. Tak wtedy mi się wydawało. Wałęsa, zdaje się, do postulatu pojednania nawiązał w wygłoszonym wtedy przemówieniu, wykorzystując fragmenty tekstu, który przygotowałem. Oczywiście nikt słów polskiego przemówienia nie potraktował z należytą refleksją. Jeśli je usłyszano, to zinterpretowano je zapewne jedynie jako chwytliwą figurę retoryczną.

W Europie, gdzie, wydawałoby się, francusko-niemiecki przykład zachęcił innych do powszechnego naśladowania, przeszłość nadal straszy upiorami. Poprzedni rząd polski rozpętał przed wyborami w 2023 r. niesłychaną wręcz kampanię antyniemiecką. Podparł ją żądaniem reparacji (niebagatelne 1,3 biliona dolarów). Ówczesny polski ambasador w Berlinie publicznie stwierdził w 2023 r., że „brak odszkodowań dla Polski oznacza również, że Niemcy nie zamknęły ostatecznie swojego rozrachunku z przeszłością i faktycznie odrzucają ciężącą nad nimi spuściznę III Rzeszy”. Mimo wszystko, według niego, „Niemcy mają szansę zbudować stabilne i zdrowe relacje z Polską, ale jedynie w oparciu o historyczną prawdę i sprawiedliwe zadośćuczynienie”. Dodał, że „bez tego Niemcy nie mogą liczyć na szczere pojednanie z polskimi sąsiadami”.

Okazało się, że ponad pół wieku wysiłków, zapoczątkowanych przełomowym orędziem polskich biskupów, to jeszcze za mało. Bo nie było szczodrego finansowego rozliczenia? Te wspólne programy młodzieżowe, fundacje, wspólne badania, a nawet uniwersytety, wspólne podręczniki historii, ekspiacie niemieckich polityków – wszystko to mało, wszystko w piach? „Nie ma pojednania bez pieniężnego rachunków wyrównania” – miałyby brzmieć nowa polska dewiza w stosunkach międzynarodowych? Że też polscy biskupi o tym

nie pomyśleli, kiedy przed sześćdziesięciu śmiało odważyli się dłoń wyciągnąć ku pojednaniu. Chociaż komunistyczna władza akurat za to, że nie zażądali zadośćuczynienia, ich wtedy nie krytykowała.

„Udzielamy wybaczenia i prosimy o nie” – fraza genialnie lotna (i nagrody godna, jak napisałby Pilch, i słusznie, bo Pokojowego Nobla warta do dziś) wpisana do listu z 1965 r., mogłaby się zresztą stać wielkim polskim wkładem do polityki międzynarodowej. Tak myślałem sobie przed trzydziestu laty. Wyobraziłem sobie, że można na tym zbudować pole dla naszej aktywności dyplomatycznej, nie tylko w Europie. Parę razy, a ostatni raz w roku 2005 r., o tym nawet na głos powiedziałem. Ale głos był to widocznie za cichy i na rzeczywistość nie wpłynął. Kiedyś jeden z tureckich intelektualistów zaangażowany w sprawę pojednania z Ormianami, uznał tę frazę polskich biskupów za sentencję przełomową w historii stosunków międzynarodowych. Zgadzam się z nim.

Próbowałem więc później jako unijny ambasador w Armenii przenieść mądrość listu polskich biskupów na grunt relacji Ormian z Turkami i Azerami. Z wielkimi wtedy oporami nawet ze strony Ormian. Podstawowa trudność polega w tym kontekście na tym, że w odróżnieniu od Niemców Turcy w oficjalnej polityce wypierają swoją winę (za ludobójstwo 1915 r. i nie tylko). A Azerowie sami czują się ofiarami i do czasu ustanowienia pełnej kontroli nad Górskim Karabachem o pojednaniu nawet myśleć nie chcieli (i, na ten przykład, nie wpuszczali na swoje terytorium ludzi o ormiańskich korzeniach, o czym przekonał się sam Krzysztof Penderecki).

A w świecie poważniejszych przypadków wymagających pojednania jest jeszcze kilka co najmniej. Irańczycy (i nie tylko oni) nie mogą rywalizować ze sportowcami z Izraela, bo zakazują im tego ich władze. Ukraińcy nie chcą teraz podawać rąk po zakończeniu zmagania z Rosjanami.

Na mistrzostwach świata w lekkoatletyce w 2023 r. złoto w oszczepie zdobył Hindus, a srebro Pakistańczyk. I pozwali wszakże razem do zdjęć jeszcze na bieżni stadionu. Rzadki to i napawający optymizmem obrazek. Na olimpiadzie w Paryżu ich role się odwróciły, ale nie zabrakło ponownie wzajemnych szczerych gratulacji. Za to Koreańczycy z Północy mają mieć podobno nieprzyjemności za pozowanie do selfie na medalowym podium z krajanami z Południa.

Przyleciałem kiedyś (na paszporcie dyplomatycznym) do Ammanu. Pogranicznik przeglądając mój paszport nagle zapytał: „A jak miała na imię Pana matka?” Zdębiałem, bo nikt nigdy o imię matki na granicy mnie nie pytał. „Zofia” – odpowiedziałem speszony. Ale korciło mnie, aby dopytać, czy jeśliby miała na imię Estera, Sara czy Rachela, to czyniłoby to jakąkolwiek różnicę.

Bo czy można budować poczucie wspólnoty w świecie, czy można krzewić nową tożsamość globalną, jeśli między niektórymi plemionami tego świata utrzymuje się emocjonalna wrogość?

My jako Polacy mamy oczywiście jeszcze w relacjach z sąsiadami sprawy dotyczące historycznego pojednania do ułożenia. Fakt, sąsiedztwo mieliśmy trudne.

Na zachodzie – Niemcy, wiadomo. Problem o tyle prosty, że Niemcy swoich win wobec nas nie negują. Choć dopiero teraz do powszechnej świadomości dochodzi tam winy rozmiar. Przedtem czuli jej ciężar wobec Żydów, ale Polacy jako ofiary ich zbrodni w edukacji historycznej gdzieś im się gubili. Mają jeszcze nad czym popracować i to na lata naprzód. Niezależnie od sprawy finansowego zadośćuczynienia.

Na południu – Słowacja. Zadr historycznych w relacjach prawie żadnych. Polscy i Słowaccy historycy pięknie się zresztą dogadali w sprawie interpretacji dziejów Spiszu. Nie wymaga nawet Spisz gestów pojednania. Czesi nasze przeprosiny za zajęcie Zaolzia przyjęli. I za inwazję w 1968 r. Głębiej w dzieje wzajemne zaglądać nikt nie chce.

Na wschodzie – z Litwinami, jeśli pojawiały się po 1990 r. problemy, to na tle praw mniejszości polskiej, a nie historycznych zaszłości. Litwini przeprosin za akcję Żeligowskiego i jej skutki się nie domagają. Ale już z Ukrainą, w opinii przeważającej części polskiego społeczeństwa, bez jej szczerego rozliczenia się za Wołyni pojednania nie będzie, nawet po odparciu agresji rosyjskiej. Można jedynie wierzyć, że obecna wojna przyniesie Ukraińcom bohaterów i wyczyn, który pozwoli dać sobie spokój z gloryfikacją Bandery dla budowy własnej tożsamości. I da poczucie dumy, które pozwoli zmierzyć się z trudną przeszłością.

Najtrudniej niewątpliwie będzie nam budować pojednanie z Rosją. Przede wszystkim dlatego, że imperialna Rosja (dziś putinowska) win wszelakich się wypierała i wypiera. Nie tylko wobec Polski. A wręcz wyrazów wdzięczności się od swoich ofiar domaga (za „wyzwolenie” od faszyzmu, za Ziemie Zachodnie, za pomoc w odbudowie po II wojnie światowej). W miarę grzęźnięcia Rosji w napastniczej wojnie przeciw Ukrainie, Polska i Polacy w państwowej propagandzie rosyjskiej urosli do wrogów numer jeden, genetycznych rusofobów, historycznych niewdzięczników. A i w Polsce obraz Rosji i Rosjan stał się głęboko negatywny. Przestano grać nawet rosyjskich kompozytorów w teatrach operowych i filharmoniach. W narracji politycznej w Polsce przymiotnik „ruski” stał się najgorszą inwektywą, synonimem zdrady i zaprzaństwa.

Póki Rosją rządzić będą spadkobiercy imperialnego myślenia, przełomu w stosunkach z Polską (i kilkoma innymi sąsiadami) nie będzie – prawda to oczywista. Ale wierzyć w pojednanie przestać nie wolno. I próbować je podejmować, kiedy nastąpi dobry czas. Bo taki czas musi nastąpić. Nawet jeśli nieprędko.

Kiedyś zresztą twierdziłem, nawet jeszcze do 2014 r., że trzeba nam (nie tylko Zachodowi, Europie, ale i Polsce) pokazywać, że mamy ofertę pozytywnego programu wobec Rosji. Nawet jeśli nie żywiliśmy większych nadziei, że Rosja będzie w stanie z niej skorzystać. Kiedy w 2009 r. Obama zaczął resetować stosunki USA z Rosją, mogłem rozumieć jego motywy, choć za wysoce niezręczne uważałem publiczne gesty kumplowania się z Miedwiediewem, Putinem czy Ławrowem już w pół roku po agresji rosyjskiej na Gruzję.

Rozumiałem też próby naprawy relacji z Rosją podejmowane przez ówczesny polski rząd. I dały one pewne dobre plody, jak choćby w ramach Komisji ds. trudnych. Ale nie podzielałem wiary, że może ta polityka istotnie doprowadzić do jakiegoś przełomu w relacjach. A już z zażenowaniem patrzyłem na inercję tego procesu, kiedy po protestach na Placu Błotnym w l. 2011-2012 widać było, że powrót do ostrej konfrontacji jest nieuchronny, bo Putin zaczął oskarżać Zachód o politykę „regime change” w Rosji, a wycofali się rakiem z resetu Amerykanie. Wtedy już naszej polityce wobec Rosji trzeba było zaordynować ostrą korektę kursu. I ona przyszła, ale dopiero po aneksji Krymu w 2014 r.

Problem z Rosją przez wieki polegał na tym, że jej liderzy chcieli u swoich partnerów (a zwłaszcza sąsiadów) wywoływać albo strach (kiedy była silna) albo współczucie (kiedy dotyczyła ją smuty i nieszczęścia). Wierzyć trzeba, że pojawią się kiedyś w Rosji liderzy, którzy wzorem innych normalnych krajów będą chcieli zjednywać u partnerów po prostu szacunek. Wtedy się pojednamy. Bo żyć w bezpośrednim sąsiedztwie z agresywnym, zapiekłym, wrogim narodem przyszłym pokoleniom Polaków nie życzę.

A inne nacje? Choćby nasz sąsiad przez Morze Bałtyckie – Szwecja. W 2005 r. ambasador szwedzki przeprosił za potop, ku zaskoczeniu wszystkich, bo nikt tego przecież nie oczekiwał. Ale zwrócić zrabowanych wtedy i potem dzieł polskiej kultury (Statut Łaskiego!) Szwecja twardo nie chce. Bo Szwecję przed wiekami też obrabowywano? Oczywiście, że nie. My mamy chociaż silny argument niezwracania Niemcom „berlinki”. Bo oni za zniszczone i zagrabione dzieła rekompensaty żadnej nie przewidzieli, a nawet większej chęci w odnajdywaniu łupów w zbiorach prywatnych nie okazali. Ale Szwecja argumentów żadnych nie ma. I te polskie dzieła kultury z punktu widzenia ich tożsamości kulturowej nawet po czterystu latach pozostają ciałem obcym.

Co innego chociażby egipski obelisk w Paryżu, nieprawdaż? Oczywiście żarty sobie stroję. Otóż, logika postępu moralnego nie pozostawia wątpliwości. Te wywiezione i zagrabione pamiątki kultury winny wrócić na swoje pierwotne miejsce. Nawet takie marmury Elgina, choć ekspediowano je, aby uchronić przed totalną destrukcją przez tureckich okupantów. Nawet egipskie mumie, mimo, że prawowici spadkobiercy starożytnych Egipcjan są w Egipcie ledwo skromną mniejszością, a Arabowie (też pod rządami Turków) traktowali przez wieki te zabytki jako obce kulturowo (świątynię w Karnaku niszczyli muzułmańscy fanatycy, a świątynię w Luksorze „wzbogacono” o minarety, etc.), o nie specjalnie nie dbali, ale dziś traktują je jako część swojej tożsamości. Zwrot dóbr kultury do ich miejsc pierwotnych musi stać się normą!

Mocne argumenty stoją za tezą, że tak rozkopywać przeszłość się w nieskończoność nie da, że trzeba mieć śmiałość gdzieś tam na linii czasu grubą kreskę postawić. Nikt przecież w Polsce nie będzie domagać się od Mongolii przeprosin za inwazję wojsk Czyngis Chana i wyrżnięcie kwiatu śląskiego rycerstwa pod Legnicą. Ale okazuje się, że stare rany potrafią się po latach zaogniać. Tak traktuję przybierające na sile żądania odszkodowań za eksploatację kolonialną. Niemcy przekazały zresztą ponad miliard euro rządowi Namibii za zbrodnie dokonane przed ponad wiekiem na miejscowych ludach. Premier Niderlandów przeproszał za praktykowanie niewolnictwa na terenach byłych kolonii i to przed dwustu laty. Wyrzuty zatem są silne.

Inni twierdzą, że nowego świata na rozpamiętywaniu krzywd się zbudować nie da. I przekonują, że dla młodych przeszłość nie ma już tak wyrazistego wymiaru, że im się w świadomości przeszłość spłaszcza, a co ich interesuje i jednoczy w tożsamości to spojrzenie w przyszłość. Pojednanie historyczne dla wspólnej globalnej tożsamości jest w tej logice wcale niekonieczne. Przywołują przykład Unii Europejskiej. Cytują Hans-Magnusa Enzensbergera, który dowodził, że po II wojnie światowej Europejczycy znaleźli schronienie w „kolektywnej amnezji”. I to z jakim dobrym skutkiem! Więc i dla świata jedynym wyjściem jest kolektywna amnezja. Zaraz też znaleźli się komentatorzy insynuujący, że narody, które wypierają się win, idealnie nadają się do nowego świata. I twierdzą oni, że turecki negacjonizm wobec ludobójstwa Ormian nie powinien być przeszkodą dla członkostwa Turcji w UE, ale wręcz argumentem na rzecz szybkiej jej akcesji.

„Niepamięci niech się święci cud”?

Od trzydziestu lat (po obaleniu apartheidu w RPA) karierę robi tzw. sprawiedliwość tranzycyjna. W państwach, które zrzucały z siebie opresyjne rządy, wychodziły z wojen domowych, rozpoczynały budowę nowego ładu wewnętrznego, przyjęto wprowadzać mechanizmy rozliczania zbrodni, rekompensowania cierpień, rewizji wyroków sądowych, lustracji i weryfikacji służb państwowych, w tym zwłaszcza tzw. siłowego segmentu.

Podobnych mechanizmów dla relacji między państwami nigdy nie wprowadzono. Czy postulowane w raporcie Panelu SG ONZ powołanie Rady Budowania Pokoju miałyby wypełnić te luki? Wątpliwe, bo zadanie to niesłychanie trudne. Czy dla przykładu Rosja i Ukraina zgodziłyby się na zaangażowanie ONZ w odbudowę zaufania między nimi po zakończeniu otwartej wojny?

Widziałem, z jaką nieporadnością instytucje międzynarodowe radziły sobie z odbudową relacji między państwami i społeczeństwami post-jugosłowiańskimi i nie tylko między nimi, choć szczególnie między Serbią a Chorwacją, Słowenią, Bośnią i Hercegowiną, o relacjach Serbii z Kosowem lepiej nie wspominając. Jedni uważali, że pamięć złych emocji zatrze się sama, inni stawiali na subregionalne struktury, jak Pakt Stabilności dla Europy Południowo-Wschodniej (a później Rada Współpracy Regionalnej), czy Proces Współpracy Europy Południowo-Wschodniej. Inni zapewniali, że problemy same znikną po zakotwiczeniu wszystkich państw w Unii Europejskiej.

Problem polega wszakże na tym, że populiści wszelkiej maści, zwłaszcza w zagubionych czasach, będą grzebać w historii dla wzniecania emocji, które poniosą ich ku władzy. Mniejsza z ich retropijnymi wizjami, które mają kłamliwie mamić i społeczeństwo ogłupiać. Gorzej z uprawianą przez nich tzw. polityką historyczną, która każe szukać wytłumaczenia własnych niepowodzeń w minionych krzywdach i cierpieniach zadawanych przez sąsiadów.

A pamięć pozostaje plastyczna i selektywna. Na fali propalestyńskich demonstracji po terrorystycznym ataku Hamasu i akcji Izraela w strefie Gazy rozlał się po europejskich stolicach otwarty antysemityzm. Nawet w Warszawie. We Francji sam prezydent Macron musiał wezwać współobywateli do zatrzymania pochodu antysemityzmu. Europa, która przeszła przez Holokaust, znów stała się dla Żydów niebezpiecznym dla mieszkania miejscem. Oczywiście powód jest prosty. Masowy napływ muzułmańskich migrantów wpływa i pod tym względem na tożsamość historyczną Europy. Dla nich Holokaust nie jest doświadczeniem definiującym spuściznę historyczną. A skutek tego taki, że w Europie można sobie już bezwstydnie przyrównywać premiera Izraela do Hitlera (a w Rosji Żyda Zełenskiego definiować jako nazistę). Co jednak trudniejsze w wytłumaczeniu, to zjawisko przenikania postaw antysemickich do partii i ruchów lewicowych w Europie. Narodowa prawica utraciła historyczny monopol na antysemickie poglądy. Pełno ich teraz na lewicy, która, o świąty paradoksie, przyciągała w przeszłości polityków o żydowskiej proweniencji i zwalczała antysemityzm.

Ze smutkiem obserwowałem też, jak za rządów Putina aplikowano Rosjanom przekazy mające wywołać amnezję wobec niszczycielskiej spuścizny ostatniej wojny światowej. Nie czyniono tego nawet za komunistów, a groźba totalnej wojny nuklearnej była wtedy całkiem realna. Propaganda putinowska karmiła

Rosjan, w tym zwłaszcza młodych, bajkami o wojnie jako rzeczy zwyczajnej, przygodzie życia wręcz, misji chwalebnej. Latami przygotowywano społeczeństwo na bezsensowną śmierć tysięcy młodych ludzi, na wyrzeczenia i ofiary, które żadnego celu poza realizacją imperialnych omamów przywódcy nie mają.

Wydawałoby się, że europejskie doświadczenia minionych wojen powinny być wieczną przestrogą przed wszczynaniem nowych awantur. Oby tylko nasza Europa, Europa Unii Europejskiej, nie została dotknięta świeżą amnezją, jak w przypadku Holokaustu i antysemityzmu.

Więc chyba jednak i nowego świata, o którym tyle na tych stronach, nie da się zbudować na amnezji. Potrzeba więc wysiłku pojednania.

XVIII. Pojednanie i wiarygodność

W czasach zimnej wojny zachodni dyplomaci wyrzucali przedstawicielom tzw. obozu socjalistycznego, kiedy ci kwestionowali związek praw człowieka i demokracji z relacjami międzypaństwowymi: „Jak mamy ufać waszym rządóm, skoro nie ufają im nawet własni obywatele?”.

Pytanie pokrewne na dziś: czy możliwe jest budowanie zaufania w relacjach z państwem, które nie tylko nie rozliczyło się z własnych relacji ze światem zewnętrznym, ale nawet nie rozliczyło się z własną przeszłością? Nie jest to bynajmniej pytanie abstrakcyjne. Dotyczy ono – nie przymierzając – polskiej oceny przyszłej możliwości odbudowy zaufania wobec Rosji. I nie tylko odbudowy zaufania do Rosji przez Polskę. Jeszcze bardziej choćby zaufania Ukrainy wobec Rosji, kiedy zakończy się wojna.

Po upadku ZSRR, po upadku komunizmu w Rosji mało kto na Zachodzie się przejmował, czy i jak Rosjanie dokonają rozrachunku z trudną historią bolszewizmu, jak zorganizują sobie tzw. sprawiedliwość tranzycyjną. Nie wszystkim było to obojętne. Polsce nie było, również dlatego, że wielu Polaków miało osobisty interes w tym, aby prawda o zbrodniach i naruszeniach praw człowieka za sowieckich czasów wyszła na światło dzienne, a sprawcy zostali wskazani, skazani lub potępieni. Ten osobisty interes miała także moja rodzina.

Na Zachodzie wszakże dominowała obojętność. Tam utrwaliło się przekonanie, że najważniejsza jest wewnętrzna stabilność w Rosji, jej przewidywalność. Jeśli rozliczenia miałyby zachwiać proces wychodzenia Rosji z komunizmu, mogły stać się przeciwnie skuteczne. Tak tam sobie myślano.

Po latach nie sposób nie żywić przekonania, że nie byłoby Putina, nie byłoby powrotu autorytaryzmu i imperializmu w rosyjskiej polityce zagranicznej, gdyby Rosja należycie osądziła własną komunistyczną przeszłość i przedsięwzięła uczciwą sprawiedliwość tranzycyjną. Coś tam i jakoś tam rozliczała. Rehabilitowała tysiące, jeśli nie miliony niewinnych ofiar. Odtajniała dokumenty. Obalała pomniki. Ale zatrzymała się w sumie na początku procesu. A potem nastąpił putinowski regres. Symbolami fiaska stały się powrót pomnika „Żelaznego Feliksa” do Moskwy (przed siedzibę Służby Wywiadu Zewnętrznego) i delegalizacja „Memoriału”.

Dziś Zachodowi nie jest więc obojętne, jak Rosja odbuduje sprawiedliwość po rządach Putina. Kiedykolwiek nie naszedłby ich kres.

Opozycja w Rosji, zwłaszcza antywojenna, chce przyswoić sobie doświadczenia innych państw, które wyzwały się z opresyjnych reżimów. To chwalebne. Doświadczeń jest multum, także z obszaru Rosji najbliższego, czyli państw, które przed ponad trzydziestu laty zrzuciły pęta komunizmu.

Nauki płyną z doświadczeń tych różne. Oczywiście wskazówka podstawowa jest taka, aby nie traktować sprawiedliwości tranzycyjnej jako celu samego w sobie. Owa sprawiedliwość to więcej niż przywrócenie prawdy. To nie odwet, zemsta, odkupienie. Chodzi w niej o odbudowę elementarnej spójności i zaufania w społeczeństwie. A modelu uniwersalnego, idealnego nie ma. Trzeba wypracować własny.

Wiele zależy od tego, w jaki sposób dokonuje się zmiana. Jeśli jest wynikiem politycznego dealu z odchodzącym opresyjnym reżimem (jak choćby w RPA), to więcej w sprawiedliwości tranzycyjnej elementów pojednania niż rozliczeń. Inna sprawa, jeśli zmiana jest wynikiem zasadniczej rewolucji, czy nawet wojny domowej. Wtedy elementy emocjonalnego odwetu mogą wziąć górę. A jeszcze inna sytuacja powstaje, jeśli zmiana wynika z przewrotu wewnętrznego w elicie rządzącej, zamachu pałacowego, coup d'état na szczytach władzy. Może wtedy pojawić więcej elementów pozorowanej sprawiedliwości, rozliczeń na pokaz. No a całkiem inna sprawiedliwość tranzycyjna może dokonywać się, jeśli zmiana jest wynikiem czynnika zewnętrznego, jak w Niemczech po zakończeniu II wojny światowej.

Na przebieg procesu tranzycji wpływać mogą także czynniki kulturowe, w tym religijne. Poważni badacze dowodzą, że inaczej na sprawiedliwość tranzycyjną patrzą społeczności z dominacją religii prawosławnej, a inaczej katolicy i protestanci.

Z tytułu obowiązków zawodowych analizowałem doświadczenia sprawiedliwości tranzycyjnej na Bałkanach, na tzw. obszarze postsowieckim, ale także w Afryce.

Doświadczenia są różne. Nie ma w nich czytelnej recepty na sukces. Ale pewne generalne wnioski dają się sformułować.

Po pierwsze, dobrze jest zbudować szeroki konsens polityczny wokół założeń sprawiedliwości tranzycyjnej, najlepiej w całym społeczeństwie, jak choćby miało to miejsce w Hiszpanii po odejściu Franco, albo co najmniej wewnątrz władzy

przychodzącej. W Polsce takiego konsensu po 1989 r. nie było nawet w obozie postsolidarnościowym. Prawa jego część, w tym PiS, była zwolennikiem podejścia radykalnego, odwetowego wręcz. Lewa i liberalne strony podejście demonstrowały bardziej pojednawcze. Skutkiem tego każda zmiana kompozycji politycznej rządu skutkowała w Polsce korektami ustawodawczymi, czasami wręcz zasadniczymi. Podziały społeczne rozpalane były na tle rozliczeń i weryfikacji kadr przez dekady całe.

Po drugie, proces sprawiedliwości tranzycyjnej winien być nakreślony holistycznie i wszechstronnie. Podręczniki i poradniki zawierają bogaty spis działań, które należałoby podejmować. Najpilniejsze wydaje się naprawianie krzywd. W Polsce już w 1991 r. przegłosowano ustawę, która uruchamiała proces rewizji politycznie motywowanych wyroków sądowych. Ale dopiero w 2009 r. systemowo i ostatecznie uregulowano wypłatę rekompensat ofiarom, a w 2015 r. – działaczom opozycji. Ważne jest wdrożenie postępowań przeciw sprawcom popełnionych przestępstw i zbrodni. Lustracja i weryfikacja kadr to następne elementy sprawiedliwości. W Polsce weryfikacji poddano początkowo jedynie funkcjonariuszy służb specjalnych. Obawiano się prawdopodobnie ich niełojalności. Policję oczyszczano powoli (w czerwcu 1990 r. zwolniono ze służby ledwo 3 tys. z 80 tys. funkcjonariuszy). Wojska nie weryfikowano w ogóle. W sposób nieudolny weryfikowano dopiero 2006 r. kadrę Wojskowych Służb Informacyjnych. Sędziów systemowo nie weryfikowano, choć osoby skompromitowane musiały poddawać się procedurom dyscyplinarnym i karnym. Służbę cywilną (i niektóre zawody zaufania publicznego) początkowo weryfikowano pod względem prawdomówności lustracyjnej, a w 2023 r. pod względem kontaktów i pracy w tajnych służbach. Wydaje się, że właśnie od weryfikacji kadr sędziowskich i służby cywilnej należałoby cały proces odbudowy wiarygodności instytucji państwowych zacząć.

Utrwalano pamięć o ofiarach represji i zasłużonych w walce z reżimem. Szybko usunięto pomniki władzy ludowej, ale późno i niekonsekwentnie zaczęto usuwać ślady toponimiczne po „bohaterach epoki komunistycznej”. Komisja prawdy nie powstała, a wyjaśnianiem przeszłości miał zająć się Instytut Pamięci Narodowej (nie bez kontrowersyjnych działań). Polska, mimo posunięć niekiedy chaotycznych, spóźnionych, czasem realizowanych nieudolnie, jest przykładem szerokiego podejścia do sprawiedliwości tranzycyjnej.

Po trzecie, proces tranzycji powinien zostać oparty na solidnych podstawach prawnych. Dotyczy to w szczególności państw, które podlegają jurysdykcji trybunałów międzynarodowych. Dla przykładu, polska ustawa o lustracji z 1997 r. była w pierwszych latach jej stosowania skutecznie zaskarżana przed Europejskim Trybunałem Praw Człowieka. A wedle Trybunału naruszała ona przede wszystkim zasadę równości stron, świętą w europejskiej jurysprudencji. Bo osoba, której oświadczenie sprawdzano pod względem prawdziwości, nie miała pełnego dostępu do materiałów dowodowych, a na sprawie mogła się pojawić jedynie w charakterze świadka. Już nawet nie europejskie, ale same polskie sądy podważały legalność ustawy z 2016 r. dotyczącej obniżenia uprawnień emerytalnych pracownikom aparatu spraw wewnętrznych, ustawy z 2018 r. o „dekomunizacji” służby zagranicznej, czy też ustawy z 2023 r. o „dekomunizacji” służby cywilnej. A sądy europejskie też

podważają i będą te ustawy podważać, bo trącą one stosowaniem zasady odpowiedzialności zbiorowej, co w Europie jest nie do zaakceptowania. Krótko mówiąc, w państwie prawa sprawiedliwość nie może stać ponad prawem.

Po czwarte, proces sprawiedliwości tranzycyjnej powinien dokonywać się w rozsądnym przedziale czasowym. Opieszałość, ospałość, przeciąganie nie tylko opóźnia dokonanie się rzeczywistego pojednania, ale też podmywa zaufanie ze strony społeczeństwa co do intencji przyświecających sprawiedliwości tranzycyjnej. W Polsce osądzenie sprawców zbrodni komunistycznych, jak choćby masakry robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. czy pacyfikacji kopalni „Wujek” w grudniu 1981 r., zajęło skandalicznie niezrozumiale dużą ilość czasu. Prokuratura rozpoczęła czynności przygotowawcze dotyczące śmierci uczestników protestów z grudnia 1970 r. już w 1990 r., a akt oskarżenia skierowała do sądu w 1995 r. Pierwsze jednak wyroki zapadły dopiero w 2013 r., a i one podlegały kasacji. Śmierć górników z „Wujka” prokuratura zaczęła badać w 1991 r., ale dopiero w 2011 r. ogłoszono ostatni wyrok (dot. odpowiedzialności gen. Kiszczaka). Mechanizmy wymiaru sprawiedliwości muszą działać zgodnie z własną logiką procedury, w której czas jest czynnikiem wtórnym, ale dla tych polskich przypadków trudno oczekiwać jakiegokolwiek zrozumienia.

Doświadczenia lustracyjne i weryfikacyjne państw Europy Środkowej pokazują wyraźnie, że lepiej podejmować te niezbędne działania na wczesnym etapie i spójnie, jak choćby uczyniono to w Czechach czy na Węgrzech. W Polsce lustrację rozpoczęto dopiero w 1997 r., a weryfikację służby cywilnej zaczęto przeprowadzać dopiero w roku 2023 r. Budzić to mogło uzasadnione wątpliwości.

Po piąte, proces rozliczeń powinien przebiegać w sposób w miarę możliwości spójny. Lustracja w Polsce jest przykładem braku kohezji i konsekwencji. Ustawę przyjętą w 1997 r. nowelizowano kilka razy, nim w 2006 r. uchwalono nowy model lustracji, by w 2007 r. powrócić w zasadzie do rozwiązań z 1997 r. i po kilku miesiącach dokonać nowej rewizji. Nowy akt przyjęto w marcu 2010 r. W efekcie zmieniał się na przestrzeni lat zasadniczo krąg osób poddawanych lustracji (oscylował od 20 tys. do nawet 400 tys. potencjalnych lustrowanych), zasady lustrowania i sam tryb. Początkowo chodziło jedynie o ustalenie samej prawdy o pracy lub współpracy ze służbami specjalnymi, kiedy jednak w 2018 r. „zdekomunizowano” dyplomację, a w 2023 – całą służbę cywilną, cele odwetowe nie mogły być już ukrywane.

Po szóste, proces weryfikacji i lustracji muszą mieć charakter transparentny. W Polsce toczył się w ostatnich latach spór o to, czy miała miejsce weryfikacja sędziów. PiS twierdził, że jej nie było w ogóle, ówczesna opozycja demokratyczna, że weryfikacja była. Fakty pokazują, że elementy weryfikacji miały miejsce. Większość peerelowskiego składu Sądu Najwyższego (ponad 80 proc.) szybko opuściło w rzeczy samej tę instytucję. Nie pozwalano skompromitowanym sędziom orzekać po osiągnięciu wieku emerytalnego. W 1998 r. (dopiero!) wprowadzono dyscyplinarne postępowanie za naruszenie niezależności sędziowskiej, ale z miernym skutkiem finalnym. Ponad stu sędziów pociągnięto do odpowiedzialności za ich orzeczenia w stanie wojennym. Ale prawdą jest, że oczyszczanie szeregów sędziowskich nie miało charakteru systemowego i prowadzone było w sposób nieprzejrzysty.

Brak przejrzystości zarzucano wewnętrznym procedurom lustracyjnym w Kościele Katolickim. A już w Kościele Prawosławnym w Polsce nie było żadnej lustracji. Czy np. w Rosji, gdzie Cerkwie szła na głęboką współpracę z władzą pod koniec komunizmu, byłaby lustracja w ogóle możliwa?

Po siódme, rozliczanie naruszeń praw człowieka winno mieć wyraźną cezurę w przeszłości. W Polsce przyjęto w zasadzie rok 1944 jako granicę rozliczeń. Ale w przypadku niektórych przeszłych przewinień wprowadzono zasadę przedawnienia. Gdzie indziej (np. w Niemczech w odniesieniu do zbrodni czasu hitleryzmu) zasadę przedawnienia zdjęto.

Po ósme, musi narodowy mechanizm sprawiedliwości tranzycyjnej uwzględniać aspekt międzynarodowy. Dziś jest to szczególnie aktualne, bo siła międzynarodowych trybunałów (strasburskiego, luksemburskiego czy haskiego) jest szczególnie mocna. Krajowe instytucje powinny zapewniać harmonijną z nimi współpracę i respektowanie ich orzeczeń. Nie zawsze miało to miejsce w niedawnej przeszłości, zwłaszcza w kontekście badania zbrodni dokonywanych w czasie wojen w byłej Jugosławii. Nie tylko władze serbskie, Bośni i Hercegowiny, ale też Chorwacji i Kosowa miały niekiedy widoczny problem z pogodzeniem się z jurysdykcją specjalnego trybunału. Państwa dokonujące oczyszczeń po przegranych wojnach pod presją zewnętrzną nie zawsze poddają się presji z ochotą. Po I wojnie światowej alianci liczyli, że niemiecki trybunał w Lipsku podoła zadaniu ukarania własnych przestępców wojennych. Skazał jedynie w 10 z 900 wniesionych spraw. We Włoszech już w 1946 r. dokonano szerokiej amnestii. W Japonii po 1958 r. większość skazanych wypuszczono na wolność.

Po dziewiąte wreszcie, sprawiedliwość tranzycyjna musi uwzględniać obok rozliczeń w dobrej proporcji elementy edukacji, wspaniałomyślności i pojednania. Czy ma to być w jakimś aspekcie grubsza, czy cieńsza kreska, czy ma być świadome darowanie tych czy innych win, czy ma być włączanie ludzi z drugiej (przegranej) strony barykady, to już sprawa do społecznych debat.

Pojednanie według tzw. triady Galtunga jest jednym z trzech elementów naprawy relacji. Dotyczy wymiaru kulturowego. Ma za cel uniknąć powrotu do emocjonalnych postaw wrogości, których doświadczano w przeszłości. Ma za cel wyniesienie społeczeństwa na wyższy poziom empatii. Zakłada pojednanie ofiary ze sprawcą (wybaczenie w zamian za pokajanie się), sprawcy z państwem (prawda w zamian za amnestię) i państwa z ofiarą (rekompensata w zamian za zamknięcie sprawy).

Przykład Polski pokazuje, że jeśli po transformacji do władzy w pewnym momencie dochodzą grupy polityczne z kompleksem niższości, przekonane o braku należytych korzyści z przemian, które się dokonały, rozgoryczone i niekompetentne, ich zdolność do myślenia w kategoriach pojednania i budowania wspólnoty jest poważnie nadgryziona, a ślepy odwet na przeszłości jest emocjonalnym odgromnikiem własnej frustracji.

(na podstawie prezentacji na obradach „okrągłego stołu” z udziałem rosyjskiej opozycji antywojennej w Brukseli we wrześniu 2023 r.)

XIX. Solidarność

Druga z zasad, obok pojednania, którą proponowałem przed trzydziestu laty dołączyć do dekalogu helsińskiego, o czym pisałem przed miesiącem, to solidarność. I zasadę tę kilka miesięcy po szczycie KBWE w 1992 r. udało mi się wpisać do polskiego projektu Kodeksu postępowania w dziedzinie bezpieczeństwa, nad którym pracowałem w Wiedniu jesienią owego roku. Miała ona tam stosowanie zawężone w stosunku do moich pierwotnych intencji, bo dotyczyła wspólnego działania w przypadku naruszenia norm i zasad KBWE, ale była. I została zaakceptowana w ostatecznej wersji Kodeksu na szczycie KBWE w Budapeszcie w 1994 r.

Bardzo ucieszyła mnie potem wiadomość, że została solidarność wpisana do traktatów lizbońskich Unii Europejskiej podpisanych w grudniu 2007 r., m.in. w zakresie odnoszącym się do sfery bezpieczeństwa. Ale sam termin solidarność pojawia się w tekstach stanowiących Unii Europejskiej dość często. Artykuł 80 Traktatu o funkcjonowaniu UE opowiada o solidarności i sprawiedliwym dzieleniu odpowiedzialności. I bardzo często ów artykuł przywoływano ostatnimi czasy w kontekście mechanizmu relokacji uchodźców. Do tego stopnia, że można było odnieść wrażenie, że niefortunnie zawęży się jego aplikację. A jeszcze na dodatek mechanizm relokacji miałby działać w sposób przymusowy, na zasadzie „przyjmuj, albo płać”. Rozpoczynanie stosowania klauzuli solidarności w tak zawężonym i wymuszającym trybie, tylko mogło samej zasadzie solidarności szkodzić. Albowiem miała ona przecież oryginalnie mieć szeroką konotację. Bo to i pomoc w sytuacjach nadzwyczajnych, i wsparcie rozwojowe, i współpraca w dziedzinie bezpieczeństwa, a nawet solidarność czysto dyplomatyczna. Długo by wymieniać. Szkoda, że instytucje unijne, a już zwłaszcza Parlament Europejski, nie zadbały o spójną doktrynalną wykładnię tej zasady.

Ja również widziałem pierwotny zakres zasady solidarności, kiedy próbowałem uczynić ją normą ogółouropejską, bardzo szeroko. Miała dotyczyć zbiorowego pomagania państwom (społeczeństwom) „w potrzebie” (potrzebie niezawinionej), dotkniętymi klęskami naturalnymi (powodziami, pożarami, trzęsieniami ziemi), epidemiami, transgranicznymi zanieczyszczeniami, nieurodzajem, ale także niekontrolowanym napływem uchodźców, wszelkimi biedami, które miałyby źródła niezależne od postępowania ich władz. No i oczywiście miała dotyczyć pomocy ofiarom agresji, zamachów terrorystycznych, blokad i innych nieprzyjaznych działań ze strony trzeciej. Pomagać winni wszyscy, także ci najbiedniejsi, ale każdy w miarę posiadanych środków.

Uniwersalizacja zasady solidarności zdjęłaby z agendy pytania opinii społecznej o sens pomocy rozwojowej, o odpowiedzialności za pomoc, o ukrytych intencjach świadczenia pomocy. W wymiarze globalnym inicjowanie klauzuli solidarności można by stosownie opisać, zdefiniować rolę Sekretarza Generalnego ONZ czy Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Oczywiście krokiem wstępnym winien być zawsze wniosek państwa znajdującego się w potrzebie. W pracach nad polską inicjatywą

Nowego Aktu Politycznego ONZ w latach 2002-2004 zastanawiałem się, jak wpisać promowaną przez Kanadę zasadę „Responsibility to Protect” w szersze ramy zasady solidarności. Bo solidarność w Karcie jest, ale tylko w kontekście pokoju i bezpieczeństwa.

Oczywiście moje postulaty sprzed trzydziestu czy dwudziestu lat są z gatunku oderwanych od rzeczywistości obecnej, tak cynicznie zapętlonej w sieć złych lub egoistycznych intencji. Nie na nasze czasy to pomysły, wydawałoby się.

Polska wszakże próbowała jeszcze na początku obecnego milenium uczynić hasło solidarności wehikułem budowy swojego dobrego wizerunku w ONZ. Jednakowoż chodziło nam o naszą polską „Solidarność” i jej wpływ na losy Europy i świata. Zaproponowała Polska uczczenie dnia solidarności w kalendarzu ONZ. Ale reakcje były mało entuzjastyczne. Bo o jaką solidarność miało chodzić: ludzi pracy? (a Międzynarodowy Dzień Solidarności Ludzi Pracy już jest i to 1 maja przecież), Związkowców? Bojowników o wolność i demokrację? Opuściliśmy forsowanie szerokiej wykładni solidarności. A przejmując inicjatywę inne państwa powiązały solidarność z walką z ubóstwem i doprowadziły do ogłoszenia rezolucją ZO ONZ Międzynarodowego Dnia Solidarności Ludzkiej (20 grudnia każdego roku). Solidarność nabrała w języku oenztetowskim wysoce socjalnego wymiaru. A przecież chodzić powinno o znacznie obszerniejsze zastosowanie.

No ale mniejsza z tym. Działa w każdym razie upamiętniające „Sierpień” Europejskie Centrum Solidarności w Gdańsku, które ma krzewić dziedzictwo „Solidarności” i europejską tożsamość. Bez globalnych już ambicji.

W ostatnich latach Polska angażowała się na forum ONZ w promowanie idei Międzynarodowego Dnia Upamiętniającego Ofiary Aktów Przemocy ze względu na Religię lub Wyznanie, który ustanowiono w 2019 r. Wyznaczono go na 22 sierpnia. Nasze zaangażowanie popierałem, bo uważałem, że pogrom kielecki i inne wcześniejsze akty przemocy na innowiercach w Polsce wymagają upamiętnienia. Podobnie jak obecnie prześladowania chrześcijan w Iraku, Syrii czy w Nigerii lub Egipcie, ataki na synagogi we Francji.

A 21 sierpnia 1811 r. spalono w Reszlu na Warmii Barbarę Zdunk, ostatnią w Europie „czarownicę”. Zakładam, że ów popierany przez nas Międzynarodowy Dzień ją też upamiętnia.

Polskim wkładem do kalendarza ONZ stało się niewątpliwie ustanowienie w 2018 r. Światowego Dnia Roweru (3 czerwca). Był to wkład polski, bo autorem pomysłu jest Polak (choć wykładający w USA) Leszek Sybilski. Szkoda wielka, że musiał polegać na inicjatywie dyplomatycznej Turkmenistanu, a nie Polski. A Polska nie dołączyła nawet do grona 56 (sic!) współautorów. Mam nadzieję, że powodem nie było ogłoszenie kiedyś przez PiS-owskiego ministra spraw zagranicznych cyklistów wrogami PiS-u, do spółki z wegetarianami. Nb. Światowy Dzień Wegetarianizmu już jest, choć nadal nieusankcjonowany przez ONZ.

Latem 2022 r. obiegła prasę sensacyjna wiadomość, że jeden z wiceministrów spraw zagranicznych ówczesnego rządu zamierza uczynić model kół gospodyń wiejskich wzorcem do globalnego naśladowania i narzędziem aktywności polskiej dyplomacji w świecie. I to było rzeczywiście wyzwanie na miarę ambicji odzwierciedlających ówczesny stan profesjonalny polskiej dyplomacji.

Wracając do wątku poważnego – solidarności w stosunkach międzynarodowych właśnie. Jest faktem znamionym, że bardzo późno, bo gdzieś przed dwudziestu laty zaczęła ona wywoływać zainteresowanie badaczy i analityków. Ale zainteresowanie to daje już namacalne rezultaty, w tym i w rozważaniach o prawie międzynarodowym. Można już znaleźć spory materiał, który posłużyłby jako źródło refleksji i inspiracji dla polityków i dyplomatów. Tylko jak ich zachęcić do trudnej tej przecież lektury? Nie dostrzegłem bynajmniej dotąd szczególnego polskiego wkładu. Nie tylko intelektualnego. Chociażby organizacyjnego. Żadnego seminarium czy konferencji pod egidą Europejskiego Centrum Solidarności czy PISM. Ale może nieuważny byłem.

Ja widzę w koncepcji solidarności najpełniejsze opakowanie dla nowego uniwersalizmu. Od niego zaczęły się moje wpisy na blogu w konwencji „Just for the Record”. Mówiąc lekko podniosłe: tożsamość globalna bowiem, którą może on krzewić, nie może być konstruktem biernym. Powinien w niej tkwić imperatyw działania. Powinien z niej wypływać solidaryzm jako postawa czynna.

I oczywiście uważam, że winna uczynić zasadę solidarności (solidaryzmu) jednym ze sztandarów swojego globalnego zaangażowania Unia Europejska. Ktoś może przyklasnąć: właśnie! Unia Europejska jest przecież największym darczyńcą w świecie. Przypada na nią ponad 50 proc. całości pomocy rozwojowej. Ale takiego strywializowania solidaryzmu się boję. Nie o pomoc rozwojową bynajmniej w tym chodzi. Ja akurat uważam, że pomoc rozwojowa w obecnie praktykowanej postaci wymaga głębokiej refleksji. Znam mechanizmy pomocowe od podszewki. Jest w nich wiele zdegenerowanych elementów nie tylko po stronie biorców, ale i dawców. Poprawność polityczna wszakże, nie tylko w instytucjach unijnych w Brukseli, uniemożliwia kardynalną reformę. Szkoda. Strywializowanie zasady solidarności do postulatu pomocy krajom biednym zostać może zresztą cynicznie wykorzystane do kolejnych antyzachodnich, „antykolonialnych” krucjat i prób jeszcze skuteczniejszego domagania się rekompensat, reparacji, zadośćuczynienia.

Niemniej Zachód, oskarżany o uleganie indywidualizmowi, konsumeryzmowi, dekadencji, winien pokazać światu, że solidarność jest dowodem na to, że dominującą pozycję w hierarchii emocji społecznych zajęła na trwale tam empatia. Pisałem o tym szeroko w jednej ze swoich książek. Zainteresowanych zapraszam ponownie do lektury.

XX. Rewolucja tymotejska w polityce międzynarodowej

Przed polskimi wyborami w 2023 r. pewien polityk, często przez mu nieprzychylnych określany jako „odklejony od rzeczywistości”, próbował opisać pojęcie międzynarodowej pozycji i statusu państwa. Walka z instytucjami europejskimi, klócenie się ze wszystkimi wokół, permanentna obstrukcja miały być, w jego mniemaniu, zabieganiem o odpowiedni status kraju.

Pozycja miała być zmienna i ulotna, status zaś stały i niezmienny.

Wbrew temu, co opowiadał, tzw. status np. wielkiego czy średniego mocarstwa też nie jest dany raz na zawsze. Bo nawet wydawałoby się niewzruszalny status stałego członka Rady Bezpieczeństwa ONZ, nie musi obowiązywać po wsze czasy.

Westfalski porządek międzynarodowy oparty jest na zasadzie suwerennej równości. USA i Andora, Chiny i San Marino, Indie i Tuwalu tyle samo znaczą z punktu widzenia prawa międzynarodowego. Jedynie stali członkowie Rady Bezpieczeństwa mają globalnie zalegalizowany odrębny status, który daje im prawa większe (prawo weta w RB) niż innym państwom. Nierówne prawa występują i w przypadku innych organizacji, gdzie w głosowaniach liczą się tzw. udziały (Bank Światowy) lub liczba ludności (w tzw. podwójnej większości w ramach Rady UE).

Państwa w kontaktach z zagranicą od zarania ich dziejów troszczyły się o dwa podstawowe cele: zapewnienie bezpieczeństwa i pomnażanie dobrobytu. A rękojmnią realizacji tych celów była potęga. Jeśli wyrastała ona ponad otoczenie, próbowały dominację odzwierciedlać w układach hegemonistycznych – dwustronnych (np. wasalnych) albo wielostronnych (np. sojuszach satelickich), które dawały mocarstwu specjalne prawa.

Już starożytni Grecy uświadomili nam, że miejsce w hierarchii państw może stać się wartością samą w sobie. Wojny peloponeskie były niczym innym, jak wojnami o status. Z punktu widzenia interesów greckiej wspólnoty cywilizacyjnej były wojnami totalnie bezsensownymi, wojnami wewnętrznie wyniszczającymi. Chodziło w nich przede wszystkim o ustalenie swego „porządku dziobania”, hierarchii potęgi na peloponeskim podwórku.

Wojny, w których stawką był status i hierarchia, organicznie wyrastały z feudalnego systemu stosunków w europejskim średniowieczu. W iluż to przypadkach ich celem był nie tyle fizyczny podbój i inkorporacja ziemi, co „zhołdowanie” jej władcy. A i w czasach nowożytnych podobnych wojen nie

brakowało. Nie bez powodu wojnę krymską z lat 1853-1856 nazywa się niekiedy w podręcznikach wojną o klucz do stajenki betlejemskiej. Oczywiście żądania Rosji dotyczące przyznania jej specjalnych praw do ochrony chrześcijańskich miejsc i samych chrześcijan w imperium osmańskim były bardziej powodem niż przyczyną, bo Rosja w osłabianiu Turcji widziała szansę na swoją dalszą terytorialną ekspansję.

A trudno o lepszy przykład wojny o hierarchię niż prusko-austriacka Bruderkrieg z 1866 r. Nie chodziło przecież w niej o kontrolę nad maciupkim i irrelevantnym Holsztynem, a o przywództwo w Niemczech całych. Prusom udało się strącić z przywódczego tronu Austro-Węgry, a następnie dokonać zjednoczenia Niemiec na własnych warunkach.

Dziś status wypływa nie tyle z czystego rozmiaru potęgi, co z wkomponowania państwa w relacje z innymi partnerami. Bo chociażby Indie – dysponują bronią atomową, są najludniejszym państwem świata, ale stałym członkiem Rady Bezpieczeństwa nadal nie udaje im się zostać i nie są traktowane na podobnym poziomie co Chiny, a czyż nie powinny? Są Indie państwem demokratycznym i piątą pod względem wielkości gospodarką świata, ale do grona G7 Hindusów nie dołączono (a jest tam Japonia, a kiedyś w G8 była i Rosja). I Chiny, i Indie chcą być postrzegane jako wielkie mocarstwa, ale nie życzą sobie, aby traktować je jako państwa „rozwinięte” (ale raczej nadal jako państwa rozwijające się).

Jedno nie ulega wątpliwości, czysta potęga nie gwarantuje statusu. Jednocześnie państwa, których potencjał się ambitnie pomnaża i nie muszą zabiegać o obcy parasol bezpieczeństwa, chcą, aby ich wzrost odzwierciedlał się w statusie. Po rosyjskiej inwazji na Ukrainę podchwycono w Warszawie ideę, aby Rosję w G20 zastąpiła Polska. Mimo, że pod względem siły gospodarki (PKB) plasujemy się na miejscu 21 w świecie, ale to przecież i tak wyżej niż Argentyna czy RPA, które w G20 są.

Kilka państw zachodnich wybrało strategię budowania własnego statusu w społeczności międzynarodowej nie tyle przez militarne czy gospodarcze atrybuty mocarstwowości, co przez tworzenie zjednywającego sympatię wizerunku. Kanada jeszcze na długo przed wynalezieniem pojęcia soft power zaczęła snadnie rozwijać profil państwa wspierającego rozmieszczanie sił pokojowych, sprzyjającego rozwiązywaniu sporów, udzielającego pomocy gospodarczej, wychodzącego z inicjatywami dyplomatycznymi usprawniającymi funkcjonowanie instytucji globalnych. Aktywnie w sprawy globalne ze spolegliwymi skojarzeniami weszły Szwecja, Finlandia czy Norwegia. Formalnego odzwierciedlenia w ich statusie to nie znalazło. Ale czyniło ich dobrze kojarzonymi w społeczności światowej, windowało ich szanse wyborcze w staraniach o członkostwo w gremiach kierowniczych, w tym i w Radzie Bezpieczeństwa.

Widać wszakże wyraźnie, że status też ma nadal charakter uznaniowy.

Ale też niekiedy czysto formalny. Karta NZ zawiera postanowienia odnoszące się do tzw. państw wrogich. Uznawane wszakże są owe klauzule za martwe. Niemcy czy Japonia z tytułu tych postanowień nie odczuwają uszczerbku na swoim statusie.

Kiedy państwa czują się w miarę pewnie pod względem bezpieczeństwa wewnętrznego i interesów gospodarczych, nieuchronnie kierują swoje wysiłki na rzecz zapewnienia sobie odpowiedniej rangi i statusu. Zaspokajają potrzebę uznania. Polityką zagraniczną zaczynają kierować wartości tymotejskie. Państwo chce być docenione, chce być traktowane z respektem, chce mieć poczucie zdatności, pełnowartościowości, relewantności. Fukuyama kiedyś twierdził, że potrzeby tymotejskie będą nabierać rosnącego znaczenia, w nich upatrywał źródło tendencji do separatyzmu i motor dążenia do uzyskania statusu państwowego przez mniejsze narody. W „Emocjach, interesach, wartościach” wytykałem mu, że bardzo upraszczał, a wręcz czasem wypaczał rzeczywistość. Ale zgadzam się, że potrzeby tymotejskie coraz silniej wpływają na zachowania państw na arenie międzynarodowej. Większość państw chce mieć „swoje pięć minut”, nie godzi się na status statysty. Z tego też wynika proces emancypacji państw globalnego Południa, o którym tak wiele pisano w ostatnich latach.

Tym też tłumaczyć należy, że tak trudno odchodzić od formuły rotacyjnego przewodnictwa w organach instytucji międzynarodowych. Komitetowi Ministrów Rady Europy przewodzą kolejno wszyscy jej członkowie. Także San Marino, Monako, Liechtenstein, czy Andora. Przygotowują na półroczne kadencje bogate programy, mobilizują się do organizacji spotkań i imprez, proponują bogate programy przedsięwzięć towarzyszących, np. w dziedzinie kultury. Oczywiście waga polityczna mniejszych państw nie predestynuje ich do aspirowania kierowaniem wielkimi politycznymi projektami. Za ich plecami czynią to niezmącenie kluczowi gracze i Sekretariat. Ale dopływ nowej energii do zrutynizowanych prac Komitetu w wydaniu strasburskim, który dostarczyli mniejsi członkowie, zawsze był widoczny.

W Unii Europejskiej rotacyjne przewodnictwo w Radzie UE było często krytykowane za osłabianie ciągłości, deficyt zdolności do przewodzenia w przypadku państw mniejszych, forsowanie partykularnych priorytetów. I z powodu tych głosów krytycznych Rada Europejska i Rada ds. Spraw Zagranicznych mają stałe przewodnictwo. Ale z rotacyjnego przewodnictwa w innych formatach Rady nie zrezygnowano przecież. Właśnie dlatego, aby każdy członek Unii miał poczucie, że jest zdolny do jej przewodzenia, że gra w pierwszej lidze, że wszyscy muszą się z nim liczyć. A że oprawa propagandowa i obudowa kulturalna przewodnictwa znaczy często więcej niż jego polityczna

treść, to rzecz w ostatecznym rozrachunku wtórna. Bo nie rotacyjne przewodnictwo decyduje o kierunku rozstrzygnięć w ramach Unii przecież.

Przewodnictwo OBWE chciano na początku lat dziewięćdziesiątych (w Waszyngtonie i nie tylko) uczynić silnym i inicjatywnym. Miało ono zapobiegać biurokratyzacji i przejęciu steru zarządzania OBWE przez biurokratów. To Przewodniczący, a nie Sekretarz Generalny, miał być rzecznikiem i twarzą organizacji. Popierałem ten kurs z całym przekonaniem, także wtedy, kiedy pracowałem w Sekretariacie.

Przewodnictwo miało być powierzane (na rok cały) państwom zdolnym unieść politycznie, dyplomatycznie i zasobowo jego ciężar. Z założenia więc nie wszystkim. A z drugiej strony nie chciano, aby było ono oferowane państwom zbyt silnym, czyli mocarstwom (jak stali członkowie RB ONZ, ale już Niemcy czy Włochy je mogli sprawować). Silne Przewodnictwo irytowało wszelako Rosjan (i niektóre inne państwa). Czyniły te państwa wszystko, aby spętać inicjatywę i ograniczyć możliwości działań Przewodniczącego. I niestety im się to z czasem udało. Pole inicjatywy dla Przewodnictwa kurczyło się. W konsekwencji więc i Albania, i Serbia, i Irlandia, czy Północna Macedonia, czyli państwa nie pretendujące nawet do rangi mocarstw średnich, czuły się na siłach podołać Przewodnictwu.

Jestem więc zwolennikiem tworzenia funkcji, nawet pozornie prestiżowych, aby państwa, zwłaszcza mniejsze i średnie, mogły dawać ujście potrzebom tymotejskim. Bo najgorsze, co może się stać, to poczucie niezrealizowanych ambicji, rosnący rozziw między zadowoleniem z pomyślnego rozwoju państwa i poczuciem własnego niedowartościowania. Złe emocje, które na tle niespełnienia mogą pojawiać w zachowaniach politycznych, zwłaszcza na forach międzynarodowych, mogą bowiem zakłócać klimat współpracy.

Przekonanie, że Polski nie traktuje się odpowiednio, że Europą rządzą Niemcy, którzy z nikim, a zwłaszcza z nami się nie liczą, było obsesją PiS-u już w latach 2005-2007. W latach 2015-2023 weszło już ono w kliniczne stadium. Widziałem to z bliska, zwłaszcza w latach 2005-2007. Polska podejmowała dyplomatyczne wojenki nawet w sprawach bez znaczenia dla polskich interesów, a wszystko w imię pokazywania, że z nami po prostu trzeba się liczyć. A przy tym kompletnie nie potrafiono partnerom wytłumaczyć naszych racji. Skutkiem tego postępowała nasza izolacja. Nawet najżyczliwsze nam państwa z zażenowaniem patrzyły na nasze poczynania.

Na syndrom niedowartościowania cierpiała Rosja i to co najmniej od połowy lat dziewięćdziesiątych. A za dyktatury Putina rozdrażnienie osiągnęło wyżyn dla świata niebezpiecznych. Od neurotycznej asertywności przelało się w wojowniczą zaczepność, aby dojść do stanu zapiekłej agresji. Bo Rosja uważa, że zdradliwie pozbawił ją Zachód po upadku zimnej wojny statusu, którym

cieszył się ZSRR, a z którym wiązało się akceptowanie posiadania przez niego własnej strefy wpływu i działania tam na prawach wolnej ręki, że Zachód wypiął Rosję z decydowania o geopolityce Europy i świata, że relegował ją z ekstraklasy, w której grała na równych prawach z USA, że poniżał ją, odrzucając rosyjskie projekty utworzenia koncertu mocarstw dla Europy i dyktatoratu P-5 dla świata.

Agresja przeciw Ukrainie nie dość, że wcale nie pomogła Rosji odzyskać postulowany status, to jeszcze zepchnęła ją na przeciwny bieg – biegun pariasa. Jeszcze nie końca, bo większość państw globalnego Południa sekować i izolować Rosji nie chce. Nie dziwota, że na szczycie G-20 w 2023 r. nie doszło w dokumencie końcowym do imiennego potępienia Rosji.

Status pariasa w stosunkach międzynarodowych nieformalnie oczywiście istnieje. Przez lata apartheidu doświadczała go RPA. Amerykanie próbowali wprowadzić w obieg pojęcie „państwa łajdackiego” i uzasadniać w ten sposób budowę koncepcyjnej zagrody dla „czarnych owiec”. Później eufemistycznie mówiono o nich jako o „państwach występnych”. Są i dziś państwa otaczane częściową izolacją, np. KRLD czy Afganistan.

Pojawiają się obecnie tezy, że wobec państw naruszających normy współżycia międzynarodowego, wartości prawnoczułowiecze i demokratyczne, jedynym sposobem skutecznej reakcji społeczności międzynarodowej jest odłączenie państwa od sieci współpracy, izolacja informatyczna, transportowa, odcięcie od rynków finansowych, sankcje handlowe i technologiczne, etc., czyli w dużym uproszczeniu te przedsięwzięcia, które podjął Zachód wobec Rosji, aby uświadomić jej konieczność zaniechania wojny w Ukrainie. Zachodnie sankcje jakieś skutki przynosiły, ale bynajmniej na postawę Rosji nie wpływały. Ale jeśli z czasem wpłyną, to polityka Zachodu może posłać ważny sygnał dla innych reżimów występnych. Bo podobne podejście można, a nawet należałoby zastosować w stosunku nie tylko do Rosji (czy KRLD).

Mówi się czasem, że status określany jest przez przynależność do wyselekcjonowanego kręgu państw. Status podnosi członkostwo w mniej lub bardziej elitarnym klubie. Przez lata (aż do końca lat dziewięćdziesiątych) taki klubowy charakter miała Rada Europy. Czy Portugalii bądź Hiszpanii psuło samopoczucie, że nie kwalifikowały się za Franco i Salazara do członkostwa w Radzie Europy? Może i tak, ale przecież i tak mogły liczyć wtedy na pełną polityczną solidarność Zachodu w warunkach konfrontacji z ZSRR i obozem komunistycznym.

Pozbawionym politycznego znaczenia klubem okazała się Wspólnota Demokracji. Czy niezaproszenie przez Bidena liderów Węgier i Turcji na szczyty demokracji w 2021 i 2023 r. odbiło się w jakikolwiek sposób na statusie tych państw? Oczywiście, że nie. Miało wydźwięk jedynie wizerunkowy i to

mimolotny. Bo za krokiem tym nie poszły żadne inne konsekwencje. Wniosek z tego taki, o którym już pisałem na swoim blogu: udział w klubie państw demokratycznych musi dawać wyraźne benefity polityczne, żeby wpływał na poczucie statusu państwa.

Na status państwa wpływa niewątpliwie obecność w wąskich gremiach konsultacyjnych (nieformalnych czy nawet sekretnych). Wspominałem na swoim blogu o funkcjonowaniu tzw. dyrektoriatu w ramach Unii Europejskiej czy też tzw. quadu w ramach NATO. Za rządów PiS-u Polska nie dość, że nie przybliżyła się do tych kręgów, to przynajmniej jeśli chodzi o Unię Europejską, znacznie się od nich oddaliła. A jeśli strefa euro przekształci się w szerszy krąg przywódczy w ramach Unii Europejskiej, to nasza tam nieobecność wypchnie nas z poważnych rozmów o przyszłości Unii.

Może istnienie tych kręgów wywoływać powszechne rozdrażnienie. I słusznie. Dlatego funkcjonują tak dyskretnie. Ale nikt ich powstawaniu i trwaniu, jeśli przynoszą skutek, nie będzie w stanie zapobiec. Dla polskiej polityki jeden z ich kształtu obecnego systemowy wniosek wypływa: dopóki Niemcy będą w te kręgi wchodzić, a Polska nie (nawet pośrednio, czyli na tzw. doczepkę), to prawdziwego partnerstwa w polityce zagranicznej i europejskiej między Niemcami a Polską nie będzie. Po agresji Rosji na Ukrainie natowski quad winien był przekształcić się nieodwołalnie w pentalog (z udziałem Polski). Przekształcił się? A pentalog wywindowałby status Polski niebotycznie.

Niezaspokojenie tymotejskich potrzeb może okazać się poważną przeszkodą na drodze ku nowemu sposobowi zarządzania światem. Oczywiście największy opór przed nowym (w domyśle kosmopolitycznym) modelem zarządzania będą stawiać wielkie mocarstwa z USA na czele. Wielkim mocarstwom jednak bardziej niż o zachowanie statusu chodzić będzie o utrzymanie kontroli nad procesami decyzyjnymi. Przekazanie praw instytucjom ponadnarodowym zawsze ogranicza swobodę decydowania przez wielkich. Doświadczenia brukselskie pokazują, że najwięksi gracze, jak chociażby Francja czy Niemcy, potrafią wywierać pośrednio wpływ na działania Komisji, ale też w wielu sprawach muszą wchodzić z nią w spór kompetencyjny (jak np. zakresie ochrony inwestycji). Przegrywają też sprawy w trybunale luksemburskim. USA czy Chiny na podobne sytuacje jeszcze gotowe nie są. Mniejsze państwa zaś, nie tylko w Europie, przyjęły już dawno do wiadomości, że wiele decyzji dotyczących funkcjonowania ich gospodarki zapada gdzie indziej. I dotyczy to nie tylko członków Unii Europejskiej. Im przemodelowanie systemu zarządzania światem, w którym pojawiłyby się elementy integracji ponadnarodowej, nie przeszkadza. Ale przeszkadzałyby rozwiązania, które interpretowano by jako podważające ich suwerenny i równy status.

Olbrzymi błąd ruchów uniwersalistycznych, pangejskich i im podobnych polega na tym, że próbują uniwersalizmem wypierać tożsamość narodową. Pisałem

już wielokrotnie, że to nie przejdzie. Trzeba uniwersalizm wpisać w przeżywaną obecnie narodową emancypację polityczną, rewolucję godnościową. Nie bez powodu jeden z byłych szefów Rady Europejskiej wizytując nawet najbardziej zapomniane zakątki szerokiej Europy, w tym i jeszcze nieunijne, zwykł mawiać, że to właśnie tam bije prawdziwe serce Europy.

Zawsze proponowałem więc, by mnożyć w organizacjach międzynarodowych wysokie funkcje, które powierzano by poszczególnym państwom w ramach rotacji. Uważałem też, że nawet członkostwo w Radzie Bezpieczeństwa winno podlegać jak najszerzej rotacji. Oczywiście trzeba by z niej wykluczać takie państwa jak KRLD czy Iran, ale poza tym mógłby zasiadać tam każdy. Przedstawicie Tuwalu również. Polskę w RB ONZ w 2020 r. zastąpiła Estonia. Zauważył ktoś różnicę? Nawet jeśli, to z pewnością nie była to różnica niekorzystna dla skuteczności działania Rady. Wymyślajmy więc algorytmy, by uniknąć niepotrzebnej rywalizacji o funkcje, a także o prestiżowe imprezy dyplomatyczne, sportowe czy kulturalne. Zadowolmy każdego. Oczywiście spełniającego podstawowe kryteria przyzwoitości. Żadnych honorów, imprez światowych dla dyktatur, ciemiężców, agresorów, itp. Żadnych. Wiem, wiem, idealistyczne to założenie. Bo przecież tak wielu państwom nie przeszkadzałby nawet udział sportowców rosyjskich w paryskiej olimpiadzie.

XXI. Centrum i prowincje

Polską tożsamość od wieków trapi syndrom prowincjonalizmu. I jest faktem, że pozostawaliśmy przez wieki poza centrum rozwoju cywilizacyjnego, choć stopień tego oddalenia różnie wyglądał w historii. Mimo, iż przyjęliśmy kulturę łacińską, traktujemy się jako integralna część Zachodu, świadczyliśmy na rzecz Zachodu niewysłowione ofiary (Polska przedmurzem chrześcijaństwa, Polska Chrystusem narodów), tkwimy na peryferiach rozwoju. Nawet dziś, kiedy wszystkie wskaźniki gospodarcze i dobrobytowe pokazują, że nadrabiamy dystans jak nigdy w przeszłości, że te ostatnie lata to nasz złoty wiek rozwojowy, postępowi komentatorzy mroczny wydają wyrok: „Polska nie jest krajem nowoczesnym”. A na całkiem pokaźnym fragmencie sceny publicznej opuchlizną wykwiła etos Polski tradycyjnej, heroicznej, męczeńskiej, skarbnicy wartości prawdziwych, wypychanej na pobocza polityki przez zachodnich zaprzańców, którzy w Polsce widzą zagrożenie i łup łakomy jednocześnie, chcą anihilacji państwa polskiego i przekształcenia Polski w kraj zamieszkały przez ludność mówiącą jeszcze po polsku, ale zarządzany z zewnątrz.

Czy prowincjonalizm jest naszą przypadłością dziejową, fatum nieuniknionym?

Kiedy cichaczem Słowianie spłynęli na ziemię dziś nazywane polskimi, układ cywilizacyjny w Europie był prosty. W centrum był Rzym. Granice jego imperium w Europie były granicami przepaści cywilizacyjnej. Barbarzyńcy nie znali pisma, nie mieli żadnej kultury wyższej, technologicznie stali hen za Rzymianami. Najbliżsi cywilizacyjnie Rzymianom byli Celtowie. Germanowie sytuowali się za nimi parę stopni niżej, ale skutecznie ich wypierali. A już Słowianie w dawnych źródłach uchodzą za żałośnie prymitywnych i biednych. Bo Germanowie w wędrówce ludów przemieszczali się z wozami pełnymi dobytku, Słowianie zaś zawsze podróżowali „light”, bez materialnego inwentarza. Prowadząc życie proste i obywając się bez wygód, byli wszelako zdolni znosić największe niedogodności, wytrwali byli i nie do zdarcia, co zapewniło im niewątpliwie demograficzny i geopolityczny sukces. W trzy wieki, bez wielkich wojen i zasadniczych perturbacji zajęli bez mała pół znanej nam dziś Europy.

A zatem już na samym starcie dystans do odrabiania mieliśmy przepastny.

Rzym upadł, centrum polityczne Europy przemieściło się ku germańskim obszarom, ale w sensie cywilizacyjnym centrum postępu (kulturowego, cywilizacyjnego, gospodarczego) przez wiele wieków pozostawało na ziemiach północnowłoskich (Mediolan, Florencja, Wenecja, Turyn, Genua, Piza). Druk co prawda wynaleziono gdzie indziej, ale kultura wysoka, banki, merkantylizm i protokapitalizm rozchodziły się na Europę z włoskich republik miejskich. W siedemnastym wszakże wieku centrum rozwojowe definitywnie zaczęło przesuwac się na północ. A oświecenie i rewolucja przemysłowa zaklepały przywództwo plemion germańskich (Anglików, Niemców, Amerykanów, przy niewątpliwie walnym udziale także romańskich Francuzów).

W wielkim skrócie, w Europie doszło wtedy do wielkiej zamiany ról między centrum i peryferiami. Anglia, Galia i Germania, kiedyś przez stulecia peryferyjne, stały się Europy centrum. Tylko Słowianie nadal tkwili w zapóźnieniu. Dlaczego akurat im się nie powiodło?

W opisach wczesnych Słowian jedna uderzyła mnie ich cecha: egalitaryzm. Żyli we wspólnotach partnerskich, a nawet jeńców traktowali wspaniałomyślnie, po kilku latach pobytu pozwalano im albo wracać do siebie, albo zostać wśród Słowian na równych prawach. Kiedy czytałem potem analizy upatrujące przyczyn polskiego zapóźnienia w niewolniczym traktowaniu przez szlachtę pozostałej części społeczeństwa, nie tylko chłopów, choć i ich przede wszystkim, zastanawiałem się, kiedy i dlaczego ten genetyczny egalitaryzm Słowian skurczył się do granic stanu szlacheckiego i zagłuszony został, prowadząc wręcz do społecznego rasizmu, lokującego chłopów jako obcych plemiennie szlachcie w swej genealogii. Z dochodami, jakie zaczęli czerpać Słowianie z handlu niewolnikami, to się zaczęło? Z chrześcijaństwem to przyszło? Z wojnami i podbojami pierwszych Piastów? Ekonomiści powiadają, że niewoleniu klas nieposiadających sprzyja sytuacja, kiedy ziemi do obróbki jest zbyt wiele, zasobów technologicznych brak, a siła robocza staje się tak cenna, że trzeba pracownika przywiązać do ziemi, odebrać mu wolność, a zwłaszcza prawo do przemieszczania. Tak stało się w Polsce, w moskiewskiej Rosji, a

w niedawnych całkiem czasach w Ameryce, do końca prawie XIX w. praktykującej legalne bądź faktyczne niewolnictwo.

Nie całkiem mnie ta teoria przekonuje. Ale mniejsza z tym.

Szans na przełamanie klątwy zacofania nie wykorzystaliśmy. A były? Ominęła nas w XIV wieku wielka dżuma, która zdemolowała Europę, a jeszcze do tego żupy solne dały ostatnim Piastom przyprawiający o zawrót głowy zastrzyk finansowy (z drewnianej Polska stała się murowaną). Można było doganiać. Tylko, że ciążyli nam militarnie Krzyżacy, a potem elicie zamarzyła się ekspansja na wschód. A ponieważ nasza cywilizacja miejska (handel, usługi, wytwórczość) była obca etnicznie (niemiecka), więc zamiast widzieć w jej rozwoju szansę skoku cywilizacyjnego (jak w Europie Zachodniej), potraktowano ją jako źródło łatwego pieniądza, bez praw podmiotowych. Bo obca była i nie potrafiła dobrze wypowiedzieć, że „soczewica, koło, miele, młyn”?

Europejski popyt na polskie zboże, który kojarzymy ze zygmuntofskim złotym wiekiem, zamiast dźwignią rozwoju stał się naszym przekleństwem, utrwalił bowiem model gospodarki oparty na latyfundiarnym rolnictwie i eksploatacji chłopu, tego chłopu, który akurat wtedy na Zachodzie wyzwolił się skutecznie spod feudalnych więzi.

Na początku XVII wieku ominęła nas wojna trzydziestoletnia. Więc znowu była szansa, aby skrócić wobec Zachodu dystans. Niestety wszakże wykrwawili nas Chmielnicki, Potop, Aleksy I, Lubomirski, Turcy. A jeszcze do tego Wazowie starli na proch reformacyjne kiełki myślenia odmiennego. Bez protestantów polskich trudno było o protestancką etykę, a bez protestanckiej etyki trudno było o rodzimy kapitalizm. Trwaliśmy w okowach zapóźnienia.

Wojna północna z kolei zdewastowała polską gospodarkę, Sasi zaś pozwolili gnić w letargicznym trwaniu polskiemu państwu. Czy heroiczna próba reform związana z Sejmem Czteroletnim pozwoliłaby Polsce wejść na drogę rozwoju? Wątpię. Stała za tym zbyt wąska elita. Zdecydowana część społeczeństwa podążała, przynajmniej myślowo, za Targowicą. A potem ziemie polskie były już tylko prowincją wielkich imperiów. Prowincjonalizm nakręcał się sam.

No właśnie, a dlaczego to tak zapóźnionej cywilizacyjnie Rosji, jeszcze do końca XVII wieku żyjącej w bojaźni i w kompleksach przed Polską, takie imperium udało się zbudować, to nic, że na glinianych nogach, ale jednak w wydaniu sowieckim było to imperium współrządzące światem. W czasach zimnej wojny świat miał przecież tylko dwie centrale: Waszyngton i Moskwę. Bo miała własnych (Piotr I) czy importowanych (Katarzyna Wielka), ale wizjonerskich przywódców, których nam nie stało? Próbowaliśmy różnych przecież: i Piastów, i Jagiellonów, i rozmaitych obcokrajowców. Nic nie wyszło. Może trzeba było jednak obrać w XVI w. Hohenzollernów zamiast Wazów? Hola, hola! Protestantów?

Opisy Pierwszej Rzeczypospolitej czynione przez odwiedzających ją cudzoziemców pełne są bolesnych obserwacji.

Przed wszystkim narzekali obcokrajowcy na stan dróg i infrastruktury podróźnej. I to wieki, wieki całe. Polska to było błoto, kałuże, drogi niebrukowane mimo mnóstwa kamieni na polach (Ulryk von Werdum, XVII wiek). A w miastach, gdzie ulice w lepszym stanie, to kocie łby, kamienie po bokach ułożone, a w środku błoto (Giovanni Paolo Mucante, XVI wiek). „Drogi były złe, wiosek niewiele” (William Coxe, XVIII wiek). A tam, gdzie błota całkiem nieprzejezdne, tam co najwyżej drogi z pni jodłowych (N. W. Wrexall, XVIII w.).

Kiepsko też było z odbywaniem przerw w podróży. Zagraniczni goście od zawsze narzekali na brak zajazdów i gospód, marne w nich jedzenie (Gaspard de Tende, XVII wiek).

No i zawsze rzucała się w oczy prowincjonalna bieda, „ziemie nieplodne, ubogie sioła” (K. Celtis, XVI w.). Polacy w nędznych mieszkali chatynkach i to mieszkali tam ze zwierzętami (Ph. Desportes, XV wiek). Ludziom na wsiach brak było „najelementarniejszych rzeczy”, panowało kompletne ubóstwo, „szkaradny” jedli nawet chleb (N. W. Wrexhall, XVIII w.).

Ten ubogi naród robił jednak fizycznie dobre wrażenie. „Polacy zwykle są silni, średniej tuszy, blondyni, o jasnym kolorze skóry. Białogłowy są urodziwe, a wszyscy dość grzeczni i posłuszni rządowi. Kochają cudzoziemców. Jak inne ludy Północy, lubią dobrze wypić, dużo zjeść. Nadmiar uważają za cnotę, a umiarkowanie, okazywane w kompanii, za złość ukrywaną, więc biesiadom ich nieraz towarzyszą kłótnie, obcinanie nosów szablami albo karabelami. Najwyżej cenią i za najdzielniejszych uważają tych, którzy noszą najwięcej blizn na twarzy”. (F.B., XVII wiek).

Lubili Polacy egzotyczne przyprawy i owoce. Ale grzeszyli niewielkim umiłowaniem ładu i porządku. Co ciekawe, ich dzieci mało płakały.

Zapalczywość i wybuchowość kojarzono z Polakami już za Mieszka. Byli jego poddani „skorzy do zaczepki i gwałtowności” (Ibrahim ibn Jakub, X w.). Odważni byliśmy i dumni od zawsze.

I zawsze skłonni byliśmy do uciech. „Wszyscy, jak świeccy tak i duchowni, lubią życie wesołe... Ranek poświęcają pracy, obiad jedzą późno, a w dwie godziny potem wieszają. Piją wtedy wiele, żartują i śpiewają do północy, a nieraz i do dnia białego. Odpoczywają potem w łózkach małych i wąskich, w których ledwo można się obrócić” (Giovanni Paolo Mucante, XVI w.).

Wizytujący Polskę co i rusz podkreślali polską gościnność. „Wielcy panowie są szlachetni i wspaniali. Znałem takich, którzy gościli u siebie Francuzów, Włochów i Niemców, choć ich nie znali, i żywili ich, póki ci nie znaleźli sobie jakiegoś zajęcia” (Gaspard de Tende, XVII wiek).

Mieli Polacy mało książek, bo tylko ich parę procent umiało czytać, ale znali języki obce. Łaciną posługiwali się nawet chłopcy i dzieci. „Polacy, czerpiąc z włoskich źródeł, blask łacińskiej mowy na Północ przenieśli i Niemców oraz Węgrów przewyższyli”

(Eneasz Sylwiusz Piccolomini). W Warszawie można było „doskonale poradzić sobie używając języka niemieckiego, którego znajomość jest tu powszechna tak, jak i języka francuskiego. W wielu domach mówi się po angielsku, a wykształcone damy posługują się również językiem włoskim” (Johann Erich Biester, XVIII w.).

Zawsze chcieli słyszeć Polacy, co o nich myślą obcy, ale tolerowali jedynie opinie im pochlebne. Zostało nam to dziś. Tę skłonność do wysłuchiwania od obcych komplementów na swój temat obserwować można po współczesne czasy. „Polacy uchodzą za nieszczerých, gdy chodzi o mówienie korzystne o swoim narodzie, kraju, prawach i rządzie, bo pełni miłości własnej gardzą tym, co z ich zwyczajami jest niezgodne. By uzyskać u nich dobre przyjęcie i wszystko, czego się pragnie, należy ich chwalić i im pochlebiać” (F.B., XVII w.).

Można się z tym opisami zgadzać lub nie, ale w tych nawet najbardziej krytycznych nie widać u nas genetycznych przeciwwskazań do odniesienia sukcesu. Bo obcy zauważają zawsze naszą wytrzymałość, zdolność do wyrzeczeń, do ponoszenia ciężkich trudów. Może improwizacją nadrabialiśmy nie końca skutecznie brak nawyków organizacyjnych. Może osłabiało zdolność zbiorowego działania sobiepaństwo i warcholstwo. Ale nikt Polaków nie śmiał obzywać leniami i tępakami.

Problem rozwojowy polegał nie na braku odpowiednich cech narodowych, ale na tym, jak się wydaje, że nigdy nie stworzyliśmy sprawnego państwa. Była władza królewska, instytucje państwowe (król, sejm, trybunały), były rządy absolutne szlachty na zagrodzie, ale brak było państwa, państwowego ducha, państwowej tożsamości, które organizowałyby wspólnotę, mobilizowały do ponoszenia trudu inwestycji (jak budowa mostów, dróg i zawodowej armii). Mógł Polak poświęcać życie za wiarę, nawet za króla, ale szarzać dla państwa mu się raczej nie chciało. Zbyt abstrakcyjne to pojęcie było. Brak było zbiorowego instynktu państwowego, zbiorowej wyobraźni politycznej. Nie wydaje się jednak, aby były to defekty wrodzone.

Dziś żaden cudzoziemiec nie ma już prawa narzekać na polskie drogi i infrastrukturę, na polskie domy i wąskie w nich łóżka, na polskie jedzenie, na Polaków stan garderoby. Polska wygląda nawet lepiej niż nasze parametry dobrobytu w porównaniu z bogatym Zachodem. Ale zgoda: w głowach i organizacji państwa jeszcze dystans spory do nowoczesności.

Błędem niewybaczalnym byłoby uznanie, jak twierdzą niektórzy progresiści, że wystarczy odsunąć od władzy narodowo-tradycjonalistycznych populistów, „euroazjatycką” elitę polityczną, odebrać im instrumenty propagandy, uciszyć kruchę, a przeskok do nowoczesności dokona się sam. Gdzie nie spojrzeć, to widać olbrzymią lukę – w szkolnictwie, edukacji wyższej, badaniach naukowych, w opiece zdrowotnej, w administracji państwowej, sądach, prokuraturze, służbach, policji, w planowaniu przestrzennym, w dyplomacji. A polityków, zdolnych do poprowadzenia państwa ku nowoczesności z wyobraźnią i wiedzą, tak niewielu. A presja okoliczności rozmieniająca ich talenta na drobne tak olbrzymia.

Nadrabiać dystans dziś nieporównanie łatwiej niż kiedykolwiek w przeszłości. Dziś świat się spłaszcza. Rozziew między centrum i peryferiami kurczy się. Iść na skróty jest o wiele łatwiej. Tylko oczywiście trzeba mieć adekwatne elity.

*

Jeśli Europa Środkowowschodnia miała cierpieć na syndrom europejskiej prowincji, to co dopiero mówić o Bałkanach. Chociaż przecież Konstantynopol był przez kilka wieków realnym politycznym centrum, a na krańcach Bałkanów wyrósł. A nowożytne Bałkany to jedynie Europy miękkie podbrzusze, beczka prochu, kocioł.

Pojechałem w 2014 r. do Albanii, aby wziąć udział w dyskusji panelowej o miejscu Bałkanów Zachodnich na mapie Europy i świata. Wybrałem największe możliwe oddalenie, z którego wtedy mogłem spojrzeć na region – perspektywę cywilizacyjno-społeczną. Przystudiowałem po prostu pozycję krajów regionu w światowych zestawieniach rankingowych opracowanych wtedy przez The Economist. Mógłbym oczywiście powołać się na solidny oenzyklopedyczny Human Development Index, ale wolałem sam sobie dobierać kryteria, które dawałyby mi wnikliwszy obraz stylu życia społeczeństw. Zresztą mam do HDI poważne zastrzeżenia.

Obraz, jaki się mi wyłonił, był dość depresyjny. Otóż w trzydzieści lat po upadku komunizmu (i rozpadzie Jugosławii) region był, po pierwsze, nadal w dużej mierze uzależniony od pomocy zewnętrznej i pogrążony w długach. Na liście państw świata o największym rozmiarze pomocy na głowę ludności Kosowo zajmowało miejsce trzecie, Czarnogóra – 26, Bośnia i Hercegowina – 29, Albania – 34, a Serbia – 42. Pod względem długu zagranicznego (w proporcji do eksportu) Serbia zajmowała 9 miejsce, a Północna Macedonia – 24. Jeszcze wyżej państwa plasowały się pod względem kosztów obsługi długu zagranicznego.

Po drugie, region dotknięty był boleśnie bezrobociem i emigracją. Pod względem stopy bezrobocia Płn. Macedonia zajmowała 3 miejsce w świecie, BiH – 5, Serbia – 14, Albania – 28, a Chorwacja – 32. Jeśli wziąć stopę bezrobocia wśród młodzieży (do 24 roku życia), to już w ogóle masakra: BiH – światowym liderem, Płn. Macedonia – wiceliderem, Serbia – 5, Czarnogóra – 9, Chorwacja – 9. Ranking państw świata najbardziej dotkniętych drenażem mózgów plasował Serbię na pozycji 4, BiH na miejscu 5, zaś Płn. Macedonię – na 10.

A po trzecie, był to wtedy region starzejącej się i wymierającej populacji. Klasyfikacja najwolniejszego wzrostu ludności czyniła Serbię 9 krajem świata, Chorwację – 11, Czarnogórę – 15. Pod względem najniższej diety kobiet BiH była wtedy liderem w świecie. Płn. Macedonia szła na 8 miejscu. W rankingu najniższego tzw. surowego współczynnika urodzeń BiH była na miejscu 3, Serbia na miejscu 5, Chorwacja zaś na 15. Jeśli wziąć średni wiek populacji, to 13 miejsce zajmowała Chorwacja, BiH zaś 30. Przodował region pod względem konsumpcji papierosów (Serbia była wtedy światowym liderem), a i alkoholu.

Co o regionie wystawiało dość dobrą opinię, to fakt, że państwa te lokowały się dość wysoko pod względem społecznej równości (współczynnik Gini dawał Serbii 7 miejsce

w świecie), niskich kosztów życia (Serbia zajmowała 17 lokatę w świecie), a także siły związków rodzinnych (na liście państw o najniższym współczynniku rozwodów BiH była 6, Płn. Macedonia 12, Serbia i Chorwacja – 22).

Okazało się także na podstawie owych światowych rankingów, że państwa te żyły wtedy całkiem bezpiecznie (pod względem przestępczości problem miały jedynie z kradzieżami). Nieźle sobie radziły z korupcją (Chorwacja była na poziomie Czech, Czarnogóra i Płn. Macedonia na poziomie Włoch, Serbia lepsza była od Grecji czy Bułgarii, a Kosowo i Albania, choć bardzo nisko, wyprzedzały jednak Rosję) i biurokratycznymi obciążeniami. A w końcu też nie wyglądały aż tak zapóźnione technologicznie (jeśli np. mierzyć go masowością dostępu do Internetu).

Tak sobie wtedy wyobrażałem pomiary odległości między centrum cywilizacyjnego rozwoju a peryferiami. Czytelnikom pozostawiam sprawdzenie, czy po dziesięciu latach dystans między Bałkanami Zachodnimi a szpicą rozwoju cywilizacyjnego zmniejszył się, czy zwiększył. Stawiam tezę, że się pod wieloma względami zmniejszył. Ale nadal podróż tam może nas, Polaków, leczyć z kompleksów.

To oczywiście była wtedy tylko zabawa. Problem polega na wielkiej subiektywności wyboru kryteriów i sposobu dokonywania pomiarów, także w kontekście HDI. Kryteria z reguły dobierane są z perspektywy centrum. Dlatego dla ONZ tak ważne jest kryterium równości płci. Dla Afganistanu, Iranu czy Jemenu to żadne kryterium. I kryteria podlegają zmianom. W Danii chociażby liczba samochodów na rodzinę dawno przestała być miarą dobrobytu, w Laosie taką miarą nadal jest. I to bardziej niż 20 lat temu.

*

Na poważniej syndrom prowincjonalizmu interesował mnie w odniesieniu do sposobu prowadzenia polityki zagranicznej. Prowincjonalizm to oczywiście coś bardziej systemowego niż nasza „murzyńskość”, która kilka lat temu wywołała publiczną dyskusję daleko poza restauracyjnymi stolikami. Widziałem różne mentalne skrzywienia u sterników i recenzentów polskiej polityki zagranicznej. Spotkałem w czasach PRL-u ludzi beznadziejnie dotkniętych syndromem wasalizmu, kompleksem niższości trudnym do wyobrażenia. Spotkałem już w czasach III RP wyznawców (cynicznego lub ideowego) bandwagoningu. Spotkałem ślepych „Eurazjatów”. Spotkałem „królów przedmieścia”. Ale miałem też okazję pracować z ludźmi, którzy świat znali i świata się nie bali, na Polskę patrzyli z szerokiego horyzontu.

Zgodzę się jednak z tezą, że prowincjonalizm jest największym naszym defektem w myśleniu o polityce zagranicznej. Zdolna młodzież bezwolnie wynosi go z systemu edukacji, wychowania. Przynosi i utrwała w instytucjach państwa i życiu publicznym. Nie stawiałbym tej tezy, gdybym ja, dumny przedstawiciel polskiej prowincji, sam od najwcześniejszych lat obsesyjnie nie walczył z własnym prowincjonalizmem.

Polską politykę zagraniczną i działania dyplomacji polskiej nie uziemia i nie ogranicza brak zasobów materialnych i finansowych, niemocarstwowy status własnego państwa, niebezpieczne sąsiedztwo, zależność od Brukseli czy Waszyngtonu, ale ów

provincjonalizm w nawykach myślowych, wyobraźni politycznej i ideach. O czym przy innej okazji.

XXII. Postęp i reakcja

Jerzy Andrzejewski w „Miazdze”, genialnej pod względem literackiego zamysłu i skiepszczonej pod względem końcowego efektu, przytacza w pamiętniku fragment radiowej audycji „Popołudnie z młodością” z września 1970 r. i cytuje wypowiedź młodej licealistki warszawskiej: „Czy ja wiem, czy jest jakiś postęp? Jest tak samo, jak było, tylko ludzi jest więcej”.

Taka niewiara w siłę zmian wpływała wtedy oczywiście z gomułkowskiego zastoju. Ale ja w tej szczerzej wypowiedzi widzę manifest wielu dzisiejszych kontestatorów postępu. Także w ocenie sytuacji międzynarodowej i polityki państw.

Wielką estymą otaczałem apostołów realistycznej szkoły teorii stosunków międzynarodowych, w tym zwłaszcza Hansa Morgenthaua, Kennetha Waltza i bliskiego im Johna Mearsheimera. Jednak im dłużej praktykowałem realizm w działalności dyplomatycznej, tj. oceniałem zachowania innych przez pryzmat interesów narodowych, marginalizowałem rolę czynnika moralnego, uznawałem, że o wszystkim przesądza potęga państw, tym bardziej się do realizmu zniechęcałem. A już najbardziej uwierało mnie w realizmie przekonanie, że polityką międzynarodową rządzą od wieków te same prawa, wynikające z głębi natury ludzkiej, a sama owa natura jest naturą niezmienną. Realizm przygnębiał mnie konkluzją, że polityka i świat polityki są jednym wielkim „deja vu all over again”, odgrywaną w nowych dekoracjach tą samą grecką tragedią pełną przemocy, dominacji, poniżenia i cierpień. Nic to, że neorealiści dopuszczali zmienność świata, bo jednak wyłącznie w odniesieniu do rozwoju wewnętrznego państw, ponieważ państwa na zewnątrz zachowywać się będą, według nich, zawsze po staremu. Z ulgą więc wielu z nas przyjęło zapowiedź Donalda Trumpa o powrocie do polityki, ochrzczonej jako „pokój przez siłę”.

Wyrastałem w klimatach małomiasteczkowych, przesączonych genetycznym tradycjonalizmem. Peerelowski sztafaż był dekoracyjną skorupką, pod którą ludność miejscowa uprawiała na co dzień polski tradycjonalizm klasyczny. Był on do szpiku kości bogoojczyźniany, patriarchalny, ksenofobiczny (wrogi wszelkim przejawom odmienności), zawistno-urawniłowczany, wścibsko-plotkarski, insynuacyjny, roszczeniowy, kłótniwo-litygacyjny. Wierny był rytuałom i tradycjom, odwoływał się do wartości świętych i uświęconych – rodzinnych, religijnych, plemiennych. Każdą zmianę traktował jako zagrożenie. Kiedy nie był w stanie zapobiec zmianie, jak w przypadku ustroju socjalistycznego w Polsce, starał się maksymalnie ograniczyć jej skutki dla tradycyjnego stylu życia.

Każda młoda i rozsądna osoba musi dojrzeć w takich warunkach do naturalnego buntu wobec tak skostniałej tożsamości, narzucanej ze wszystkich stron i codziennie. U mnie pojawił się on dosyć wcześnie.

Wspomnienia lat wczesnych pozwalają mi doskonale zrozumieć fenomen populistycznych formacji w Europie, które odwołując się do tradycjonalizmu, maskują go konserwatyzmem. Kiedy widziałem te wygadane prowincjonalne nauczycielki na politycznych posadach i to najwyższych, tych aroganckich, a niespełnionych byłych nauczycieli akademickich, tych zaradnych wójtów i sołtysów na ministerialnych i korporacyjnych stołkach, tych gminnych lekarzy i wzbogaconych nagle „pieczarkarzy” w poselskich fotelach, ludzi jak by nie było wykształconych i to nie w pierwszym pokoleniu, wracała mi pamięć małomiasteczkowego polskiego konserwatyzmu, doskonale rozumiałem tajemnicę ich wyborczego sukcesu, kierunek, w którym chcieli poprowadzić Polskę.

Jak ja się przed laty bałem, że stanę się jednym z nich, jak ja chciałem od takiego przeznaczenia uciec!

Nie będę więc krył, że od dziecka porywała mnie idea postępu i zmiany. Może z tego buntu wobec tradycjonalizmu wyrastała. Nie chciałem się pogodzić z założeniem, że wszystko musi być tak samo, że jeśli się coś zmienia to w cyklu powtórek, że jak jest lepiej, to z pewnością znowu kiedyś będzie gorzej, a tym bardziej irytowało, kiedy słyszałem, że „złoty wiek” już za nami, że co najwyżej wrócimy do rajskiej doskonałości po sądzie ostatecznym jakimś, niekoniecznie religijnym.

Zapisałem się więc do marksistów, którzy postęp odmieniali nieustannie przez wszystkie przypadki. Ale zraziła mnie ich arogancja, że oni doskonale wiedzą, jak będzie wyglądać przyszłość, więc nie ma w ogóle o czym ze mną dyskutować. Kiedy pytałem, skąd wiedzą, że przyszłość ma wyglądać, jak opowiadają, odsyłali mnie do Marksa, ale ja tam u niego żadnych konkretnych wizji nie potrafiłem znaleźć. Denerwowała mnie ich konkluzja, że skoro przyszłość jest znana, to po co na nią cierpliwie czekać, lepiej jej nadejście przyspieszać i niszczyć stary świat, gdzie się da. Tylko, że nowy, lepszy świat wcale nie chciał powstawać. Rzeczywistość wcale nie chciała się do ich wizji przybliżać. Skrzeszała swoją październikową niezmiennością. I zabierała coraz więcej osobistej wolności. Nie mogłem akceptować idei postępu, która domagała się ode mnie rezygnacji z własnej swobody.

Przytuliłem się więc do liberałów. Oni też wierzyli w postęp. I łączyli go z apoteozą indywidualnej wolności. Ale uznawali, że logika rozwoju świata jest tak wszechpotężna, że postęp dokona się sam, może szybciej, może wolniej, ale stanie się sam. Nic w zasadzie robić nie trzeba, nawet kiedy siły zła i reakcji próbują pchnąć świat wstecz, zawrócić z drogi rozwoju. Wystarczy być cierpliwym, debatować, negocjować, nie wdawać się w awantury. Z takim lenistwem pogodzić się nie mogłem. Na taką bierność przystać mi nie wypadało. Ciamciaramciawatość liberałów, ich uwielbienie temperatury „letniej wody w kranie”, bezczynność w obliczu kontrofensywy sił tzw. reakcji (populistów, zamordystów i dyktatorów) musiała doprowadzić do mojego z nimi rozbratu.

Bo, jak mówią uczeni, postęp jest spontaniczny. Jemu przeciwdziałanie jednak – zorganizowane, świadome, zmobilizowane (vide Putin).

Wolnościowcem pozostałem. To znaczy zawsze dla mnie naczelnym dobrem będzie wolność osobista, godność, obywatelska podmiotowość. A ponieważ aktywnie rzeczywistości międzynarodowej, dyplomatycznej, będąc na emeryturze nie zmieniałem, coraz więcej w moim pojmowaniu postępu pojawiło się misyjności, wezwań do działań śmiałych i odważnych.

Liberalizm praktykowany przez lata zasłużenie popadł w kryzys. W 2023 r. na łamach „New York Timesa” Ross Douthat zapostulował jego odnowienie. Bo cóż miałoby liberalizm zastąpić? W Ameryce wybór jest mizerny: albo trumpizm, albo wokeizm. W Europie ideologicznych prądów wyliczyć pewno można byłoby więcej, ale większość z nich suchym cieknie korytem, jak klasycznie pojmowany socjalizm, konserwatyzm, nacjonalizm czy ekologizm. I są one odrzucająco epigońskie. Nie bez powodu ktoś kiedyś nazwał dzisiejszych politycznych ideologów handlarzami używanych idei („second hand dealers in ideas”). Ideologiczne wdianka można dziś jedynie nabywać w lumpeksach.

Douthat proponował, aby znaleźć dla liberalizmu bratnią ideę, z którą można by go pożenić. Bo liberalizm rozkwitał, kiedy miał szansę działać w sposób synergiczny. W XIX w. liberalizm spiknięto z nacjonalizmem. W USA liberalizm twórczo połączono z protestantyzmem. W Europie dwudziestowiecznej liberalizm musiał nasączać się ideałami sprawiedliwości społecznej. Chodzi więc dziś o znalezienie nowej odmiany formuły „liberalizm plus”.

Jedyną pożądaną możliwością, przynajmniej w moim przekonaniu, jest wprzęgnięcie liberalizmu w nowy uniwersalizm, w nowy pangeizm, w nowy empatyczny kosmopolityzm.

Dziś mówić o tym, że świat jest lepszy, że tak dobrze nigdy nam nie było, a będzie jeszcze lepiej, nie jest łatwo. Bo wojny, przewroty, dyktatury, prześladowania ludzi, więźniowie polityczni, cenzura, migracje, epidemie, rosnące dysproporcje dochodowe, zmiany klimatu. Długo by nasze plagi wymieniać. Na Zachodzie pełno jest przynębień. Nie jest nowe. Przypomnijmy sobie Spenglera. A co się działo w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku, to i ja pamiętam. Propaganda socjalistyczna zachłystywała się cytataми z wybitnych opracowań, raportów i wypowiedzi zachodnich autorytetów o tym, w jakim to kryzysie znajduje się Zachód, jak bliski jest jego koniec. Trójstronna Komisja w 1975 r. zapowiadała przecież, że kraje Zachodu staną się niezdolne do egzystencji i zarządzania. A to z powodu dezintegracji porządku obywatelskiego, ośłupienia liderów i alienacji obywateli. Dziś te diagnozy potrafią być jeszcze bardziej mroczne.

Więc i ja na podorędziu trzymam książki Johana Norberga i Steven Pinkera i sięgam po nie, kiedy te kaskady dystopijnych prognoz zaczynają mnie dołować. Udowodnili oni bez wątpienia, że żyjemy w najlepszej z możliwych epok w historii ludzkości. Według mnie, to nadal jest epoka wczesnej cywilizacji, to nadal czas mroku, ale jest

nasza epoka milowym krokiem naprzód w stosunku do lat minionych i to minionych tak niedawno.

Ludzie żyją dłużej, są fizycznie dorodniejsi, lepiej dają sobie radę z chorobami, w tym z pandemią. Są inteligentniejsi, mają wyższy IQ (efekt Flynna). Lepiej się odżywiają. Są jeszcze tacy, co przymierają bądź umierają z głodu, ale winna w tym niewydolna administracja lokalna, a nie deficyt żywności. Mieszkają lepiej, z chłodu nie giną. Są lepiej wykształceni. 90 proc. ludzi na świecie potrafi czytać i pisać. Emancypacja kobiet osiągnęła niespotykane wyżyny, chociaż nie wszędzie. Mniejszości mogą liczyć na większą tolerancję, osoby z niepełnosprawnościami – na większą empatię. No i mniej jest przemocy w świecie. Przemoc międzypaństwowa od dekad jest rekordowo niska, choć niewątpliwie dla Ukraińców to żadne pocieszenie. Wojny domowe, gwałtowne przewroty nadal się zdarzają, ale o wiele ich mniej niż w latach dziewięćdziesiątych. Liczba kryminalnych przestępstw spada. Najwolniej nam szło, jak pokazywał kiedyś Pinker, z ograniczaniem przemocy domowej. Także na bogatym Zachodzie.

I wbrew obiegowej tezie, że mądrość moralna jest niekumulatywna, nasze standardy etyczne znacznie wzrosły.

Zainteresowanym statystykami i faktami odsyłam do Pinkera i Norberga. Przekonają się, że im głębiej zanurzają się w ich narracji, tym łatwiej im będzie znaleźć dowody, że jest jednak lepiej, że świat zmienia się na lepsze. Malkontenci zawsze będą basować, że co to znaczy – „na lepsze”. Bo masowe psychiczne depresje na Zachodzie, rozpad rodzin, samotność. Do tego postępuje przecież, na przykład, laicyzacja, coraz mniej ludzi (proporcjonalnie do całej populacji) wierzy w Boga i modli się do niego. To ma znaczyć „na lepsze”? Odpowiedzieć, że tak, kryje w sobie pułapkę. Okazuje się bowiem, że można czynić postęp obywatelom się bez boskiego wsparcia.

W mojej działalności zawodowej pytaniem codziennym było: jak mierzyć postęp w stosunkach międzynarodowych. Gotowych odpowiedzi nie brakowało: spadkiem przemocy i gróźb użycia siły, wzrostem liczby traktatów i innych instrumentów prawnomiędzynarodowych regulujących zachowanie państw, rozrostem instytucji międzynarodowych mitygujących sobiepaństwo i egoizm państw, a wymuszających współpracę, postępującą międzynarodową odpowiedzialnością państw i ich liderów za prowadzoną przez nich politykę wewnętrzną. I tak dalej, i temu podobne.

Wbrew temu, co powiadają ortodoksyjni realiści, świat poszedł do przodu, mimo że nadal środowisko międzynarodowe ma charakter strukturalnie anarchiczny.

Dla mnie bardziej od cywilizowanej formy, którą nabierają stosunki międzynarodowe, istotniejszy był aspekt ich treści. Kluczowym dla oceny postępu w mojej optyce jest, na ile polityka zagraniczna podlega wartościowaniu moralnemu, na ile zwierają się nożyce między moralnością utylitarystyczną („zasada Kalego”), która rządziła od zawsze polityką zagraniczną państw, a moralnością kantowskiego imperatywu obowiązku (która dominuje w etyce wewnątrzplemiennej). Jak Państwo wiedzą, nosicielem ładunku moralnego w stosunkach międzynarodowych jest, w moim postrzeganiu świata, obywatel, jednostka ludzka. Jego wpływem na politykę

międzynarodową miarę więc postęp w stosunkach międzynarodowych. Wektor postępu to dla mnie empatyczna, sprawiedliwa, obywatelska wspólnota kosmopolityczna. Oj, daleko ona, przynajmniej, ledwo majaczy na skraju horyzontu.

Śmiałe pomysły w dyskusjach politycznomiędzynarodowych są niewątpliwie detonatorem gwałtownych reakcji, w których ujawniają się emocje tych dyskusji uczestników. Ileż to razy i ja w swoich skromnych i marginalnych w sumie sporach przypominałem sobie opisy podane przez Alberta Hirschmana w jego „The Rhetoric of Reaction: Perversity, Futility, Jeopardy”, o sposobach w jaki postęp hamowany jest przez odruchy zachowawcze, jeśli wręcz nie wsteczne, filisterskie.

Pierwszy wybieg reakcji to teza o przewrotności, czyli próba dowiedzenia, że śmiały pomysł zamiast do rozwiązania problemu doprowadzi do jego zaostrenia. Globalne instytuty ponadnarodowe zamiast wzmocnić zdolność wspólnoty międzynarodowej do działania wprowadzą dodatkowy czynnik biurokratyczny komplikujący działanie i wywołają nowe napięcia, tym razem na linii instytucje-państwa narodowe. A zamiast sprzyjać demokracji w świecie doprowadzi to do ukonstytuowania się nowego poziomu autorytarnej biurokracji, pozbawionej mandatu społecznego. Osłabi państwa narodowe, które są jedynymi realnymi instrumentami zapewnienia politycznej stabilności.

Drugi argument reakcji to daremność działań. Próba wzmocnienia ponadnarodowego wymiaru w zarządzaniu globalnym zakończy się, zgodnie z tą logiką, totalnym niepowodzeniem. Nastąpi dyfuzja odpowiedzialności, deficyt przywództwa. Pozorowane działania będą zasłoną dla powszechnego marazmu, a państwa narodowe będą zmuszone podejmować działania ratunkowe na własną rękę.

I trzecia linia kontestacji śmiałych pomysłów to teza o zbyt dużym ryzyku w przypadku ich realizacji. Reakcjonisci nie podważają sensu zmian, ale dowodzą, że ich implementacja jest zbyt kosztowna, świat do niej jeszcze nie dojrzał, podniesie ona oczekiwania społeczne, którym nikt nie będzie w stanie sprostać. A wręcz może doprowadzić do załamania się całego porządku międzynarodowego.

Porównajcie sobie powyższe z tym, co wygadują niektórzy politycy prawicy o pomysłach reformy Unii Europejskiej. Brzmi znajomo? A teraz wyobraźcie sobie, jeśli podobne pomysły miały wymiar globalny. Z Unii Europejskiej od biedy można się wyłączyć, ale relegować się z globalnej wspólnoty razem z Rosją czy Chinami? Hadko. Chyba, że razem z USA. Wtedy to zupełnie inna para kaloszy.

Zwolennicy postępu dziś ograniczają więc horyzont własnej wyobraźni. Osadzają swoje pomysły w głębokiej koleinie dotychczasowych reform. Przystają na konieczność zmian ewolucyjnych, stopniowych, wyważonych, odpowiedzialnych, realnych, sprawdzalnych, konsensusowych.

Taki spętany pragmatyzm przebijał z wielkich raportów przygotowujących oenietowski „Szczyt dla Przyszłości”. W dokumencie Panelu, omawianym tu wcześniej, rozdział dotyczący tzw. działań wyprzedzających skupiał się ledwo na czterech zagadnieniach: zmianach klimatycznych, zarządzaniu ryzykami biologicznymi

i zdrowotnymi, zarządzaniu nowymi technologiami i zwalczaniu przestępczości transgranicznej. Brak było odniesień do wyzwań geopolitycznych czy globalno-społecznych. A proponowane kroki to kolejne szczyty, porozumienia regulujące, mapy drogowe i instytucje (w tym i godne poparcia, jak np. niezależny globalny organ monitorowania wyzwań zdrowotnych). Nowej jakości w tym się jednak nie doszukasz. Jest podążanie tą samą sprawdzoną koleiną.

Aż nadleci „czarny łabędź” i nam tę koleinę rozpirzy. Nadleciał?

XXIII. Katastrofy, czarne łabędzie i granice wyobraźni

Ileż to razy w historii zdarzało się, że sprawy smarowno szły, wszystko zmierzało w dobrą stronę, a tu nagle „bum”, albo nawet wielkie „bum”, i świat wywracał się do góry nogami, nie dało się żyć jak wcześniej. Doświadczyliśmy tego ostatnio w czasach pandemii COVID-19. Kaskadą lały się proroctwa tuzów analityki politologicznej i socjologicznej, że świat lat minionych już nie wróci, a wszystko musi ułożyć się po nowemu.

Jeszcze pamięć po COVID nie zaschła, a cywilizacyjny pociąg wrócił wszakże na stare tory. Instytucje polityczne funkcjonują po staremu, współpraca międzynarodowa tym bardziej. Także geopolityka tkwi w starym układzie (a przecież sam Larry Summers zapowiadał, że od pandemii COVID odliczać będziemy erę chińskiego przywództwa w świecie; Chiny zaś po pandemii do dziś ledwo się zbierają). Żadnego przewrotu w świadomości społecznej i kulturze politycznej COVID nie dokonał. Jak zwykle wybitni komentatorzy nie przewidzieli mocno zaprogramowanego w nas odruchu wracania do utartych szlaków, odbudowy życia codziennego, w tym życia politycznego, w praktykowanych ramach. Nie pierwszy to raz wybitne umysły rozminęły się z rzeczywistością. Świat miał nie być więcej ten sam po 11 września 2001 r., czy po 15 września 2008 r. A w sumie był.

Niall Ferguson wykorzystał COVID-owy kryzys do przedłożenia zamaszystego opisu wpływu katastrof na funkcjonowanie naszych społeczeństw (Niall Ferguson, *Polityka i katastrofy współczesnego świata/ Niall Ferguson, Doom. The Politics of Catastrophe. 2021*).

Przypomnijmy, że swoją teorię katastrof Niall Ferguson ujął w pięciu tezach.

Po pierwsze, katastrofy są nieprzewidywalne.

Po drugie, nie ma jasnej granicy między katastrofami naturalnymi i wywołanymi przez człowieka.

Po trzecie, szkodliwe ich skutki wynikają z tego, że w radzeniu sobie z katastrofami zawodzą decydenci, choć nie tylko ci na szczycie.

Po czwarte, jak sformułował to sam Autor: „zakażenie ciał prowadzi do zakażenia umysłów”.

Po piąte, lepiej zawsze wykazywać wobec katastrof nastawienie lekko paranoiczne.

Oczywiście od zarania dziejów ludzkość wystawiona była na katastrofy. Katastrofy rzadko są jednak zjawiskami całkowicie zewnętrznymi. Poza uderzeniami meteorytów (nie odnotowanymi od 60 mln lat) bądź inwazją obcych (mało prawdopodobną w przewidywalnej przyszłości), wszystkie inne katastrofy rodzą się na naszej planecie. We wszystkich, w tym także tych najbardziej naturalnych (trzęsienia ziemi i inne), zaangażowany jest czynnik ludzki (przynajmniej w wymiarze skutków).

Jednym zdaniem, cywilizacja ludzka zawsze skazana była na niepewność. Świadomość społeczna jest na nieszczęścia przygotowana. One będą się zdarzać. Zawsze poddawać będą cywilizację ludzką egzaminowi. Niepewność wobec przyszłości jest immanentną cechą naszej zbiorowej świadomości.

Ferguson podzielił katastrofy na trzy obrazowe kategorie.

Po pierwsze, to szare nosorożce, czyli kataklizmy niebezpieczne, ale oczywiste i wysoce prawdopodobne, jak kryzys finansowy 2008 r., cyberataki, niedobór wody.

Po drugie, to czarne łabędzie, czyli wydarzenia niemożliwe do przewidzenia, mało prawdopodobne, jak, według Autora, I wojna światowa czy COVID 19.

Po trzecie, to smoczy królowie, czyli wydarzenia ekstremalne, wymykające się rozkładowi prawa potęgowego. Ferguson wkłada w tę kategorię obsunięcia kapitałowe, trzęsienia ziemi, narastanie rozmiaru miast. Ale zastrzega, że w pewien sposób są to zjawiska przewidywalne.

Świat dzisiejszy jest z jednej strony bardziej wrażliwy na skutki katastrof, ale z drugiej lepiej przygotowany na ich przewidywanie i im zaradzanie.

Wrażliwość świata wzrosła, bo wzrosły współzależności, wynikające m.in. z globalizacji. Pandemie rozlewają się dziś po świecie o wiele szybciej i szerzej niż w przeszłości. Dżuma epoki Justyniana wstrząsnęła posadami Bizancjum (śmierć poniosło w samym Cesarstwie ponad 7 milionów ludzi, a w Europie ponad 50 proc. ówczesnej populacji), ale Słowianie tamtych czasów nie odczuli jej dotkliwie i próżnię populacyjną po niej skutecznie wypełnili, zaludniając olbrzymie połacie Europy. Czarna śmierć przetrzebiła populację średniowiecznego Zachodu w XIV w. (ludność samych miast skurczyła się o 50 proc.), ale Polskę jakoś szczęśliwie ominęła (choć współcześnie teza ta jest jednak kwestionowana). Dziś COVID potrafił dotrzeć wszędzie i to w try miga.

Wojny domowe i polityczne turbulencje bardzo lokalne też mają dziś o wiele szersze implikacje. Wstrząsy polityczne w Syrii, Iraku i Afganistanie wpłynęły na niespotykany w przeszłości kryzys migracyjny w Unii Europejskiej w I. 2015 i następnych. Trzęsienie ziemi w Japonii i powódź w Azji Południowo-Wschodniej w 2011 r. zakłóciły poważnie łańcuchy dostaw podzespołów elektronicznych. Upadek jednego banku wywołać może reakcję łańcuchową, która pozbawi oszczędności życia dziesiątków milionów ludzi na świecie, o czym przekonano się w 2008 r.

Efekt motyla sprawdza się w dzisiejszym świecie na każdym kroku.

A w przypadku kataklizmu wojen era atomowa doprowadziła do tego, że lokalne nawet ognisko zapalne, niesprawność techniczna broni czy emocjonalna niestabilność jednego przywódcy doprowadzić może do globalnego Armagedonu o nieprzewidywalnych dla cywilizacji ludzkiej konsekwencjach.

Wszystko to prawda. Ale przecież nasza wiedza, zbiorowa mądrość, zgromadzone siły i środki powinny pozwalać nam lepiej katastrofy przewidywać i lepiej sobie radzić z ich skutkami.

Ferguson obstaje wprawdzie, że w niewielkim stopniu kataklizmy da się przewidywać. Rozkład czarnych łabędzi rządzi się regułami prawa potęgowego i nie podlega normalnemu rozkładowi prawdopodobieństwa. Czasami przewidzieć możemy jakieś nieszczęście, ale rzadko jego rozmiar i skutki.

Jednak w głowie nadal nie chce mi się zmieścić, że kryzys finansowy 2009 r. przewidziała zaledwie garstka ekonomistów, w tym chyba nikt ze znanych autorytetów. Ferguson usprawiedliwia, że to złożoność procesów ekonomiczno-finansowych, że niewielkie zaburzenie może doprowadzić do ogromnej zmiany, że związki przyczyno-skutkowe są nieliniowe, że są niedeterministyczne, że skali zakłócenia nie da się przewidzieć. Nawet w epoce big data? Nawet w epoce sztucznej inteligencji?

Szary człowiek może słabo przewidywać. Ot, choćby w Polsce. Szary polski człowiek nie przewidział, że walka rządu ze skutkami COVID nakręci spiralę inflacji, ale pan Morawiecki przewidział i sprytnie zabezpieczył swoje oszczędności przed inflacją.

Tak, odpowiedzialność za przewidywanie katastrof i radzenie sobie z nimi spada przede wszystkim na przywódców.

COVID-19 potwierdził prawdę znaną od mileniów – jedni sobie dają radę z katastrofami lepiej, inni gorzej. A czasami do katastrofy doprowadza sama polityka.

Ferguson nie kryje krytycznej oceny zdolności współczesnych przywódców do zarządzania skutkami kataklizmów. Tłumaczyć ich może tylko w ograniczonym stopniu, że każdy ludzki mózg słabo uwzględnia czynnik czarnych łabędzi. Dominuje w ich opisie myślenie magiczne (w tym religijne). Ale, według Fergusona, zarządzanie kataklizmami staje się dziś trudniejsze, bo nasze systemy polityczne coraz częściej promują ludzi, którzy nie uświadamiają sobie skali wyzwań, jakie przed

nimi mogą się pojawić. Píše on o nich, że są to jednostki zdolne do wszystkiego, czyli także do zachowań skrajnie niekompetentnych.

Współczesnych liderów politycznych dotyka bowiem boleśnie zjawisko „psychologii niekompetencji”. Składa się nań: nieumiejętność wyciągania wniosków z historii, brak wyobraźni, tendencja do opierania się wyłącznie na wiedzy wyniesionej z ostatniej wojny bądź ostatniego kryzysu, niedoceniać zagrożenia, a wreszcie zwleknięcie z decyzjami albo też wyczekiwanie, aż uzyska się pewność, co nigdy nie następuje.

Winne w pewnym stopniu jest oczywiście samo społeczeństwo, zwłaszcza w systemach demokratycznych. Polityka stała się nudną, technokratyczną sztuką zarządzania oczekiwaniami. Dotknęło ją zjawisko, które kiedyś Norman Dixon przypisał kadrze dowódczej w wojsku: realia wojskowości, charakteryzujące się przede wszystkim nudą i powtarzalnością, odpychają jednostki utalentowane, co sprawia, że w armii pozostają tylko ludzie przeciętni, bez błysku inteligencji czy inicjatywy, którzy wspinają się mozolnie po szczeblach kariery. W polityce dzieje się już całkiem podobnie.

Najgorsze wszakże to, że najbardziej przydatna w radzeniu sobie z gwałtownymi tąpnięciami cecha polityka, którą Jared Diamond nazywał „konstruktywna paranoja”, nie jest w ogóle doceniana w preferencjach wyborczych.

I jest jeszcze czynnik, który Henry Kissinger określił kiedyś jako „problem domysłu”. Przywódców nie ocenia się przez pryzmat działań zmierzających do zapobieżenia katastrofy, co przez pryzmat niedogodności środków zapobiegawczych, które wprowadzali.

Więc przywództwa fetyszyzować nie wolno, ale jest lider zawsze ostatnią instancją, która od odpowiedzialności uciekać nie powinna.

Czy społeczeństwo uczciwie oceni wysiłek przywództwa, to niestety inna sprawa. Churchill, który wygrał wojnę, ocalił Wlk. Brytanię przed utratą honoru i okupacją, przegrał wybory po zakończeniu wojny. Stał się dobrą ilustracją Kissingerowskiego „problemu domysłu”. Trump, który powszechnie był krytykowany za nieporadność w zarządzaniu kryzysem COVID, znów zdobył poparcie tłumów.

I nie ma prostej odpowiedzi na to, jaki system daje sobie radę lepiej z katastrofami. Instynktownie można doszukiwać się przewag u autokracji. Bo szybciej potrafią mobilizować zasoby, łatwiej zaprowadzają dyscyplinę, kontrolują nastroje społeczne. Ferguson próbował dowieść, że wszystkie systemy autorytarne reagują na katastrofy w ten sam sposób. A najważniejsze dla nich, ważniejsze niż bilans strat, jest zachowanie kontroli nad społeczeństwem. Czasem bardziej koncentrują się nad przekazem informacyjnym (cenzurowaniem złych informacji, a początkowo wręcz blokowaniem wszelkiej informacji o katastrofie) niż na łagodzeniu skutków kataklizmu. Chiny w czasie COVID-19 zachowywały się początkowo jak ZSRR zaraz po katastrofie czarnobylskiej, czyli tuszowały skalę nieszczęścia (a nawet przez pewien czas jego sam fakt). Wprowadziły drakońskie ograniczenia. A po czasie musiały ustąpić przed społecznym buntem.

A demokracje? Sorry, ale też i w tym przypadku po raz kolejny okazało się, że instytucje demokratyczne nie dają wystarczających zabezpieczeń przed skutkami katastrof.

Czy katastrofy są testem sprawności ustroju politycznego? Nawet jeśli tak, to rzadko kiedy elity polityczne wyciągają odpowiednie wnioski z tego testu. Świat po COVID nie stał się ani bardziej demokratyczny, ani bardziej autorytarny. Unia Europejska nie stała się ani bardziej zintegrowana, ani się nie rozpadła. COVID obnażył być może słabość wszystkich wielkich graczy, nie tylko USA, Chin, ale i Unii Europejskiej.

Ferguson dowodzi, że najlepiej radziły sobie państwa „kompaktowe”, dobrze zorganizowane, ale i wykazujące się dobrym poziomem solidarności i dyscypliny lokalnej: Korea Płd., Singapur, Izrael, Nowa Zelandia. Ale jakoś nie słychać, aby taki model państwa zaczęto gdziekolwiek indziej promować jako pomysł na urządzenie świata.

Co winno bowiem zawsze interesować politologa, to wpływ katastrof na przemiany polityczne w świecie. W historii kilka co najmniej zasadniczych zmian łączono z katastrofami. Ponoć wielka zaraza epoki Tukidydesa przyczyniła się do upadku demokracji ateńskiej. A czy wspomniana już dżuma Justyniana pogrzebała szansę na odbudowę wielkości Imperium Rzymskiego? Ono już wtedy znajdowało się w stanie upadku. A po Justynianie Bizancjum przetrwało prawie milenium, choć w stanie zastoju. Hiszpanka wpłynęła na losy Europy po I wojnie światowej? Wątpliwe. Chociaż Ferguson upiera się, że prezydent Wilson po przechorowaniu grypy był innym człowiekiem, godził się w Wersalu na propozycje Europejczyków, które wcześniej z wstrętem by odrzucał. Czy wszakże miałby aż taki wpływ na parametry europejskiego i światowego pokoju?

Może więc COVID-19 zbyt łagodnym w skutkach kataklizmem był, aby zainicjować wielką zmianę? Ferguson większą katalityczną siłę w wydaniu lokalnym upatruje chociażby w trzęsieniach ziemi. Wielki niszczycielski tremor 1755 r. w Portugalii posłużył jako impuls do zbudowania nowej postimperialnej formuły rozwojowej kraju. Podobnie trzęsienie ziemi w Japonii w 1891 r. stało się czynnikiem mobilizacyjnym do reform Meiji. Można by wszakże nad tymi tezami długo dyskutować.

Bardziej oczywistym kandydatem do roli katharsis są oczywiście wojny, zwłaszcza te sromotnie przegrane. W historii wielu państw przegrana wojna była zaczynem tektonicznych zmian politycznych (w niedawnej historii: Rosja, Niemcy, Austro-Węgry w 1918 r., Niemcy i Japonia w 1945 r.). A wojenna klęska została potraktowana wielokrotnie jako konieczność nowego początku w rozwoju kraju, nie tylko zresztą u pokonanych.

Czy współczesne konflikty, choćby ten dla Europy najbardziej systemowy – rosyjsko-ukraiński, mogą odegrać rolę katharsis, w jakimkolwiek wydaniu? Czy tylko wielki konflikt nuklearny, nie daj Boże? Już przed pół wiekiem osiągnęliśmy przecież potencjał zbiorowego samobójstwa. A może katharsis wyniknie z nowej zimnej wojny Zachodu z Rosją i Chinami? Ferguson stawia ryzykowną tezę, że nowa zimna wojna jest nie tylko nieunikniona, ale wręcz pożądana, bo wytrąca USA ze stanu

samozadowolenia. A nie ma innego sposobu zmobilizowania Zachodu do odnowy cywilizacyjnej?

Może zmiany klimatyczne, kiedy doprowadzą do masowych migracji i zniknięcia całych obszarów z mapy ziemi, poruszą świadomość elit i społeczeństw i popchną do zdecydowanych działań reformatorskich? Ferguson przypomina, że Turchin i Nefedov zaproponowali kiedyś cztery zmienne wywołujące zmiany społeczno-polityczne. Po pierwsze, to liczba ludności w stosunku do pojemności systemu. Po drugie, to siła państwa. Po trzecie, to struktura społeczna (rozmiary elity i rozmiar jej konsumpcji). Po czwarte, to stabilność społeczno-polityczna.

Idąc ich tropem można zaryzykować tezę, że katastrofy jako takie nie są przyczyną przewrotów społeczno-politycznych. Mogą być najwyżej ich wyzwaczem i katalizatorem.

COVID-19 się takim nie okazał. Nie wywołał żadnych większych podziałów społecznych. Nie dał nawet żadnego poważnego impulsu ideologicznego czy religijnego, jak zdarzało się w przypadku katastrof w przeszłości. Nie zmobilizował tym bardziej do poważniejszych reform we współpracy międzynarodowej. Sam Kissinger stwierdził kiedyś, że takiej skali pandemii wymagają wizji globalnej współpracy. Jej zabrakło. Nawet fakt, że Światowa Organizacja Zdrowia wyszła z kryzysu z mocno nadszarpniętą opinią, a czasem wręcz stając się przedmiotem oskarżeń, że działała przede wszystkim, aby zmyć z Chin jakąkolwiek winę za pandemię (szef WHO powszechnie określany był jako nominat chiński), skutków nie wywołał. Żadnych śmiałych reform za sobą to nie pociągnęło.

Krąży w ludzkiej powieści, że co nas nie zabije, to nas wzmocni. COVID żadnych instytucji współpracy globalnej niestety nie wzmocnił.

Zachodni komentariat polityczny pełen jest depresyjnych ocen. A zachodni progności nurzają się w dystopijnych opisach. Świat jednym słowem idzie ku nieuniknionej katastrofie. Kasandr mamy na pęczki. Lecz politycy dawno przestali się nimi przejmować. Nad myśleniem politycznym krąży syndrom cykliczności historii. Skoro będą katastrofy, to i perturbacje z nimi związane są nieuniknione.

Pyta i Ferguson: jaka następna katastrofa nas czeka? Nowa epidemia? Ocieplenie klimatu i katastroficzne zjawiska pogodowe? Fluktuacje słońca? Asteroida na kursie kolizyjnym z Ziemią? Czarna dziura? Poprawianie genów? Internet przedmiotów? Sztuczna inteligencja? Wojna nuklearna?

Wizji apokaliptycznych mamy aż nadmiar. Niektóre z nich zalatują wręcz gnostycyzmem. Jak im przeciwdziałać? Ferguson spekuluje: może stworzyć narodowe biuro przestróg, może wprowadzić ograniczenia na postęp technologiczny?

A besserwisserzy rozmaitej maści przestrzegają, że środki zaradcze same w sobie mogą stanowić zagrożenie dla ludzkości. Lepiej więc zwyczajnie czekać. Nie panikować. Zwalczać pomysły rewolucji w zarządzaniu światem. Bo wszystkie te

Środki zaradcze skończą się powołaniem wielkiego ogólnoświatowego „więzienia high-tech” wyposażonego we wszechobecny system inwigilacji i kontroli.

Zmorą besserwisserów jest wykorzystanie widma globalnych kataklizmów do forsowania idei światowego rządu, wprowadzania instytucji globalnego totalitaryzmu. A przecież naturalny to powinien być odruch, bo narodowe rozdrobnienie wystawia nas na ryzyko nieskuteczności. Nawet jeśli rodzi nadzieję, że w sieciowości tkwi sposób na lepszą kreatywność i znajdowanie najlepszych rozwiązań.

Co pozostaje? Zdanie się na przywództwo USA czy Chin? Jedno, co COVID pokazał, to że ci realni lub potencjalni państwa-liderzy kiepsko sobie z takimi wyzwaniami radzili.

Moją opinię państwo już znają: trzeba wzmacniać ponadnarodowe struktury globalnego zarządzania. Nawet bez udziału USA, Chin czy Rosji.

Samo z siebie to się nie stanie. Świat potrzebuje jakiegoś katharsis? Oby bez zbytnich kosztów własnych. Ale o tym poniżej.

(Na podstawie prezentacji w Pradze w maju 2024 r.)

XXIV. Katharsis

Mało kto wyraża dziś zadowolenie ze stanu spraw globalnych. Każdy powody do frustracji ma swoje. Europa stęka pod presją migracyjną i brakiem recepty na integrację społeczeństw, Stany Zjednoczone dość już mają niesienia na swoich barkach ciężaru (finansowego i militarnego) gaszenia kryzysowych ognisk w świecie. Rosja nie może się pogodzić ze skurczoną potęgą. Chiny nie zadowolą, że ich wielki potencjał ekonomiczny nie przekłada się na możliwość realizacji interesów politycznych (w tym zwłaszcza aneksji Tajwanu). Indie chciałyby stałego członkostwa w Radzie Bezpieczeństwa. Globalnemu Południu nie podoba się dyktat Północy i wolne zasypywanie rowu dobrobytu. I jeszcze do tego dochodzi widmo nieuchronności trzeciej wojny światowej. Długo by wymieniać.

Weszliśmy w epokę powszechnych narzekań.

Frustracja wszakże, wypłukując resztki wiarygodności z istniejącego systemu zarządzania światem, tworzącej go sieci organizacji międzynarodowych, umów i traktatów, nie doprowadziła do systemowej refleksji nad przyszłością stosunków międzynarodowych. Wszyscy mówią od trzech dekad, że okres to przejściowy, że porządek międzynarodowy jest w stanie transformacji, ale wspólnej wizji, dokąd świat ma zmierzać, nie widać. Działamy objawowo.

Weszliśmy w epokę globalnego dryfu.

I w fatalistycznym zamroczeniu dopuszczamy, że dryf ten może rzucić świat na skały, zafundować nam katastrofę, i to jakżeż piękną. Prognostycy przyszłości prześcigają się w pisaniu dystopijnych scenariuszy. Nawet pisarze. Nawet Twardoch („Powiedzmy, że Piontek”). Takiego czarnowidztwa świat nie widział od dziesięcioleci. Zaczyna ono już nabierać cech samospełniającej się przepowiedni. Masowy konsensus budowany jest wokół hasła: to musi łupnąć, to musi się rozlecieć. I naiwnie wierzymy, że nowy, lepszy świat da się zbudować tylko na ruinach starego.

Weszliśmy w epokę czekania na katharsis.

Katharsis w słownikowej definicji to oczyszczenie, puryfikacja, wybielenie. W wymiarze społecznym dotyczy sfery emocji, zarówno indywidualnych, jak i zbiorowych. Od starożytnych Greków nauczyliśmy się sztuki przełamywania emocji, zderzania własnego lęku z użalaniem się nad sobą, aby wychodzić z tragicznego obrotu spraw psychicznie wzmocnionym, zdecydowanym do działania.

Zwykle katharsis, także w polityce, przychodzi po klęsce, upadku, upokorzeniu. Wiąże się z wewnętrznym wstrząsem.

Polega na uświadomieniu sobie znaczenia wypadków, które doprowadziły do niepowodzenia. A w doskonałej, pełnej wersji powinno to prowadzić do uświadomienia sobie uniwersalnych praw rządzących przeznaczeniem. Zbudowania nowej wizji porządku własnej egzystencji.

Zwykle katharsis dopada nas w polityce po wojnach, tych przegranych w szczególności. W Polsce dopiero rozbiory przyniosły wyzwolenie się z narodowego odrętwienia i uwolnienie od przekonania o doskonałości własnego ustroju. Przegrana kampania wrześniowa 1939 r. głęboko przeorała świadomość elity II RP, ale też dała moralny wiatr w żagle komunistom, z obcego statku desantowanym na szczyty władzy. Wiele państw budziło się do rozwoju dopiero po zaznaniu klęski.

Ale wojny uświadamiały potrzebę radykalnych zmian także zwycięzcom. W wojnie trzydziestoletniej spustoszenia były tak wielkie, że nikt nie mógł pretendować na zwycięstwo. I była wojna ta wielkim katharsis, które przyniosło kres wojnom religijnym i ułożyło nowe zasady stosunków międzynarodowych. Podobnie wojny napoleońskie. A obie światowe XX wieku to już w ogóle.

Po końcu zimnej wojny żadnego globalnego katharsis nie było. W większości dawnego bloku sowieckiego nastąpił co prawda nowy początek, ale już w Rosji i wielu państwach post-sowieckich stare elity poszły ścieżką dostosowawczą w celu zachowania władzy w nowych realiach ustrojowych, a sowiecka przeszłość stała się punktem odniesienia w retropijnych wizjach odbudowy imperium. W Chinach, nie mówiąc już o Korei Północnej czy Kubie, komunizm formalnie nawet nie upadł. Wstrząsu globalnego upadek komunistycznego bloku nie spowodował. Odejście dwubiegunowego świata wyzwoliło konflikty. Częstokroć wcześniej tylko zamrożone i przysłonięte.

I tak doszło do tego, że wszyscy zaczęli mówić, że zastany porządek międzynarodowy jest ułomny, dysfunkcyjny. Że się przekształca, że tkwimy w okresie przejściowym. Tylko, że międzyepoka stała się epoką samą w sobie.

Czekano, aż kryzysy i wstrząsy posłużą za katalizator zmian. Wielki szok po zamachu z 11 września 2001 r. miał mobilizować do zbudowania nowego ładu wokół powszechnej walki z terroryzmem. Nie zbudował. Kryzys finansowy z 2008 r. miał posłużyć jako katharsis dla zreformowania międzynarodowych stosunków gospodarczych. Nie posłużył. COVID-19 miał posłużyć jako katharsis w zarządzaniu globalnymi pandemiemi. I nie posłużył.

Nie pozostawało nic innego, jak pogodzić się z tezą, że tylko wielka wojna może obudzić świat do reform. Bo w przeszłości to przede wszystkim wojny burzyły stary porządek i otwierały drogę do budowy nowego. Wojna rosyjsko-ukraińska miała wstrząsnąć światem, bo uświadamiała głębokie rozdarcie świata na tle podstawowych wartości. Ale nie wstrząsnęła. Zwłaszcza globalnym Południem.

Mamy czekać na nową światową wojnę, która już ponoć nawet się zaczęła, ale na razie w pozostaje w pełzającej fazie? Nowa wielka nuklearna wojna światowa jako jedyny sposób zbudowania nowego ładu międzynarodowego? Brrrrr...

Przez lata uspokajaliśmy się, że broń nuklearna czyni wojnę światową nieprawdopodobną. Ale broń nuklearna w rękach mocarstw i państw reakcyjnych, jak Rosja czy Korea Północna, czyni stawkę prób zmiany porządku niewyobrażalną.

Więc obecny porządek miałby zostać z nami na zawsze? Przynajmniej w sferze dekoracji, instytucji, czyli w odniesieniu do składu i prerogatyw Rady Bezpieczeństwa ONZ, powszechnego członkostwa w ONZ legitymizującego dyktatury i opresyjne reżimy, pełnej dobrowolności członkostwa w reżimach traktatowych i innych elementów porządku. Ale wszyscy zgodzą się z tym, że obecny porządek nie jest końcem historii. To jak wywołać katharsis? Czy da się zmienić zasadniczo świat bez oczyszczenia? Czy może powstać jakikolwiek mechanizm pokojowej transformacji?

Trudno w taką pokojową transformację uwierzyć. Bo czy Korea Północna sama z siebie zrezygnuje z broni nuklearnej? Nie mówiąc już o tym, czy Rosja sama z siebie byłaby gotowa zrezygnować z prawa weta w RB ONZ, bo przecież predestynuje ją do tego prawa tylko rozmiar arsenału nuklearnego? Czy Francja zrezygnowałaby ze stałego miejsca w RB na rzecz członkostwa Unii Europejskiej? Czy USA zgodziłyby się na ustanowienie globalnego trybunału praw człowieka? Lista retorycznych pytań jest długa, oj, bardzo długa.

Radykalnych reform brak. Przywódcy zasłaniają się argumentem, że nie dojrzały jeszcze do nich rzesze wyborców w ich krajach, zwłaszcza w kwestii cedowania suwerennych praw na rzecz instytucji międzynarodowych. Funkcjonariusze organizacji winią za słabość instytucji państw członkowskie. Przywódcy państw mają w słabości organizacji międzynarodowych wygodną wymówkę. Do tego dochodzi właściwy politykom i funkcjonariuszom międzynarodowym brak samokrytycyzmu. W

ocenie pracy instytucji dominuje tzw. self-congratulatory mode. Nikt nie chce przyznać, że coś robi źle.

W przeszłości wielkie i katastrofalne w skutkach wojny wywoływały intelektualne poszukiwania lepszej formuły świata. Wojna trzydziestoletnia, wojna o sukcesję hiszpańską musiały gdzieś tam z tyłu głowy mobilizować Kanta. Częstokroć spustoszenia wojenne otwierały pole do rozprzestrzeniania się zbrodniczych ideologii, jak w przypadkach leninizmu czy faszyzmu. Ale też wizji szlachetnych, jak w przypadku Wilsona czy Schumanna. Dziś jedyną utopią pozostaje wizja rządu światowego, ale i jej nikt nie chce podchwycić.

Zacząć wypadałoby od tego, co w obecnym porządku jest nie utrzymania. Nie w sensie politycznym, co wspomnieliśmy na początku, ale w tak zwanym sensie systemowym. Więc co? Imperialne zachowania mocarstw? Przyzwolenie na używanie przemocy? Przywileje państw nuklearnych? Nietykalność państw nuklearnych? Samo istnienie broni nuklearnej? Monopol państwa na reprezentację jednostek ludzkich, obywateli? Monopol państwa na użycie siły zbrojnej? Zasada suwerenności jako przykrywka dla sposobu traktowania własnych obywateli? Brak odpowiedzialności przywódców za działania wobec innych państw? Brak skutecznych środków międzynarodowego przymusu i egzekwowania norm postępowania? Brak skutecznych mechanizmów globalnej solidarności?

Zaczniemy od takiej listy. Dopiero potem szukajmy najlepszych rozwiązań.

I wreszcie pytanie najpraktyczniejsze z praktycznych: kto może stać się agentem, liderem transformacji? USA? Unia Europejska? Chiny czy Indie jako wstępujące mocarstwa? Globalne Południe jako blok? Wiele z państw Południa wszakże nic nie chce systemowo zmieniać, stołu nie chce wywracać, chce tylko z państwami zachodnimi zamienić się miejscami na stole szczycie.

Złośliwcy przypominają, że to stary odruch w zachowaniu ludów długie lata upokarzanych. Przywołują powstania niewolników w czasach rzymskich, Eunusa czy Salwiusza. Ogłaszali się królami z boskiego nadania, ale ustroju zmieniać nie chcieli. Nawet Spartakus walczył jedynie o własną wolność, może o własne królestwo na Sycylii, ale nie o zmianę systemu. Podobnie wyglądała większość buntów chłopskich. Ale tego typu porównania nie wydają się trafne.

Więc może jakiś polityk, wyrazista osobowość, globalny celebryta, który mógłby pociągnąć za sobą świat? Są politycy o wyraźniej rozpoznawalności, owszem. Są tacy, którzy zdecydowanie wyrastają ponad potencjał polityczny własnego państwa. Ale siły pociągowej jednak im nie starcza.

Bo jako klasa politycy wydają się zbyt uziemieni tyranią teraźniejszości w myśleniu politycznym. A grupy społeczne? Kiedyś wierzone w transformacyjny zapał globalnej klasy średniej. Nikt dziś o nim nie mówi. Jedyna nadzieja w młodych? Tak, to oni tworzą szpicę ruchów ekologicznych, klimatycznych. Ale to aktywistyczna elita. Bo miliony młodych o przyszłości nie myślą. Nie oszczędzają, nie mają dzieci. Kobiety?

Nic tylko wypatrywać „czarnych łabędzi”. Niektórzy mówią, że jeden właśnie w listopadzie 2024 r. nam wylądował. Inni korygują, że nie łabędź to, a paw olbrzymi, ale z orlim dziobem i mocarnymi szponami. Krążył nad nami długo. I przyszedł zresztą powtórnie. Już raz nieprzewidywalnością swą spokój zmałował. Był czas, żeby się na jego powtórne przyjście przygotować. I, zdaje się, mało kto się przygotował.

Nieprzewidywalność jako znak firmowy polityka dobrze oddaje atmosferę epoki, epoki frustracji, dryfu, tymczasowości, wielkiego czekania.

A ja postrzegam tę nieprzewidywalność z nadzieją. Nawet jeśli na krótką metę oznaczać ona będzie decyzje, które nam w Europie będą się czkawką odbijać.

Wierzę bowiem w efekt szczęśliwego przypadku, serendipity, korzystnego obrotu źle zapowiadających się spraw. Wierzę w efekt Gorbaczowa, kiedy skromna próba zmiany porządku wyleje się w lawinę zmiatającą wszystkie złogi i butwy starego świata. Wierzę.

I tym optymistycznym akcentem...

Zakończenie

I tym optymistycznym akcentem zamykam spisywane po latach moje niegdysiejsze publiczne wystąpienia, wykłady i prezentacje. Przypomnę, że podejmowałem się przed laty tych lektorskich wyzwań, tak czasami odległych od bieżących zajęć, by nie zakleszczać się w trywiiach dyplomatycznej bieżączki, która mi wówczas doskwierała, by tę bieżączkę odreagowywać, by szukać głębszego sensu i szerszego kontekstu dla codziennej aktywności. Nie dla pedagogicznej przyjemności bynajmniej. Ani z poczucia kaznodziejskiej misji.

No i chciałem przy okazji, czego też nie taję, wstąpić ongiś w intelektualne zapasy z nudziarstwem, dominującym wtedy w akademickim dyskursie. Nie przeczę, że chciałem swoim słuchaczom, młodym, wykształconym, trochę w głowach poprzewracać, zaburzyć im ład umysłowy uformowany półeczkowo i szufladkowo na studiach wyższych, zwłaszcza na tych uczelniach, gdzie nadal obowiązuje wysoce scholastyczny model studiowania.

Za możliwość wygłaszania tych wykładów dziękuję w szczególności Lenie Niemirowskiej, Jurijowi Sienokosowowi, Innie Bieriozkinie i wszystkim przyjaciółom ze Szkoły Obywatelskiej Edukacji i innym podobnym szkołom, które mnie zapraszały.

Więcej podobnych przemów nie przewiduję. Nawet, gdyby pojawiły się zaproszenia, okazje. Choć życie, w tym zwłaszcza doświadczenia zawodowe, nauczyły mnie nigdy nie mówić nigdy.

Tymczasem jednak stawiam kropkę.

Styczeń 2025 r.